

.SKARB W DZUNGLI

Projekt okładki i str. tytułowej Marek Mosiński

Do druku przygotowali

Anna Lubas i Lech Dobrzański

na podstawie

wydania tej książki

nakładem

St. Cukrowskiego w Warszawie

Ark. druk. 8,5. Ark. wyd. 8,70.

Papier offset, ki. III. 70 g, rola 61 cm

Rzeszowskie Zakłady Graficzne

Rzeszów, ul. Marchlewskiego 19

Zam. 7571/90

Rozdział I

Biggles spotyka starego przyjaciela

■

Na wysokości 6000 stóp, pod lazurowym niebem Środkowej Ameryki, spokojnie szybował w kierunku południowym samolot typu amfibia. Z lewej strony kłębiła się ciemnozielona toń Oceanu Atlantyckiego unosząc fale w bezkresną dal, z prawej zaś — ciągnął się dziewiczy las podobny do wielkiej plamy, zajmując całą okolicę i ginąc w mglistej purpurze odległego horyzontu. Biała, nieregularna linia kipieli tuż pod samolotem łączyła stały ląd z morzem.

W maszynie znajdowało się trzech pasażerów. Miejsce przy kierownicy zajmował dowódca eskadry Bigglesworth, popularnie zwany Biggles. Obok niego, w wąskim foteliku siedział jego uczeń Ginger Hebblethwaite i z niewymuszoną swobodą obserwował rozległą panoramę. Za nimi ich wspólny przyjaciel i towarzysz podróży, kapitan Algy Lacey śledził kurs lotu na kompasie.

Gdy skończył swoje obliczenia nachylił się ku nim.

— Stwierdzam, że minęliśmy wybrzeże Brytyjskiego Hondurasu — oznajmił.

Biggles uśmiechnął się lekko.

— Spóźniłeś się nieco, chłopie. O ile się nie mylę, mamy przed sobą Belize, stolicę kolonii.

— Lądujecie? — spytał Algy.

— Będziemy musieli — odparł Biggles. — Ten przekłęty wiatr, przeciwko któremu lecieliśmy całe rano, zawiódł moje obliczenia; straciliśmy dzięki niemu tyle czasu, że trzeba będzie, zanim ruszymy w dalszą drogę, nabrać benzyny i oliwy. Tu nie może się odbyć przymusowe lądowanie.

— To znaczy, będziemy lądowali w Belizie?

3

— Tak. Jest tam stacja zaopatrzenia Amerykańskich Linii Lotniczych. To przyzwoita banda. Na pewno dostaniemy paliwo.

— Czy znasz tam kogo?

— Nie, z personelu Towarzystwa Amerykańskich Linii Lotniczych — nikogo. Znam natomiast przedstawicieli rządu — o ile jest jeszcze tutaj. Byczy chłop. Nazywa się Carruthers. Wyświadczyłem mu pewną przysługę parę lat temu, kiedy był wicekonsulem brytyjskim w La Paz, w Boliwii, po drugiej stronie kontynentu. Moglibyśmy go odszukać. Jeśli znajduje się jeszcze tutaj, na pewno chętnie udzieli nam gościny, by w ten sposób spłacić stary dług. W każdym razie wydaje mi się, że będzie zadowolony z naszych odwiedzin, nie przypuszczam, aby na tak odosobnionej placówce jak Beliza miał często gości.

' Mówiąc to Biggles zamknął motor i pewnym ślizgiem zaczął opuszczać się w kierunku małego miasteczka rozłożonego nad brzegiem morza i zamkniętego od tyłu ciemną linią lasu. Nie spieszył się; przecież celem ich wycieczki była jedynie przyjemność. Pogoda była cudna. Wolał to niż siedzenie w Londynie przez cały ponury okres zimy.

Na Gingerze ciążyła cała odpowiedzialność za wycieczkę. Rozżalony na swych przyjaciół z powodu ich bierności zagroził, że uda się sam w podróż „Wędrowcem” — samolot nazwę tę otrzymał na chrzcie — jeżeli odmówię mu swego udziału. Biggles proponował wycieczkę do Środkowej Ameryki dla zbadania możliwości komunikacji lotniczej między posiadłościami brytyjskimi na kontynencie a Indiami Zachodnimi. Nie zależało mu na tym, by projekt został w pełni zrealizowany. Chodziło mu jedynie o pewną celowość lotu a nie o bezmyślne włączenie się.

W ten sposób wycieczka odbyłaby się bez przygód. Przygody, o których marzył, na które liczył Ginger, musiałyby pozostać tylko w sferze wyobraźni. Nudziło go już wszystko i nawet nie starał się tego ukryć. Postanowił więc zająć się zbieraniem motyli, których piękno zawsze go pociągało. Uważał to za pewnego rodzaju rozrywkę na ziemi; entomologia była ostatnio nową dziedziną jego zainteresowań. Biggles spojrzał na niego.

— Czy wiesz coś o Hondurasie? — spytał. Ginger potrząsnął głową.

— Nie. Widziałem kiedyś nazwę tego kraju na znaczku pocztowym, w przeciwnym razie nie wiedziałbym w ogóle, że taki kraj istnieje. Czy jest w nim coś godnego uwagi?

4

— Nie, nie mogę tego powiedzieć — odparł Biggles z namysłem. Jest zupełnie podobny do pozostałej części Środkowej Ameryki. Wyobrażam sobie, że w pobliżu stolicy musi być piękny, dziki zakątek. Słyszałem, że jest tam świetny budulec i szlachetne drzewa użytkowe — najlepsze mahonie pochodzą właśnie z Hondurasu. Najciekawszą jednak rzeczą, oczywiście z naszego punktu widzenia, jest Nieznana Rzeka, która umożliwi nam obserwację z powietrza.

— Nieznana Rzeka? Ależ to nie ma żadnego sensu — żywo zaprotestował Ginger. — Albo jest rzeka, albo jej nie ma. Jeżeli jest — no, to musi być znana. Jeżeli jej nie ma, to po co się martwić?

— O ile wiem, nikt się tym nie przejmuje — odparł Biggles. Ujście rzeki jest znane, ale jak zdołałem stwierdzić, górny jej bieg w ogóle nie został zbadany. Przypuszczam, że wypływa gdzieś w Gwatemali, która sąsiaduje z Hondurasem.

— Dlaczego nie została zbadana?

— Prawdopodobnie dlatego, że dotąd nikt nie miał ani energii, ani pieniędzy, ani dostatecznych powodów, by to uczynić.

— Dlaczego zatem ludzie interesują się nią?

— Bo nazwa rzeki tej pojawia się od czasu do czasu w dziennikach w związku z zagubionym skarbem Carmichaela, o którym niedawno wspomiano nawet w radio.

Ginger poruszył się z ożywieniem.

— Skarb! Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? To bardziej przemawia mi do przekonania. Opowiedz mi o nim.

Biggles uśmiechnął się złośliwie:

— Obawiałem się, że cię to zbyt podnieci, jeżeli wspomnę o skarbie. Nie układaj sobie jednak żadnych dzikich planów. Nie wybieram się na poszukiwanie skarbu.

— Oczywiście — przytaknął skwapliwie Ginger. — Niemniej jednak nic nie stoi na przeszkodzie, abym się o nim dowiedział, prawda?

— Sądzę, że nie — zgodził się Biggles. — Jest to stara historia podobna raczej do legendy. Kraj ten słynie z wielu takich baśni o skarbach. O ile mnie pamięć nie myli, dziwna ta historia zaczęła się około roku 1860, kiedy to pewien człowiek, nazwiskiem Carmichael, podróżując w górę kraju uratował życie dwu Indianom. Z wdzięczności za to przyrzekli mu wskazać miejsce, w którym Montezuma ukrył skarb przed Hiszpanami. Wyruszyli w drogę, lecz po przybyciu znaleźli jedynie zburzone miasto. Wyciąwszy krzyż na świątyni — a może tylko

na jej gruzach — pod którą, zdaniem Indian, miało być zakopane złoto, Carmichael udał się po pomoc. Gdy powrócił, nie mógł znaleźć już ani świątyni, ani miasta. Nikt dotąd nie natrafił na jego ślad, jakkolwiek odkryto sporo innych starych miast. W rzeczywistości wiele z nich pochłonęła dżungla, trudno więc stwierdzić, gdzie się to poszukiwane miasto znajduje. W każdym razie większość ludzi w Środkowej Ameryce słyszała o skarbie Carmichaela. Robiono szereg poszukiwawczych prób, znajdowano jednak tylko ślady bogatej i bardzo starej cywilizacji. Nic poza tym.

Ginger spojrzął w zamyśleniu, potem odezwał się:

— Gdy będziemy już na miejscu, zbierzemy wszelkie potrzebne nam informacje. — W głosie jego brzmiała nadzieja.

— W jakim celu? — spytał chłodno Biggles.

— No, sądzę... oczywiście, ja nie chcę narzucać wam planu wycieczki czy czegoś w tym rodzaju, ale gdybyśmy przypadkiem znaleźli się w pobliżu tego miejsca...

— Jeżeli będę się trzymał mojej trasy, nie zbliżymy się do niego — oświadczył Biggles. — W dżungli możesz znaleźć Indian, moskity, pijawki, kleszcze, węże i różne inne okropności. Jeśli ty ich nie znajdziesz, same trafią do ciebie. Lasy tropikalne, mają dużo uroku, ale mogą być również bardzo, bardzo nieprzyjemne. Wierz mi, orientuję się.

— Czy nikt nigdy nie chodzi do tego lasu?

— O tak, zbieracze kauczuku i poszukiwacze chicle, przeważnie tubylcy.

— Chicle? Cóż to jest?

— Jest to główny składnik służący do wyrobu gumy do żucia. Sok z pewnego gatunku drzew — podobnie jak kauczuk. Chicle jest najważniejszym artykułem eksportowym kolonii.

Ginger potrząsnął głową:

— To za lekki interes dla mnie.

Na tym rozmowa się skończyła. Biggles musiał zająć się spuszczeniem samolotu na wodę. Uczynił to na otwartej przestrzeni oznaczonej bojami i wskaźnikiem wiatru. Było to, jak się okazało, miejsce przymusowego lądowania wielkich amerykańskich clipperów\*, które obsługiwały całe wybrzeże od Stanów Zjednoczonych do Argentyny. Miejscowy komendant okazał się bardzo pomocny przy zakotwiczeniu

\* Clipper (ang.) — długodystansowy samolot pasażerski; także — rodzaj żaglowca. 6

obietując równocześnie napełnić tanki. Zadowoleni z całej organizacji, lotnicy udali się do miasta, aby posilić się trochę, wyszukać miejsce na nocleg i odwiedzić Carruthersa — o ile by jeszcze był w kolonii.

Spotkali go w chwili, gdy opuszczał właśnie swoje biuro. Po wzajemnej prezentacji i powitaniach Carruthers wymógł na nich, aby na czas pobytu w Belizie zamieszkali w jego obszernym bungalowie.

Ginger, jakkolwiek nie zdradził się z tym, był niemile zdziwiony skromnymi rozmiarami miasta będącego stolicą brytyjskiej kolonii. Zrozumiał teraz, dlaczego takie łatwe było spotkanie z Carruthersem. Administracja kolonii, jak zauważył, spoczywała w rękach bardzo szczupłego personelu; Carruthers był rezydentem, lecz na czas nieobecności gubernatora zastępował go w jego czynnościach. Był to młody mężczyzna powyżej dwudziestki, o sympatycznym, ujmującym wyrazie twarzy, niebieskich, odważnie patrzących oczach i krótko przyszyżonych wąsach. Zachowanie się jego było uprzejme, nie pozbawione jednak ostrożności i pewnej dumy, jaką daje świadomość posiadania władzy.

— Wiesz, Carruthers — zauważył Biggles, gdy siedzieli po obiedzie przy czarnej kawie — postarzałeś się mocno, odkąd widziałem cię po raz ostatni.

— Dziwisz się? — odparł Carruthers z goryczą w głosie.

— Sądzisz, że to wpływ klimatu?

— Niezupełnie, jakkolwiek działanie jego na stan nerwów jest wybitnie ujemne. Ażeby osiwieć, wystarczy próba utrzymania porządku w dżungli ciągnącej się na przestrzeni tysiąca mil, przy pomocy małej garstki ludzi. To jest moje stałe zajęcie. Wiem, że wydaje ci się ono łatwe. Może nawet wyobrażasz sobie, że nie pracuję zbyt dużo, lecz wierz mi, ręce mam pełne roboty.

— W jaki sposób dżungla może tak pana absorbować? — wtrącił Algy.

— To nie dżungla. To ludzie, którzy w niej przebywają.

— Nieprzyjacielscy Indianie?

— Oczywiście, takich jest dużo. Pojedynczo nie sprawialiby nam wiele kłopotu, ostatnio jednak zaczęli dobierać się do placówek w górze rzeki i niepokoić zbieraczy chicle oraz innych podróżników z wybrzeża. Coś się musiało stać. Wydaje się, jakby Indianie byli zorganizowani. Tubylcy z wybrzeża potwierdzają te przypuszczenia, lecz trudno wy badać, co się tam właściwie dzieje. Krąży dziwna wieść — rozumie się

7

plotka — o człowieku, który uważa siebie za Króla Puszczy czy innego fantastycznego władcę. Jaką grę prowadzi i czy rzeczywiście istnieje, nie byłem jeszcze w stanie odkryć. Nie wiadomo, ile w tym kłamstwa, a ile prawdy. To nie ma zresztą znaczenia. Jeżeli tylko połowa plotek, które do mnie dotarły, okaże się prawdziwa, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że za tym planem kryje się tęgi mózg. Jestem odpowiedzialny za kraj, dlatego sprawa ta doprowadza mnie do rozpacz. Jeśli cokolwiek złego się stanie, sobie przypiszę winę.

— Ale skoro ten tak zwany Król Puszczy nie daje ci się we znaki, dlaczego przejmujesz się? — zagadnął Biggles.

— Niestety, zaczyna już dawać mi się we znaki — może on, może też kto inny —jakkolwiek ja stale błędę jeszcze w ciemności. Oto przykład. Wiesz chyba", że chicle jest tutaj najważniejszym artykułem handlowym. Zbierają go tubylcy. Zapuszczają się w górę rzeki, by go znaleźć. Cóż, kiedy surowiec nie dochodzi do nas w takiej ilości, jak powinien. Jest rzeczą zastanawiającą, że według otrzymanych informacji chicle z Hondurasu dostarczane bywa jednak do Stanów Zjednoczonych bez zmian, ,to jest w takich ilościach jak do tej pory. Skąd ono przychodzi? Kto je zbiera? Ponadto otrzymuję zapytanie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w kwestii trzech białych, którzy prawdopodobnie zginęli w dżungli. Nie mam jeszcze wszystkich szczegółów, lecz przypuszczam, że udali się na jakąś wariacką wyprawę w poszukiwaniu skarbu.

— A więc znajduje się tam skarb? — wtrącił żywo Ginger. Carruthers wzruszył ramionami.

— Sądzę, że pogłoski nie są całkowicie bezpodstawne. Stwierdzono, że widział go przed laty pewien człowiek nazwiskiem Carmichael. Poza tym nie wiem o nim o wiele więcej niż wy. W jaki sposób tych trzech białych dostało się do dżungli bez urzędowego zezwolenia i bez uprzedniego zawiadomienia mnie, abym w razie niebezpieczeństwa wiedział, gdzie się znajdują, tego nie mogę zrozumieć. Widziano ich ostatnio nad Nieznaną Rzeką. Dwóch z nich nie interesuje mnie specjalnie. Trzeci, młody chłopak, ma przypadkiem zamożnego i bardzo troskliwego ojca w Stanach Zjednoczonych, który robi z tego powodu dużo hałasu, gdyż ma pretensje do mnie, że nie mogę znaleźć jego syna.

— Jeżeli ten osobnik, który nazywa się Królem Puszczy rzeczywiście istnieje i jeżeli Amerykanie napadli go z zasadzki, mogą mieć już dawno poderżnięte gardła. Jak pan widzi, to wszystko kosztuje mnie dużo trudu. Mój szczupły personel zajęty jest ustawicznym załatwia-

8

niem codziennych spraw handlowych kraju; ludzie nie mają czasu na włóczenie się po dżungli w poszukiwaniu zaginionych Amerykanów, zbieraczy chicle i samozwańczych królów. Słyszałem, że członkowie amerykańskiej ekspedycji archeologicznej wracają tutaj dla kontynuowania swoich prac. Gdy tu przyjdą, mogą ich tamci wymordować. Mimo wszystko muszę udzielić im zezwolenia, bo w przeciwnym razie Ministerstwo Spraw Zagranicznych narobi wielkiej wrzawy.

— Czego ci ludzie chcą tutaj? — zapytał z zaciekawieniem Biggles.

— Prowadzić dalej prace wykopaliskowe wśród starych ruin istniejących jeszcze w dżungli. Dokonali oni już szeregu bardzo ciekawych odkryć na miejscu dwóch starożytnych miast Tickal i Maxactun. Chcą teraz określić położenie innych jeszcze miast, co do których są pewni, że istnieją. Nie sprawi im to zbyt trudności, ponieważ starożytne te miasta znaczą piramidy, podobne do egipskich. Są one olbrzymie i jakkolwiek ukrywa je dżungla, szczyty ich sięgają wierzchołków najwyższych drzew.

— Jasne jest, że będziesz musiał przede wszystkim ustalić, czy ten rzekomy Król Puszczy rzeczywiście istnieje — oświadczył Biggles. — Jeżeli tak, należy go zaarrestować. Bez tego nie będziesz miał w ogóle spokoju.

Carruthers zaśmiał się ironicznie.

- Zaaresztować go? Jak? Kto ma rozpocząć poszukiwania?
- Czy nikt nie zna jego miejsca pobytu?
- Nikt. Tubylcy opowiadają śmieszna historię o tajemniczym mieście w dżungli. Wydaje mi się to mało prawdopodobne.
- A gdyby jednak okazało się, że miasto istnieje, sądzę, iż nie tak trudno byłoby je odnaleźć.
- Mógłbyś szukać całymi latami.
- Na łądzie — tak. Myślałem jednak o rekonesansie z powietrza.
- To jest całkiem inna sprawa — przyznał Carruthers. — Niestety nie dysponuję lotniczą służbą. Nie mogę doprosić się o nową łódź, a cóż. dopiero mówić o samolocie.

Biggles uśmiechnął się.

- Mam samolot — rzekł. — Mogę ci go pożyczyć z przyjemnością.
- Dziękuję, ale kto będzie latał na nim? Ja nie jestem pilotem. Nie mam też nikogo w tej części świata.

Biggles wyjął papierosa i uderzył nim kilkakrotnie w zamyśleniu o rękę.

9

- Nam się nie spieszy — zaznaczył dobitnie. — Musimy znaleźć czas na rozejrzenie się w sytuacji. Wyobrażam sobie, że jest wiele rzeczy, których warto szukać. Są piramidy, ruiny miast, zagubieni Amerykanie, tajemnicze miasto Króla Puszczy, skarb — powinniśmy na pewno coś znaleźć. Gdy natrafimy na coś ciekawego, zaznaczymy miejsce na mapie i zawiadomimy ciebie.
- Pomoc! Ależ to byłoby wspaniałe — oświadczył Carruthers. — Czy ty na serio masz zamiar to zrobić?
- Czemużby nie? Nie mamy nic szczególnego w planie. Moglibyśmy zająć się czymś pożytecznym. W każdym razie, jakkolwiek nie mówiłem o tym nikomu, zastanawiam się nad lotem wywiadowczym w górę Nieznanej Rzeki. Ot, po prostu dla zaspokojenia ciekawości.
- Uważałbym to i tak za wielki wyczyn, gdybyś nawet niczego nie znalazł — zauważył Carruthers. Będę ci naprawdę bardzo wdzięczny, jeśli się tego podejmiesz.
- Zatem możesz uważać sprawę za załatwioną — potwierdził Biggles.
- Doskonale. Masz urzędowe zezwolenie na tę wyprawę. Kiedy chcesz się udać w drogę?

Biggles wzruszył ramionami.

- To właściwie nie ma znaczenia. Jeśli o mnie chodzi, mogę wyruszyć jutro. Jeżeli jednak inni czują się zbyt zmęczeni...

— Ja nie jestem zmęczony — wtrącił szybko Ginger. — To zapowiada się bardzo interesująco. Zawsze lubiłem wszelkie poszukiwania.

— Świetnie. Jeżeli i ty się dobrze czujesz, Algy, wyruszmy rano — zakończył Biggles.

W godzinę później, przy koncercie żab skrzeczących w pobliskim bagnie, Ginger położył się do łóżka, aby zasnąć i śnić o królach, a także o zaginionych Amerykanach, walczących o skarb na szczycie piramidy.

## Rozdział II

### Nieoczekiwane spotkanie

Kiedy pierwsze promienie tropikalnego słońca zabłyśły na wschodzie złocistym blaskiem, delikatne opary mgły wiszącej nad cichym jeziorem zaczęły się unosić, odsłaniając mnóstwo roślin i żyłtek pływających po spokojnej powierzchni wody. Ukazała się potężna lilia wodna o grubych, okrągłych liściach, wielkich jak stół, potem koliber o szmaragdowej piersi, podobny do żywego rubina, który siedząc na śnieżnobiałym kwiecie, wybierał słodki nektar swym trzycalowym dziobem; długa belka z dwiema naroślami na jednym końcu — czy też coś podobnego do belki — mająca dziwną właściwość zanurzania się i wynurzania w coraz to innym miejscu. A wreszcie samolot-amfibia, noszący na przedzie jedyny napis „Wędrowiec”.

Samolot kołysał się łagodnie. Fale jeziora rozbijały się o jego boki, kiedy ponad środkową luką ukazała się głowa Gingera a za nią w następującej chwili wysunęła się lufa karabinu. Przez krótką chwilę panowała cisza, a potem powietrzem wstrząsnął huk wystrzału. „Belka” poruszyła się nagle, wzburzając gwałtownie wodę, po czym zniknęła. Na odgłos strzału chmara hałaśliwych zielonych papug zerwała się z pobliskiego lasu. Ginger wychylił się z luku, obserwując uważnie miejsce, w którym zniknął aligator.

— Dostałeś go? — zawołał Biggles z wnętrza maszyny.

— Zdaje mi się że nie. Połaskotałem go trochę. To było to samo wielkie bydlę, które rozbijało się tutaj dziś w nocy.

Znów zapanowała cisza. Ginger usiadł na kadłubie obserwując las oczami, pełnymi odwagi i zainteresowania. Wędrowały one powoli wzdłuż potężnych pni drzew, ginących wysoko w górze wśród gęstej pokrywy listowia; liany oplatały każdy pień i zwisały z każdej gałęzi,

11

przechodząc z drzewa na drzewo podobne do jakiejś fantastycznej sieci kabli. Poniżej w wielu miejscach ziemia zasłana była płatkami kwiatków, kwitnących wysoko w górze. Pnące paprocie i orchidee czepiały się drzew, opuszczając w dół korzenie, które zwiększały fantastyczną gmatwaninę. Nad wodą wspaniałe drzewa — paprocie rozkładały pierzaste wachlarze szerokości około dwudziestu stóp. W tym całym



labiryntyce przelatowały motyle, olbrzymie, metaliczno-błękitne i żółte o długich, jaskółczych ogonach. Tukan z olbrzymim biało-czerwonym dziobem, długim niemal jak połowa jego tułowia, siedział na gałęzi, lecz umknął szybko na widok zbliżającej się gromady małp.

Następnego dnia po rozmowie z Carruthersem „Wędrowiec” szybował w górę Nieznanej Rzeki, częściowo lecąc, częściowo posuwając się po wodzie. Trzy noce spędziła załoga na samej rzece, zanim odkryła jezioro, na którym teraz spoczywał „Wędrowiec” — gładką tafelą wody, ukrytą w dżungli odległą o sto mil od wybrzeża, z dala od wszelkiej cywilizacji. Postanowili, że jezioro będzie dla nich doskonałą bazą wypadową do badania okolicy. Jak dotąd nie zdarzyło się nic, co by zakłóciło spokój wyprawy, ponieważ „Wędrowiec” był uzbrojony i wyposażony we wszelkie możliwe urządzenia.

— Zostajecie chłopcy? — zawołał Ginger z góry do towarzyszy siedzących w kabinie.

— Tak — odparł Biggles.

Ginger mruzczał niezadowolony. Chciał już koniecznie dostać się na ląd; nie mógł tego jednak uczynić, ponieważ samolot był zakotwiczony w pewnej odległości od brzegu w celu ochrony przed moskitami i innymi dokuczliwymi owadami, których wszędzie było mnóstwo. Tymczasem za parę minut ukazał się Biggles i „Wędrowiec” wkrótce uniósł się ponad powierzchnię jeziora do nowego lotu obserwacyjnego. Do tej pory nie zauważyli żadnej z piramid, o których wspominał Carruthers, jakkolwiek stosownie do obliczeń Bigglesa znajdowali się obecnie w pobliżu dwóch starożytnych miast, Tickal i Maxactun, gdzie Amerykańskie Towarzystwo Archeologiczne prowadziło prace wykopaliskowe.

Krajobraz widziany z góry odznaczał się dziwną monotonią. Na wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, rozciągał się dziewiczy las, olbrzymi falujący bezmiar zieleni w przeróżnych odcieniach, ginący daleko na horyzoncie. Na zachodzie odbijało się słońce w ciemnym jeziorze, które zdaniem Bigglesa znajdowało się już na terytorium

Gwatemali. Nic nie wskazywało na obecność granicy. Jak w większości krajów Ameryki tropikalnej, granica przebiegała gdzieś wzdłuż lasu, lecz nie można było dokładnie ustalić jej miejsca. „Wędrowiec” szybował daleko wznosząc się śmiało w górę.

Wkrótce zmienił się nieco krajobraz, ukazując przestrzenie otwartej sawanny, porosłej falującą trawą, przerywanej gdzieś grupami drzew i sterczącymi warstwami skał. Biggles wyjaśnił, że wedle powszechnie panującego przekonania, przestrzenie te zostały początkowo wykarczowane przez ludność, która zamieszkała tu w dawnych czasach; dżungla jednak rozrastała się dokoła nich, tak że w końcu ludzie zostali pochłonięci przez las.

Ginger pierwszy zauważył szczyt piramidy. Wskazał na nią chwytając Bigglesa za rękę.

— Popatrz! — krzyknął.

Biggles zamknął gaz i opuścił się niżej. Nie było już żadnej wątpliwości, że go oczy nie mylą. W pewnej odległości można było zauważyć dalsze dwie piramidy, trochę niższe, wznoszące się ponad zielonym oceanem lasu.

— Dałbym głowę, że to Tickal — stwierdził Biggles.

— Głosuję za tym, żebyśmy obejrzeni piramidy z ziemi — zaproponował Ginger.

Biggles, obserwując panoramę, zauważył jezioro położone jeszcze bliżej piramid niż to, które opuścili rano, ale w dość znacznej odległości od nich: potrząsnął głową z powątpiewaniem. Lecąc w kierunku jeziora, zbliżył się jednak do nowej i znacznie mniejszej tafli wody, której nie zauważył do tej pory. Nie była ona właściwie jeziorem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Wydawała się raczej dość rozległą depresją terenu, zalaną przez wodę, prawdopodobnie dopływ Nieznanej Rzeki.

— Co myślisz o tej wodzie? — zagadnął Ginger. — Moglibyśmy się na nią opuścić.

Biggles spojrzał niepewnie.

— Jeśli chodzi o powierzchnię jest dość duża — przyznał. — Obawiam się jednak pewnych przeszkód. Do tych rzek zawsze wpadają drzewa, szczególnie w czasie pory deszczowej. O ile natrafimy przypadkiem w środku jeziora na jakieś pływające drzewo i uderzymy w nie, nie będzie to wesoła historia. Poza tym nie wiemy, jak głęboka jest woda. Nie wszystkie te twarde drzewa pływają na powierzchni, jeżeli woda jest

12

13

płytką, niektóre będą leżały na dnie i wtedy możemy oderwać kil od łodzi.

— Wydaje się głęboka — zauważył Ginger, chcąc dodać sobie i towarzyszom odwagi. — Spróbuj w tym miejscu, w którym nie ma lilii wodnych.

W międzyczasie Biggles zbliżył się do wody na odległość paru stóp i wychylił się z kabiny obserwując krytycznie jej powierzchnię.

— Dobrze — zgodził się i wzniósł się w górę, aby uniknąć zderzenia z drzewami na przeciwległym końcu jeziora. — Spróbujemy.

Minąwszy brzeg, zawrócił i zaczął lądować. Samolot opadał bardzo wolno w kierunku punktu oznaczonego przez Gingera. Nie było żadnych widocznych przeszkód. Kil „Wędrowca” przeciął powierzchnię wody po czym zanurzył się gwałtownie, wywołując fale biegnące w kierunku brzegu. Maszyna szybko się zatrzymała.

— Świetnie! — zawołał Ginger. — Podejźmy bliżej brzegu, zdaje się, że jest tam nieco piasku. Wskazał kierunek ręką.

Biggles ruszył i zatrzymał „Wędrowca”, zarywszy kilem na piaszczystej pochyłości.

— No, jesteśmy na miejscu — oświadczył.

Ginger chciał już iść w bród do brzegu, kiedy Biggles chwycił go za ramię.

— Chwileczkę — rzekł krótko, wpatrując się uporczywie w pewien punkt.

— Co to jest? — spytał szybko Algy, wyczuwając z brzmienia jego głosu, że grozi niebezpieczeństwo.

— Sami możecie zobaczyć. A może się mylę? — Tu pod tymi drzewami, koło grupy czerwonych orchidei...

Spoglądali w zdumieniu.

— Wielkie nieba, to jakiś człowiek! — szepnął Algy.

— Weźcie waszą broń — rozkazał krótko Biggles i sam pierwszy z rewolwerem w ręce wszedł do płytkiej wody:

\* Człowiek leżał na skraju lasu, z głową zwróconą w kierunku jeziora zjedną ręką wyciągniętą, jak gdyby upadł czyniąc rozpaczliwy wysiłek w celu dostania się do wody. Było widoczne, że jest tubylcem, a w każdym razie nie należy do białych. Miał na sobie jedynie podartą koszulę i niebieskie, perkalowe spodnie, które były także w strzępach.

— On chyba nie żyje — mruknął Ginger, gdy się zbliżyli.

— Nie sądzę — odparł szybko Biggles. — Jeśliby umarł nawet

dopiero przed kilkoma godzinami, byłby już przez ten czas do połowy pożarty. Po lesie włości się stale cała zgłodniała armia przerażonych zwierząt, czyhających na mięso. To samo dzieje się również w wodzie. Biggles przykląkł obok człowieka i obrócił go na wznak. Zobaczył, że jest nieprzytomny.

— Stracił masę krwi — powiedział, wskazując na brzydką plamę ciemniejącą na spodniach człowieka. — Przypatrzmy się, co spowodowało ten upływ krwi.

Rozciął nożem spodnie tak, że ukazała się rana.

— To jest rana od kuli — stwierdził poważnie. — Do diabła! Jak to się stało? Wydaje się, że poza nami jeszcze inni ludzie znajdują się w lesie.

— Nie wiem, co ten człowiek miał tu do roboty? — wtrącił Algy.

— Można by sądzić, że jest zbieraczem chicle lub poszukiwaczem kauczuku. Już wam mówiłem, że chicle zbiera się w lesie. — Spojrzał na Algy'ego.

— Weź flaszkę z wódką i apteczkę podręczną; będziemy musieli zrobić dla tego biedaka wszystko, co jest w naszej mocy.

Oczyścił otwartą ranę w udzie i opatrzył ją, podczas gdy towarzysze robili co mogli, aby przywrócić rannemu przytomność przy pomocy wódki i wody. Nie trwało to długo. Człowiek otworzył oczy. Wydał okrzyk przerażenia i usiłował wstać natychmiast, ale go przytrzymali.

— Ciekaw jestem, jakim językiem on mówi? — spytał Ginger.

— Jeżeli pochodzi z Belize będzie prawdopodobnie mówił po angielsku. Jeżeli nie — spróbuję porozumieć się z nim po hiszpańsku. — Powiedział do niego parę słów i skoro się tylko przekonał, że został zrozumiany, uspokoił nieznajomego i zapewnił, że nie potrzebuje się niczego obawiać.

Wspólnymi siłami ułożyli rannego w wygodniejszej pozycji. Ginger, obserwując go z bliska zauważył, że może mieć około pięćdziesiątki. Wyraz jego twarzy nie był dziki, raczej miły i przyjemny, a skórę miał tak ciemną, że wydawało się, jak gdyby w rodzie jego płynęła krew indiańska i murzyńska. Wkrótce potem wstał i spojrzał na swych dobroczyńców wzrokiem pełnym niedowierzania.

— Jak się nazywasz? — spytał Biggles.

Człowiek wykrztusił jakieś trudne do powtórzenia słowo. Biggles uśmiechnął się.

— W porządku — zwrócił się do pozostałych. — Nazwiemy go po

14

15

prostu Dusky. Co robisz tutaj i kto ciebie postrzelił? — ciągnął dalej, zwracając się do rannego mężczyzny.

Zanim Dusky zdążył odpowiedzieć, dały się słyszeć w pobliżu szybkie kroki. Wszyscy obecni stanęli nagle twarzą w twarz z mężczyzną olbrzymiego wzrostu, który właśnie wyłonił się z lasu. Nikt nie mógłby dokładnie określić jego narodowości, a może nawet on sam nie potrafiłby tego uczynić. Skóra jego była raczej biała niż brązowa, nie ulegało jednak wątpliwości, że jest mieszzańcem. Wzrostu około 6 stóp i odpowiednio tęgi, z karabinem przewieszonym przez ramię, wyglądał na niebezpiecznego włóczęgę. Jedyłą jego odzież stanowiła brudna koszula, rozpięta pod szyją i podarte ubranie bawełniane. Nie miał na sobie nic więcej. Dolną część jego twarzy kryła czarna, zmierzwiona broda. Oczy nabiegłe krwią rzucały nieprzyjemne błyski. Tyle zdążyli zauważyć na pierwsze wejście.

— Czy wiesz coś o tym? — spytał, wskazując na rannego człowieka. Obcy postąpił o krok naprzód, a oczy jego pełne podejrzliwości

biegały niespokojnie od jednego do drugiego.

— Co robicie tutaj? — zapytał ostro.

— Moglibyśmy ciebie o to samo zapytać — brzmiała chłodna odpowiedź Bigglesa. — Strzelałeś do tego człowieka?

Nie odpowiedział od razu. Spojrzał ponurym wzrokiem na Du-sky'ego, po czym zwrócił się znów do tych, którzy stali naprzeciw niego. Przez chwilę obserwował ich z uwagą. Spojrzenie jego było złe.

— Co tu robicie? — powtórzył ostro, zwracając się do Bigglesa.

— Cóż to, kupiłeś sobie to miejsce czy co? Wzrok jego stał się jeszcze groźniejszy.

— Wyjdziecie stąd... szybko.

Biggles spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Wyobrażasz sobie, że możesz nam kazać stąd odejść.

— Wyjdziecie stąd natychmiast, albo nie wyjdziecie w ogóle — warknął mężczyzna.

Biggles zdawał się rozważać rozkaz. Zastanawiał się, czy dalsze pozostawanie tutaj miało właściwie jakiś sens.

— Po co przyszliście tutaj, hę? — pytał dalej mężczyzna podejrzliwie.

— Możesz nam wierzyć albo nie, urządzamy sobie tutaj właśnie piknik.

16

Sarkastyczne spojrzenie, z jakim obcy przyjął tę uwagę, było najlepszym dowodem, że mu nie wierzy.

— Każde jezioro jest dla nas równie dobre — ciągnął dalej Biggles.

— Jeżeli uważasz to jezioro za swoją wyłączną własność, wyniesiemy się

stąd. Tak czy inaczej musielibyśmy to zrobić, ponieważ trzeba będzie zabrać ze sobą tego człowieka do Belize — mówiąc to wskazał na Dusky'ego. — Rana jego wymaga leczenia.

Obcy mężczyzna osłupiał.

— Nie, nie zrobicie tego — rzucił przez zęby.

— Tak postanowiłem — odpowiedział Biggles spokojnie. Mężczyzna uczynił znaczący ruch karabinem.

— Nie próbowałbym tego na twoim miejscu. — Mówiąc to Biggles nie tracił ani przez chwilę panowania nad sobą. Następnie zwrócił się do towarzyszy:

— Wsiadajcie, wiecie, co macie robić.

Algy skinął głową i ujął Gingera za rękę. Powrócili do samolotu.

— Nie zwracaj uwagi na obcego — mówił Biggles do Dusky'ego. — Czy masz na tyle siły, żeby iść, czy mam cię przewieźć?

— Mogę iść, panie. — Dusky uniósł się sztywno, stając na jednej nodze. Mężczyzna uczynił krok naprzód, jak gdyby chciał przeszkodzić jego odejściu, lecz zatrzymał się, kiedy Biggles zwrócił się ostro do niego.

— Stój! Popatrz na łódź.

Mężczyzna rzucił szybko okiem na samolot i zobaczył, że z jednej jego strony wystawał lekki karabin maszynowy typu wojskowego. Przez chwilę wahał się i stał z rozchylonymi wargami, ukazując żółte zęby; następnie obróciwszy się na obcasie, pomknął w głąb lasu. W chwilę później rozdarł powietrze przenikliwy gwizd.

— Zwołuje resztę — szepnął Dusky z przerażeniem.

— Wejść do łodzi — rzucił krótko Biggles i kryjąc się za drzewem, obserwował las, skąd w odpowiedzi nadchodziły okrzyki. Dopiero kiedy wciągnięto Dusky'ego do „Wędrowca”, opuścił swoje stanowisko i wszedł za nim. Był już najwyższy czas. Zaledwie wsiadł do samolotu, zgrają ludzi najbardziej podejrzanych, jakich sobie tylko można było wyobrazić, ukazała się w mrocznym gąszczu lasu i biegła w ich kierunku. Huknął strzał i kula uderzyła w samolot gdzieś w pobliżu ogona.

— Zapuszczaj motor — powiedział Algy'emu, który już zajął Jeżeli wmieszamy się w awanturę, możemy kogoś ni wpadniemy w konflikt z władzami.

17

— Czy mam ich przeczesać trochę, po prostu dlatego, aby wiedzieli, że broń nie jest zabawką? — zaproponował Ginger.

— Nie, nie możemy tracić amunicji. Ostatnie słowo utonęło w warkocie zapuszczonych przez Algy'ego silników. „Wędrowiec” pomknął szybko przez wodę i wzniósł się z wdziękiem w powietrze.

To, co ujrzeli na ostatku, to był widok tłumu mężczyzn stojących na brzegu, który przed chwilą opuścili. Jeden z nich na przedzie, wymachiwał pięścią.

— Nie chciałbym po tym wszystkim spotkać się z tą bandą — oświadczył Ginger.

— A ja nie chciałbym nigdy wpaść w ich ręce — stwierdził krótko Biggles.

— Dokąd mam lecieć? — zawołał Algy.

— Wróć na to jezioro, z którego wystartowaliśmy dziś rano — rozkazał Biggles. — Pragnę zamienić parę słów z Dusky'm, zanim zadecydujemy, co mamy dalej robić.

Rozdział III

Dusky opowiada swoją historię, a Ginger czerpie z niej

naukę

Powrót do jeziora nie zabrał im dużo czasu, ponieważ w prostej linii nie było więcej niż czterdzieści mil od miejsca spotkania. Skoro tylko „Wędrowiec” bezpiecznie wylądował, zabrano się do przygotowywania posiłku, zbliżała się bowiem już pora obiadowa. Należało też zająć się Dusky'm, który znajdował się w pożałowania godnym stanie. Mówiono niewiele, dopóki wszyscy się nie nasycili,

wreszcie Dusky pierwszy oświadczył, że ma już dosyć. Ginger przyrządził kawę na maszynie spirytusowej, podczas gdy Biggles zbadał ranę Dusky'ego i opatrzył ją jak najstaranniej.

— To nic poważnego — orzekł. — Kula przeszła na wylot. Dobrze, że nie musimy jej wyjmować. Na szczęście nie naruszyła kości. Ciało wygląda dość zdrowo, rana powinna więc zagoić się w ciągu kilku dni.  
— Stwierdzając to, Biggles nie wziął pod uwagę zadziwiającej odporności tubylców, dzięki której rana obecnie goiła się z niesłychaną wprost szybkością. Dusky, prawdopodobnie z przyzwyczajenia do bólu i niewygód, uważał ją za zwykłe zadraśnięcie.

Po nałożeniu opatrunku Biggles polecił Dusky'emu, aby im opowiedział, w jakich okolicznościach został zraniony. Wyczuwał tajemnicę, dlatego chciał poznać dokładnie całą sprawę.

— Dobrze, panie, opowiem wam wszystko — odparł skwapliwie Dusky.

— W porządku. Wyjaśnij przede wszystkim, co robiłeś w lesie i w jaki sposób ten olbrzym cię chwycił.

— Pan myśli o Bogacie?

— Czy to jego nazwisko?

— Si, senior. Cristobal Bogat. — Dusky mówił językiem angielskim

19

z lekkim akcentem murzyńskim, wtrącając wyrazy hiszpańskie. Jest to mowa dość często spotykana w Środkowej Ameryce.

— Jestem zbieraczem chicle, panie — ciągnął dalej. — Ja i moi bracia kupiliśmy łódź, by pracować na własną rękę; dostarczaliśmy chicle w dół rzeki do Belize. Przez jakiś czas wiodło nam się dobrze, aż pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że zbieracze chicle, którzy udali się w górę rzeki, nie wrócili więcej. Kiedy następnie udaliśmy się jeszcze raz na wyprawę, wpadliśmy w ręce ludzi tego Bogata. Zaczęli strzelać do nas. Zabili braci, a mnie chwycili i kazali pracować. Zrobili ze mnie niewolnika.

Biggles zmarszczył czoło.

— Niewolnika? Mówisz to na serio?

— Naturalnie, panie.

— Ale przecież niewolnictwo już dawno zostało zniesione. Dusky potrząsnął smutnie głową.

— Ale nie w górze tej rzeki, panie.

— O jakiej rzece mówisz?

— O Rzece Nieznanej.

— Przecież znajdujemy się na jeziorze.

— No, tak, ale rzeka wypływa z lasu, niedaleko od tego miejsca. Biggles skinął głową.

— Rozumiem. Czy władze wiedzą o tej pladze?

Dusky wzruszył ramionami. — Prawdopodobnie. W całej okolicy Belize mówią dużo o tym. Możliwe, że rząd nie jest w stanie temu zaradzić.

— Co to za człowiek ten Bogat?

— On jest prawą ręką Króla Puszczy. Biggles zmarszczył czoło.

— Króla Puszczy? Tam do licha! To bardzo ambitny tytuł. Któż jest tym świetnym monarchą?

— Nie wiem, panie. Nikt nie wie właściwie. Niektórzy twierdzą, że jest mieszkańcem murzyńskim, który zabił urzędnika rządu w Belize

i umknął; inni znów powiadają, że jest białym człowiekiem. Nazywają go Tygrysem. Jest to silny, olbrzymiego wzrostu mężczyzna. Wszyscy go się boją. Zatrudnia tysiące Indian i różnych białych ludzi. Mówią, że siedzi w jakimś mieście w górze rzeki. — Dusky przerwał.

— Mów dalej — zachęcał Biggles. — To zaczyna być interesujące. Powiedz nam wszystko, co wiesz.

Dusky podrapał się w głowę.

— Nie ma tu wiele do powiedzenia, panie.

— Opowiedz nam, co ci się przydarzyło.

— Złapali mnie z całą grupą zbieraczy chicle i zmusili do pracy. Inne grupy ściągają kauczuk.

— A Tygrys wszystko to zabiera, co?

— Oczywiście, panie.

— Co on z tym robi?

— Nie wiem dokładnie, lecz mówią, że wysłała jakąś inną drogą w górę rzeki, a potem dalej za granicę.

— To wcale niezły interes. Gromadzi się surowiec na terytorium brytyjskim, następnie przemycza prawdopodobnie w ten sposób, żeby Tygrys nie musiał opłacać cła. Mów dalej Dusky.

— Pracowałem przez cały rok. Może nawet dłużej — nie wiem. My, niewolnicy, byliśmy wszyscy chorzy z powodu złego odżywiania, a kiedy nie mogliśmy pracować, bili nas batami. Ten Bogat jest gorszy od samego diabła. Jednego dnia przyszło dwóch białych. Chcieli się zobaczyć z Tygrysem. Bogat ich zatrzymał. Wszystkich zmuszono do pracy. Od tej pory przestaliśmy zbierać chicle. Przeniesiono nas w las do dużego, tajemniczego miasta, gdzie zaczęliśmy kopać.

— Czego szukaliście? Dusky potrząsnął głową.



— Nikt nie wie, nikt z wyjątkiem Tygrysa i białych ludzi. Przypuszczaliśmy, że szukają złota. Z początku kopaliśmy pod starą świątynią...

— Znaleźliście co? — wtrącił szybko Ginger.

— Niewiele. Trochę srebrnych dzbanów. Potem zaczęliśmy kopać w innych miejscach.

— Dlaczego oni strzelali do ciebie? — spytał Biggles.

— Bo uciekłem. Nie mogłem dłużej wytrzymać bicia. Jednej nocy z kilkoma przyjaciółmi umknąłem; miałem nadzieję, że dostanę się w jakiś sposób do Belize. Bogat na czele swej bandy zaczął do nas strzelać. Chciał się nas pozbyć; wiedział, że gdy uda nam się wrócić do Belize, zdradzimy ich. Wszyscy zostali albo zabici, albo ujęci. Mnie również postrzelono. Mimo tego biegłem, dopóki sił starczyło.

— A czy twoi towarzysze, których zabili, należeli także do zbieraczy chicle i pochodzili z Belize?

— Oczywiście.

Biggles spojrzał na pozostałych.

21

— To ładna historia — mruknął ze złością.

— Ci ludzie jeśli nawet nie byli brytyjskimi poddanymi, tfl z pewnością pozostawali pod opieką brytyjską. Wydaje mi się, że jul najwyższy czas, aby ten samozwańczy Król Puszczy został utraconj! Prawdopodobnie jest to ten sam osobnik, o którym nam wspominał Carruthers. Sądję, że powinniśmy obecnie wrócić w dół rzeki i zawiadomić o tym Carruthersa. Niech rozstrzygnie, co mamy robić! Sprawa przedstawia się dla nas nieźle: mamy teraz sprzymierzeńca w Duskym. Zna on zapewne doskonale drogę w tej części dżungli.

— Jediną przeszkodą byłoby nieprzychylnie stanowisko CarrutherJ sa. Może on nie życzy sobie naszego powrotu? Wydaje mi się, że jesl odpowiedzialny za wszystkich podróżujących w swojej prowincji —l zauważył złośliwie Algy.

— Powiem wam, jak moglibyśmy to zrobić — oświadczył Ginger! — Nie musimy wszyscy wracać do Belize. Dwóch tu zostanie i wtedyl maszyna będzie musiała po nas przylecieć

— To dobry pomysł — zgodził się Biggles. — A więc najlepiej będzie, jeśli ty, Algy, wybierzesz się do Belize i porozumiesz sięl z Carruthersem. Reszta zostanie tutaj. Powiedz mu, jakie zebraliśmy! wiadomości i poproś o radę. Możesz polecieć dzisiaj, a wrócić jutro. Nie ma wcale wielkiego pośpiechu.

— Zgoda, skoro uważasz, że to dobry plan.

— Nie sądję, żeby mógł być lepszy. Dalej więc! Wyładujemy najpierw trochę zapasów na brzeg, a potem rozbijemy obóz. Ginger będzie miał sposobność uzupełnienia swojej kolekcji motyli, my zai będziemy oczekiwali twojego powrotu.

Niedługo po tej rozmowie Biggles i Ginger, stojąc przed rozpiętym namiotem z zielonego brezentu, obserwowali, jak Algy wzniosł się naj „Wędrowcu” i poszybował w kierunku wybrzeża. Kiedy już zniknął irń z oczu, zajęli się doprowadzeniem obozu do porządku wkładając zapasy i umocowując hamaki oraz moskitiery. Dusky odpoczywał tymczasem w cieniu na materacu nieprzemakalnym, rozłożonym na małym skra w-i ku ziemi, którą wypalił, aby odpędzić niepożądane owady. Po ukończeniu wszystkich prac, Ginger wziął swoją siatkę na motyle i oznajmił, że ma zamiar wybrać się na poszukiwanie rzadkich okazów. Zdziwiło go i niemniej oburzyło zachowanie Dusky'ego, który sprzeciwiał się temu! spacerowi ze względu na groźące niebezpieczeństwo: wiadomo przecież, że w dżungli jest dużo owadów i gadów, poza tym istnieje również

22

możliwość zabłądzenia. Trudno było Gingerowi w to uwierzyć. Był zdania, że dużo jest w tym przesady. Oczywiście takich żyjątek, jak kleszcze i pijawki jest sporo w dżungli, lecz mogą one stanowić raczej źródło oewnych przykrości niż prawdziwe niebezpieczeństwo dla odpowiednio wyekwipowanego podróżnika. Biggles nie zabronił mu pójścia, lecz ostrzegł go, aby się miał na baczności. Ginger przyrzekł unikać wszelkiego ryzyka zapewniając, że nie oddali się zbyt daleko od obozu. W tylnej kieszeni nosił rewolwer, który, jak twierdził, zapewni mu osobiste bezpieczeństwo. Z siatką na motyle pod pachą i puszką na okazy w chlebaku ruszył w las.

Z początku nie usiłował nawet łapać motyli, chociaż dostrzegł ich mnóstwo. To, co widział dookoła, wzbudziło w nim zachwyt. Uwagę jego zwracały liczne odmiany kolibrów o wspaniałych barwach; krzyżące papugi o pięknym żółtym, błękitnym i czerwonym upierzeniu; gromady tukanów i tanagerów okazałe wyglądających w czarnym upierzeniu z ognisto-czerwoną plamą na ogonie. Widział także małpy, które przeraźliwym wyciem dawały mu znać o swojej obecności, w miarę, jak się do nich zbliżał.

W pobliżu stawku zobaczył wielką ilość błękitnych i różnokolorowych motyli. Jedne piły wodę, inne krążyły nad stawkiem tworząc istną kaskadę kwiatów. Zauważył również najrozmaitsze osy, pszczoły i inne owady, jakich nigdy przedtem nie widział.

Postanowił złapać parę motyli unoszących się nad stawem, lecz trudno mu było podejść do nich. Właściwie las był w tym miejscu otwarty, nie mógł jednak wydostać się z niego, gdyż pomiędzy nim a stawem znajdowała się przestrzeń porośnięta gęstą pnącą rośliną z różowymi i czerwonymi kwiatami. W ten sposób zdawała się tworzyć zaporę nie do przebycia.

Gdy przysięgał Bigglesowi, że będzie uważał, aby nie zabłądzić, był pewny, że dotrzyma słowa; miał szczerzy zamiar obserwować drogę. Zanim jednak zdołał zbliżyć się do stawu, zapomniał o obietnicy. Przyglądał się tylko drzewom chcąc zapamiętać ich kształty i rozpoznać je w drodze powrotnej. Zboczył nieco; pragnął dostać się do stawu z drugiej strony. Po chwili zatrzymał się nad brzegiem mniejszego stawu ukrytego w lesnej kotlinie przedziwnej piękności. Ponieważ było tam również mnóstwo motyli, natychmiast zabrał się do pracy łapiąc z łatwością tyle, ile tylko siatka mogła pomieścić. Często chwycił parę sztuk naraz, a następnie sortował podziwiając ich piękno.

23

Gdy stwierdził, że już ma dość, ruszył w powrotną drogę. Dopiero teraa zorientował się, że siedział dłużej, niż zamierzał. Zaczynało się ściem-j niać.

Był to jego pierwszy błąd, o czym przekonał się później. W pewnej odległości ujrzał zasłonę z różnych pnączy, które uniemożliwiły mu przedtem bezpośrednie dojście do większego stawu. Sądząc, że ominął brzeg, skierował się wprost na nie. Gdy jednak zatrzymał się przy kwiatach i nie zobaczył stawu, uprzytomnił sobie, że uległ pomyłce: niej były to te same kwiaty, które widział poprzednio. Ani przez chwilę niej odczuwał strachu; w dalszym ciągu widział zasłonę z pnączy w bliskiej odległości od siebie. Raczej zdawało mu się, że widzi. I znowu, gdy5 zbliżył się do nich nie zobaczywszy stawu, przekonał się tylko, że w lesie było pełno takich pnączy.

Zaczął padać deszcz. Zakłopotanie jego stawało się coraz większe. Z uczuciem niepewności ruszył w stronę lasu. Miał rację, ale bezwiednie minął tę ścieżkę nie zauważwszy jej. Po kilku minutach zorientował się, że zabłądził. Sytuację pogarszał fakt, iż liście drzew tworzyły bardzo gęstą zasłonę, przez którą zaledwie słabe przenikało światło. Zapadał mrok. Ginger jednak nie stracił głowy. Uczynił to, co w podobnych okolicznościach uważał za najrozsądniejsze. Przystanął i wyjąwszy rewolwer, oddał trzy strzały w powietrze w krótkich odstępach czasu. Prawie natychmiast otrzymał trzykrotną odpowiedź. Doznał uczucia ulgi stwierdziwszy, że znajduje się w pobliżu obozu. Ruszył w kierunku, skąd odpowiadały mu strzały. I to był oczywiście jego drugi błąd. Kiedy po upływie paru minut nie zobaczył Bigglesa, opanowały go nowe wątpliwości. Wypalił jeszcze raz. Odpowiedź padła z karabinu jakby z wielkiej odległości. Właściwie było znacznie bliżej, niż przypuszczał, lecz wtedy nie orientował się jeszcze, że wszelkie odgłosy, nawet strzały, nie rozchodzą się daleko w gąszczu dżungli.

Po przerwie strzelił znowu. Tym razem nie było odpowiedzi. Ściemniło się już zupełnie. Zły na samego siebie, na dziecinne zachowanie się, postanowił rozpalić ogień i w tym celu ułamał kawałek suchego drzewa z pobliskiej gałęzi. Okrzyk bólu wydarł się z piersi: rzucił gałąź jak gdyby była rozpalona. Zdawał sobie sprawę, że został ukąszony. W ciemności czuł, że coś chodzi mu po ręce. Z przerażeniem zrzucił to z siebie. Po chwili bolesne ukąszenie powtórzyło się na karku. Teraz miał już pewność, iż strząsnął jedno z niemiłych stworzeń — osę czy mrówkę, które siedziały na gałęzi.

24

przez kilka minut stał bez ruchu. Nie chciał za żadną cenę poddać się łękowi. Coś otarło się o jego twarz i przeleciało z lekkim świstem wywołując w nim znowu uczucie strachu. Deszcz ustał. Na ziemi dały się słyszeć jakieś dziwne szmery. Z bliska dochodziły niemiłe głosy. Przerażeniem nappełniała go myśl, że może przypadkiem nadepnąć na węża, których mnóstwo znajdowało się w dżungli.

Jak długo błądził w ciemności, nie wiedział. Ból spowodowany ukąszeniem owadów i skaleczeniem cierni wywoływały w nim obawę, że utraci rozum, zanim jeszcze nastąpi świt. Był już na granicy obłądu. W całkowitym zwątpieniu strzelił po raz ostatni.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu i radości usłyszał w odpowiedzi okrzyk, a potem ujrzał blask pochodni zbliżający się w jego kierunku. Niósł ją Biggles. Utykając i opierając się na dwóch laskach, szedł Dusky. On też prowadził ich z powrotem do obozu.

Ginger niewiele już teraz myślał o swoich motylach, bo chociaż gościł w dżungli zaledwie parę godzin, był dostatecznie pokąsany i podrapany. Na nogach miał pełno pijawek, które usunięto z łatwością. Słaby i wynędzniały z powodu niedawnych przeżyć, pozwolił Bigglesowi opatrzyć swe rany, po czym ułożył się w swoim hamaku. Biggles nie robił mu wymówek.

— Sądzę, że w przyszłości będziesz słuchał rad Dusky'ego — to były jego jedyne słowa.

— Nie gniewaj się. Mam już dość dżungli, przynajmniej na razie — oświadczył z goryczą Ginger.

W takich warunkach nie wytrzymałby człowiek więcej niż dwadzieścia cztery godziny — stwierdził poważnie Biggles. — A teraz chodźmy lepiej spać.

## Rozdział IV

### Gość i tajemnica

4

Zbliżało się już południe następnego dnia, kiedy turkot silników „Wędrowca” oznajmił powrót Algy'ego. Wylądował i zbliżywszy się do obozu krzyknął:

— Przywiozłem wam gościa!

Biggles spojrział uważnie i zobaczył mężczyznę w białym kombinezonie, który siedział obok Algy'ego.

— Wielki Boże! — wykrzyknął — to Carruthers. Gubernator wysiadł na brzeg z Algy'm. Za nim postępował wysoki,

wychudzony mężczyzna. Skóra jego żółta od licznych nawrotów febry, wydawała się po prostu naciągnięta na kości. Niósł ze sobą teczkę. ; Carruthers pozdrowił serdecznie obecnych i przedstawił im wysokiego mężczyznę, Marcelęgo Chorro, swojego głównego urzędnika. '

— Mieliście zatem niemiłą przygodę? — zapytał.

— Nie wydajesz się tym wcale zdziwiony — zauważył Biggles. Carruthers wzduszył ramionami.

— Dlaczego miałbym się dziwić? Powiedziałem ci już, że większość ludzi w tej części świata prędzej czy później wpada w rozmaite kłopoty. Jeżeli nie w takie, to w inne. Muszę jednak przyznać, że niedługo czekaliście na przygodę.

— Przypuszczam, że Lacey powiedział ci, co się stało?

— Tak.

— Dobrze. W takim razie usiądźmy i omówimy całą sprawę. Ciekaw jestem, co powiesz na to. Ginger, mógłbyś przynieść coś do picia.

— Słucham, kapitanie.

Zaczęli się naradzać. Carruthers przemówił pierwszy:

26

— Muszę wam przede wszystkim postawić pytanie, co teraz myślicie o tej sprawie? Chodzi mi o to, czy chcecie pozostać tutaj, czy pragniecie dalej kontynuować wycieczkę dla przyjemności?

— Ja już przemyślałem wszystko — odezwał się z kolei Biggles.

Mówiąc otwarcie, nasze postępowanie będzie zależało wyłącznie od twojej rady. Co chcesz, abyśmy zrobili? Znasz dobrze kraj; poza tym jesteś przedstawicielem władzy i wobec tego nie powinniśmy działać wbrew twoim poleceniom. Powiedz nam, jakie jest twoje zapatrywanie na tę sprawę.

Carruthers napił się trochę i zapalił papierosa, zanim odpowiedział.

— To nie takie proste — przyznał. — Jak wam już mówiłem, doszły nas wiadomości o istnieniu człowieka, który nazywa siebie Królem Puszczy. Mówiono również o jego pomocniku Bogacie, lecz wiem o nich niewiele więcej niż wy. Nie wiedziałem w ogóle o tym handlu niewolnikami ani o pracach wykopaliskowych, które przeprowadzili. Nie słyszałem również o pojawieniu się tych dwóch białych. Nie mam pojęcia, co to za jedni.

— Czy oni nie należą przypadkiem do amerykańskiej ekspedycji? — poddał Biggles.

— Tak należałoby sądzić. Dlaczego jednak połączyli się z bandytami?

— Uważam, że powinienesz położyć kres działalności tego króla, o ile to jest w twojej mocy.

— Oczywiście. Właściwie powinniśmy to zrobić.

— Dlaczegoż więc tego nie robisz?

Carruthers wniósł ręce do góry wskazując dłońmi las po drugiej stronie.

— Drogi przyjacielu, czy zdajesz sobie sprawę, jak daleko rozciąga się dżungla? Mógłbyś w niej pozostawić całą armię i spędzić następnie resztę swojego życia na daremnym jej poszukiwaniu. Potrzebowałbyś całej armii, aby zrobić tutaj porządek ze wszystkim. Niestety nie posiadamy jej. Pomyśl tylko, ile kosztowałoby wysłanie choćby małego oddziału ludzi wraz z koniecznym wyekwipowaniem i zapasami na taką wyprawę.

— Daruj, że nie zgodzę się z tobą — mówił Biggles z niewzruszonym spokojem. — Gdyby mnie powierzono to zadanie, nie myślałbym o żadnej armii. Połowa ludzi znalazłaby się w krótkim czasie w szpitalu. To jest zajęcie dla małego, ruchliwego oddziału.

27

Carruthers spojrział na niego przenikliwie.

— Masz zatem na myśli grupę podobną do twojej?

— Decyzja zależy od ciebie. Carruthers potarł sobie policzek.

— Może masz nawet rację — przyznał. — W każdym razie jas jest, że nie zdajesz sobie sprawy, na co się narażasz. Jaki masz plan? czego chcesz zacząć?

— Przede wszystkim należy znaleźć główną kwaterę tej bandy a następnie wy badać, co oni robią. Jeżeli działalność ich jest niezgodna z prawem — a co do tego, nie ma, zdaje się, najmniejszej wątpliwości najbliższym krokiem powinno być uwięzienie lub przynajmniej wypędzenie ich z kryjówek.

— W jaki sposób?

— Trochę cierpliwości... To już będzie zależało od warunków. Musimy jednak znaleźć jakąś drogę. Choć w tej chwili wydaje się nam, że stoimy wobec trudności nie do pokonania.

Carruthers skrzywił się.

— To będzie niebezpieczna sprawa.

— Musimy zaryzykować. Gubernator spojrział ostro na Bigglesa.

— Na Dzinga! Podobasz mi się! — Obawiam się, że my, biedni samotnicy, którzy tkwimy tu w kraju podzwrotnikowym, staliśmy się nieco ociężały. Gdybym wam dał odpowiednie upoważnienie, czy moglibyście przedstawić wasze plany i wyjaśnić mi, jak wyobrażacie sobie unieszkodliwienie tej bandy?

— A co rozumiesz przez upoważnienie? — spytał wolno Biggles.

— Mógłbym was zaprzysiąc jako konstablów do specjalnych poruczeń, ale — Carruthers uśmiechnął się — czy zdajecie sobie sprawę z tego, że ja nie mam odpowiednich funduszy na takie przedsięwzięcie?

Możecie jedynie otrzymać pobory konstablów: trzy szylingi dziennie. Ale to nie ma znaczenia, bo jeżeli cała akcja osiągnie pomyślny skutek, to wtedy niewątpliwie bogaci ludzie w kraju pokryją wasze wydatki.

— Patrząc na sprawę z finansowego punktu widzenia, w żadnym razie nie można jej nazwać sposobnością, z której należałoby skwapliwie skorzystać — odparł z uśmiechem Biggles. Tygrys naraża z pewnością rząd na straty, które sięgają tysięcy funtów rocznie. Gdybym go chwycił i dostawił do więzienia, mógłbym się spodziewać nagrody.

Carruthers uśmiechnął się.

— Oczywiście, gdyby ci się to udało, cała banda dostałaby odpowiednio ciężki wymiar kary; musieliby zwrócić wszystkie pieniądze, a wtedy można by też pokryć wszystkie wasze wydatki. Sądzę jednak, że to pozostawisz już mnie.

— Naturalnie. Wszystko w porządku — zgodził się skwapliwie Biggles. — Musiałem jednak to podkreślić, ponieważ nie jesteśmy milionerami. Poza tym jest rzeczą konieczną, abyśmy mieli wolną rękę i mogli działać według własnego uznania.

— Oczywiście.

— W porządku. — Biggles spojrzał na pozostałych. — Zdaje się, że to już wszystko, cośmy mieli do powiedzenia. Zobaczmy, co będzie można zrobić.

— Świetnie — zgodził się Carruthers. Oddaję całą sprawę w wasze ręce. A teraz, kiedy już wszystko ułożone, będę musiał wrócić do mego biura. Mam dużo pracy w związku z nieobecnością gubernatora.

— W takim razie zjemy coś, a potem odwiozę cię z powrotem. Bardzo to ładnie z twojej strony, że przyleciałeś.

— Nie ma o czym mówić. Przeciwnie — to ja jestem wam bardzo wdzięczny za pomoc. Czy potrzebujecie jeszcze czegoś?

— Owszem — odpowiedział szybko Biggles. — Jedną z poważnych przeszkód jest sprawa benzyny. Liczyliśmy na to, że w czasie naszej wycieczki znajdziemy się w pobliżu Belize, gdzie będziemy mogli uzupełnić zapas paliwa. Wprawdzie moja maszyna jest dość pojemna, lecz muszę mieć zawsze trochę benzyny w tankach na powrót. To znaczy, że jeżeli znajdę się w dużej odległości od Belize, nie będę mógł poruszać się na większej przestrzeni, a latanie tam i z powrotem do wybrzeża będzie połączone ze zbyt wielkimi kosztami. Czy mógłbyś nam dostarczyć trochę benzyny? Gdybyś posłał ją w górę rzeki, przewoźnicy mogliby złożyć ją gdzieś na brzegu.

— Rozumiem — odparł Carruthers. — Trzeba to jakoś urządzić. Mogę ci zaraz posłać trochę benzyny. Niedaleko stąd, w dole rzeki, w jednej z naszych placówek, jest mały magazyn, który służy do zaopatrywania łodzi rządowych. Wyślę ci na razie niewielki zapas pospieszonymi łodziami. Resztę dostaniesz później. W międzyczasie wydam polecenie naszej najbliższej placówce rzecznej, aby ci dostarczyła benzyny w górę rzeki. Obserwuj rzekę dokładnie. Jeżeli zobaczysz płynącą łódź, wylądujesz w pobliżu; będziesz mógł wtedy wydać ludziom polecenie, aby złożyli zapas w upatrzonym przez ciebie miejscu.

To jest doskonały plan — ucieszył się Biggles.  
To jest doskonały plan — ucieszył się Biggles.  
lewej stronie. Kiedy opuszczał

I zobaczył podobne uszkodzenie także i po

Zaoszczędzi nam wiele kłopotu. Ale czy możemy liczyć na pewni maszynę jak mógł najłagodniej, był bardzo błąd; westchnienie ulgi na przyjazd łodzi? Mielibyśmy ładny kram. gdyby nasze tanki słydało mu się z piersi, kiedy bezpiecznie osiadł na wodzie. Czuł się opróżniły a nowy zapas nie nadszedł.

■bliski omdlenia na myśl, że jeden nieostrożny ruch w powietrzu mógł

— Nie martw się. Ja już tego dopilnuję — obiecał Carruthers. Łpowodować oderwanie się skrzydeł. Znalazłszy się na wodzie, siedział

— To mi wystarczy — zgodził się Biggles. Iprzez chwilę spokojnie, czujnie obserwując linki. Jak przypuszczał na Na tym skończyła się rozmowa. Po obiedzie Biggles4odwiólpoczątku, prawe skrzydło pracowało samo; wypadek taki może się

gubernatora do Belize, gdzie przenocował, pozostawiając resztę przylzdarzyć w każdej mechanicznej konstrukcji, chociaż nie powinno się jaciół na straży obozu.

loczywiście do tego dopuścić. A ponieważ „Wędrowiec" przeglądany był

Wczesnym rankiem następnego dnia siedział w kabinie nie mogalkażdego dnia, łatwo można było zauważyć, w jaki sposób się to stało, doczekać się powrotu, aby omówić plan nowej akcji. Zarówno dla be\*Całkiem zrozumiałe było rozluźnienie się jednej linki, lecz żeby dwie pieczeństwajak i dla łatwiejszej orientacji trzymał się brzegu rzeki. W rJrozkręciły się równocześnie, to wydawało się nieprawdopodobne, zie defektu silnika, mógł wyładować z łatwością, a ponieważ rzeka wsk\*Krótko mówiąc, taki przypadek wystarczał, aby powziąć uzasadnione zywała kurs, nie trzeba go już było pilnować. Znajdował się w odległośćodejście.

około pięćdziesięciu mil od miejsca przeznaczenia. Miał już zmienić kiel Twarz Bigglesa była bardzo zmieniona, kiedy wydrapał się na prawe runek lotu i udać się w stronę jeziora, kiedy nagle spostrzegł, że klamrlskrzydło i dokonał potrzebnej reperacji. Klamra zupełnie się rozluźniła przy linkach sterowych są rozluźnione. W jaki sposób to zauważy» trzymała linkę jedynie na dwóch drutach. Podobnie przedstawiała się trudno powiedzieć. Kierował nim jedynie instynkt pilota, który młprawa po drugiej stronie. Samo drganie maszyny mogło spowodować kazał zwracać baczną uwagę na wszystko, co się dzieje dookoła, choćb zerwanie się linek i katastrofę samolotu. Zadowolony, że wszystko jest to w danej chwili nie miało pozornie żadnego znaczenia. Jego bacznłjuż w porządku, wystartował i poleciał nad jezioro, gdzie znalazł oczy obserwujące klamrę, która była połączona za pomocą linek л wszystko tak, jak zostawił poprzedniego dnia. Algy z Gingerem czekali skrzydłami sterowymi, zatrzymały się nagle i znieruchomiały. W sełjuż na niego. Dopłynął do brzegu, wyłączył motor i rzuciwszy oczeku-

kundę później lewą ręką zamknął gaz, równocześnie przesunął kabej lekko naprzód, tak że „Wędrowiec" zaczął wolno zniżać się ku rzec© która miała w tym miejscu około stu jardów szerokości.

Mogłoby się to komuś wydawać drobnostką bez znaczenia, 01] jednak jako pilot stwierdził następujący fakt. Klamry przy linkacli sterowych powinny być tak dokręcone, żeby widać było najwyżej jedna czy dwie linki. W tej chwili widać było sześć, a ponieważ liczba wszystkich razem wynosiła osiem czy dziewięć, oznaczało to, że całą pracę wykonywały dwie albo trzy linki. Nawet zwyczajny nacisk na skrzydła wystarcza, aby wyrwać z klamry linkę, która ma kształt długiego, dość grubego kawałka metalu,



a ponieważ skrzydła utrzymują położenie poszczególnych linek, w razie ich pęknięcia lub wyskoczenia z klamry, nic nie byłoby w stanie zapobiec oderwaniu się skrzydła.

Klamry przy linkach sterowych, które ujrzał Biggles, znajdowały się po prawej stronie. Co skłoniło Bigglesa do tego, że spojrzął na linki po lewej stronie, sam nie wiedział. Ku swemu nieopisanemu przerażeniu

30

jącym go przyjaciółom linę, szybko znalazł się na lądzie.

— Ginger, na ciebie przypadała wczoraj kolej przeglądu maszyny — rzekł ze spokojem. — Nie zapomniałeś o tym przypadku, co?

Ginger czuł się urażony.

Oczywiście, że nie zapomniałem — odparł gwałtownie. — Dlaczego pytasz o to?

— Ponieważ lecąc dziś rano zauważyłem przypadkiem, że klamry przy obu linach sterowych były prawie zupełnie rozluźnione. Musiałem wodować na rzece i umocować je.

Przez chwilę panowała grobowa cisza.

— Mówisz przy obu linach? — wybuchnął Algy.

— Tak jest.

— Zatem musiał je ktoś rozkręcić — oświadczył Algy z takim naciskiem, że stało się jasne, iż wyklucza tutaj wszelki przypadek.

— Tak, sądzę, że to jest jedyne możliwe wytłumaczenie — przyznał Uggles.

31

— Tego nie mógł tutaj nikt zrobić — wtrącił Ginger.

— Zgadzam się. A więc musiało się to stać jedynie w Belize.

— Czy nie postawiłeś nikogo na straży koło maszyny w nocy? pytał Algy.

— Nie. W jakim celu? Nie miałem najmniejszego powodu i przypuszczenia, że ktokolwiek chciałby ją uszkodzić. Postaram się jednak, aby się to więcej nie zdarzyło.

— Był ktoś, komu specjalnie zależało na zniszczeniu maszyny.

— To jeszcze nie wszystko. On chciał równocześnie mnie zabić.

— Ale ktoś u licha mógł mieć taki zamiar? Biggles uśmiechnął się lekko. To właśnie musimy zbadać przede wszystkim — odparł. — Jedj

nymi naszymi nieprzyjaciółmi w tej części świata, mogliby być osobnic związani z Tygrysem i jego towarzyszem Bogatem. Wydaje się prawdę podobne, że Tygrys ma przyjaciół w Belize.

— To jest jedyne rozwiązanie zagadki — mruknął Ginger. Sieć Tygrysa sięgają na pewno aż do wybrzeża. Zatem ostrzeżenie to jest wstępem do walki, musimy mieć oczy otwarte.

— Oczywiście, musimy — przyznał skwapliwie Biggles. — chodźmy na obiad; za późno już dzisiaj, aby cośkolwiek zaczyna Wobec tego przygotujemy sobie wszystko i jutro wczesnym rankiem ruszymy. Jak się czuje Dusky?

— Świetnie. Skacze już, jak gdyby mu nic nie brakowało.

— Powiedziałeś mi, że mamy zamiar unieszkodliwić Tygrysa?

— Tak.

— Co on na to?

— Okazał od razu gotowość pomocy — oświadczył Ginger. -zapomniał, że Bogat zamordował jego braci.

— Dobrze. Sądzę, że będzie nam użyteczny. Chodźmy teraz co zjeść, a potem omówimy plan naszej akcji.

## Rozdział V

### Nieprzyjaciel uderza

W czasie dyskusji, w której wziął udział i Dusky, postanowiono wstać wcześniej i opuścić o świcie jezioro, udać się pod kierunkiem Dusky'ego na miejsce, gdzie musiała się przypuszczalnie znajdować główna kwatera Tygrysa. Czy Dusky rozpozna okolicę z samolotu nie było zupełnie pewne — jeśli chodzi jednak o drogę lądową, wydawało się, że nie miał najmniejszej wątpliwości co do kierunku. Do chwili ustalenia miejsca kwatery Tygrysa, nie można było oczywiście niczego przedsięwziąć. Postanowiono, że obecny obóz będzie im służył jako tymczasowa baza; o ile znajdą później odpowiedniejszą bazę w pobliżu nieprzyjaciela, przeniosą się do niej. Następnie zajęli się przygotowaniem obozu na dłuższy postój, wyrwijąc krzaki i okalając nimi namiot od strony lasu. Gdy noc zapadła, przymocowali „Wędrowca” do samego brzegu i ułożyli się do snu w hamakach, zasunąwszy nieodzowne moskitiery. Nastąpiła krótka

dyskusja nad tym, czy mają czuwać na zmianę, lecz w końcu przeważyło zdanie Dusky'ego, który oświadczył, że nie znajdują się w okolicy nawiedzanej przez dzikich, wobec czego ostrożność jest zupełnie zbyteczna.

W jakiś czas później obudził się Ginger ze snu — nie wiedział, która to może być godzina — i skonstatował ze zdumieniem, że Dusky rozmawia po cichu z Bigglesem. Uprzytomnił sobie, że zbudził go dźwięk ich głosów. Biggles widząc, że Ginger nie śpi, odezwał się do niego:

- Dusky przysięga, że ktoś chodzi po lesie.
- Czy to ma znaczyć, że słyszał czyjeś kroki?
- Właściwie nie. Ja twierdzę, że były to odgłosy wydawane przez pewne owady żyjące w lesie, które wskazują na to, iż w ślad za nimi idą ludzie. Dusky jest przekonany, że zdążają w- naszym kierunku.

Skarb w dżungli

33

- Przecież nikt nie może wiedzieć, że my się tutaj znajdujemy
- Właśnie to samo mu powiedziałem. Mimo to jednak, upiera się przy swoim. Zbudź lepiej Algy'ego.
- Może to jest grupa poszukiwaczy chicle, która nie ma z nami nic wspólnego?

Dusky potrząsnął głową.

- To nie są chicleros — oświadczył stanowczo. — Oni nie chodzą w nocy. Nie mają odwagi.
- Bylibyśmy szaleni, gdybyśmy nie zareagowali na uwagi DuJ sky'ego — powiedział Biggles i zaczął się ubierać. — Zbudź Algy'ego! Ubierajcie się obaj szybko. Wyjdziemy z namiotu i będziemy nasłuchiwać. Weźcie broń ze sobą. Sam wziął karabin i włożył nabój do lufy]

Zgromadziwszy się przed namiotem, stanęli na skraju lasu i słuchała w napięciu. Księżyc świecił nisko na niebie, rzucając smugę srebrzystego światła na nieruchomą powierzchnię jeziora; dżungla jednak tonęła w nieprzejrzanym ciemnościach. Powietrze było ciężkie od gorąca; i zapachu gnijącej roślinności; dziwne szmery zdradzały obecność niewidzialnej armii owadów.

Przez jakiś czas trwała cisza; nagle od strony lasu doszedł dziwny odgłos, jak gdyby ktoś gwałtownie potrząsnął gałęzią.

- Co to może być u licha? — mruknął Biggles.
- To małpy. Potrząsają gałęziami drzew, kiedy ludzie przechodzą pod drzewami — szepnął Dusky głosem lekko ochryplym ze zdenerwowania.

Biggles spojrzał na towarzyszy.

— To dziwna historia — powiedział spokojnie. — Nie wiadomo właściwie, co robić. Dusky jest przekonany, że ktoś się kręci w pobliżu, lecz to nie znaczy, żeby się skradał w naszym kierunku. Z drugiej strony mogą to być ludzie Bogata, nie wiadomo jednak, czy nai poszukują.

— Chyba nie mogli się dowiedzieć, że tu jesteśmy — wtrącił Algy.

— Nie, lecz mogli się domyślić. Wiedzą prawdopodobnie o istnieniu jeziora, wobec tego postanowili może zacząć poszukiwania w tym miejscu, w nadziei, że natrafią na nasz ślad. Jest wykluczone, żebyśmy mogli wytrzymać ich natarcie.

— Która godzina? — spytał nagle Algy. Biggles spojrzał na zegarek.

— Za godzinę zacznie świtać.

Z lasu dochodził znów dziwny szmer poruszanych gałęzi. Jakaś mała zapiszcziała i nagle umilkła. Biggles potrząsnął głową.

— Nie podoba mi się to. Sądzę, że najlepiej zrobimy, jeżeli przygotujemy się do szybkiego odjazdu. Wy dwaj złożycie zapasy do maszyny. Nie róbcie przy tym żadnego hałasu. Ja się przejdę po lesie z Dusky. Jeżeli krzyknę, zapalicie motor.

Upłynęło dwadzieścia minut bez dalszych niespodzianek; w tym czasie wszystkie rzeczy zostały złożone do maszyny. Algy z Gingerem wrócili na skraj lasu, gdzie natychmiast podszedł do nich Biggles.

— Dusky miał rację — rzekł cicho; — słyszę ich teraz wyraźnie.

— Przenieśliśmy wszystko do maszyny z wyjątkiem namiotu — oznajmił Algy.

— Dobrze — stójcie spokojnie.

— Gdzie jest Dusky?

— W lesie — na zwiadach.

Zaledwie Biggles wymówił te słowa, kiedy Dusky wrócił; drżał z podniecenia.

— Idą tu panie, — wybełkotał.

— Lepiej będzie, jeśli się schronimy w bezpieczne miejsce, dopóki się nie przekonamy, ilu ich jest — postanowił szybko Biggles. — Wszyscy do maszyny! Algy, przygotuj się do szybkiego wyruszenia; Ginger, stań przy karabinie, lecz nie strzelaj, dopóki nie dam sygnału. Idźcie już.

Dopiero gdy wszyscy znaleźli się w samolocie i wciągnięto linę na pokład, Biggles opuścił brzeg. Wchodząc do samolotu, odepchnął go parę jardów od brzegu po czym skierował go dziobem do środka jeziora.

— Teraz absolutny spokój — rozkazał.

Zapanowała znów głęboka cisza dokoła. „Wędrowiec” którego można było dokładnie widzieć z brzegu, spoczywał bez ruchu na wodzie, podobny do wielkiego uśpionego ptaka. Algy zajmował siedzenie pilota i trzymał rękę na starterze, widać było tylko ich oczy. Panowała przejmująca cisza i Ginger nie mógł wprost uwierzyć, by jakieś ludzkie istoty znajdowały się w lesie i skradały się do ich obozu. Nagle zauważył, że jakiś niewyraźny cień mignął na skraju lasu i przekonał się, że Dusky miał słuszość.

— Idą — szepnął.

Ukazała się jakaś postać, potem jeszcze jedna i około dwunastu cieni. Zaczęło się skradać w kierunku namiotu. Ginger rozpoznał olbrzymią

34

35

postać Bogata i trącił łokciem Bigglesa; Biggles odpowiedział mu w | sam sposób na znak, że go zrozumiał.

Cicho i w największym spokoju skupili się bandyci przed namiotem; Bogat z karabinem gotowym do strzału, objął komendę.

— Wyjdźcie natychmiast! — krzyknął. Reszta podniosła karabiny zamykając wejście.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia przerwa, po czym Bogat krzyknął znowu:

— Wychodź! Nigdzie nie uciekniecie.

Przypuszczał oczywiście, że lotnicy znajdują się w namiocie, obserwując bowiem od samego początku tylko namiot, nie zauważył wcale samolotu.

— Mam cię ptaszku — zawołał Biggles. — Nie ruszaj się. Czy życzysz sobie czegoś?

Wszyscy zgromadzeni stanęli jak wryci. Bogat pierwszy obrócił się. Podniósł błyskawicznie karabin, ale w następnej chwili zdając sobie sprawę, że tak będzie lepiej — opuścił go.

— Pytałem się, czy sobie czego życzysz — powtórzył Biggles. — Jeśli tak, to możesz otrzymać sto niklowanych kul z ołowiu. Jeżeli niczego nie pragniesz, umykaj z mojego obozu.

Bogat schylił się błyskawicznie i równocześnie wypalił z karabinu.

Karabin Gintera wystrzelił również. Ginger przysięgał później, że zupełnie podświadomie pociągnął za cyngiel; tłumaczył się, że pi wystrzale Bogata palec jego uczynił to automatycznie. Wśród wrzawy] jaka teraz wybuchła, usłyszano głos Bigglesa, nawołujący Algy'ego do startu. Zawarczały silniki, a prąd powietrza wywołany obrotem śmigieł! uniósł w górę całą chmurę opadłych liści, rzucając je prosto w twarz bandytów; uderzył również z całą siłą w namiot, wyracając goj „Wędrowiec” uniósł się nad wodę, podczas gdy Ginger pracował niezamieszanie przy karabinie. Serie błysków rozświetlały co chwilą ciemności pobiskiego lasu. Parę kul uderzyło w maszynę, lecz nic wyrządziły żadnej szkody. Nie

można było się przekonać, czy nieprzyjacieli poniosł jakieś straty. „Wędrowiec” nabierając szybkości, wzbil się w powietrze.

— Dokąd? — krzyknął Algy.

— Nad rzekę — brzmiała odpowiedź Bigglesa.

Gwiazdy bladły na niebie, lecz było jeszcze ciemno. Nie wzruszyło to zbyt Bigglesa, który wiedział, że świt nadejdzie w chwili, kiedy doleczą!

36

, rzeki, tak że nie będzie żadnych trudności w wyszukiwaniu miejsca do lądowania.

— Straciliśmy namiot — złościł się Ginger.

— Gdyby nie Dusky, moglibyśmy stracić nasze życie, a to byłaby

o wiele poważniejsza sprawa — zauważył drwiąco Biggles. — Nowy namiot możemy zawsze dostać. Nie mam ochoty być dalej ściganym i tropionym przez tych mieszkańców. Teraz przyjdzie nasza kolej. Od tej chwili zaczyna się otwarta walka.

Nie mówili już nic więcej. „Wędrowiec” leciał dalej ponad koronami drzew. Promień słońca ukazał się na horyzoncie i oblał je purpurowym blaskiem. Zobaczyli rzekę, wijącą się przez dżunglę jak olbrzymi wąż. Biggles pociągnął dźwignię i w chwilę później samolot spoczywał już na wodzie, przymocowany do brzegu. Natychmiast obejrzano uszkodzenia od kul karabinowych i stwierdzono, że nie było żadnej istotnej szkody.

— No, dobrze, teraz zjedzmy śniadanie — zaproponował Biggles. — Potem polecimy dalej.

— Dokąd? — spytał Algy.

— Trzeba się rozejrzeć w sytuacji. To, co się stało, nie wpłynie wcale na zmianę naszego programu. Bogat wypowiedział nam wojnę — sprawa jest zupełnie jasna.

W godzinę później maszyna znajdowała się znowu w powietrzu, szybując w kierunku północno-wschodnim i posuwając się na znacznej wysokości wzdłuż biegu Nieznanej Rzeki. Dla celów łatwiejszej obserwacji terenu byłby Biggles chętnie leciał niżej, lecz nie chciał tego ryzykować, ponieważ w miarę jak zbliżał się do źródeł, rzeka stawała się węższa, a miejsc nadających się do lądowania było coraz mniej i znajdowały się w coraz większej odległości jedno od drugiego.

Przez długi czas widział jedynie ten sam monotony ocean dżungli z poszarpanymi szczytami łańcuchów górskich, jak gdyby wrzynających się w niebo daleko na północy. Dusky objaśnił, że podnóże tych łańcuchów górskich jest uważane ogólnie za granicę między Hondurasem i Gwatemalą.

— Musimy sobie to miejsce obejrzeć. Tutaj niejedno można zobaczyć — postanowił Biggles. — Zaczynam się zastanawiać, czy nie ma tu przypadkiem jakiegoś miasta w lesie i czy będziemy je mogli

zobaczyć. Ten gąszcz drzew zakrywa wszystko. Jeżeli nie zauważymy niczego z powietrza, możemy lecieć dalej. Nie mam zamiaru mordować się na lądzie ani dla Carruthersa, ani dla nikogo innego. Kiedy spoglądam

37

na las z samolotu, zaczynam rozumieć, jakie trudności mamy przejąć sobą.

Lecąc z szybkością trzech mil na minutę zamiast trzech mil dziennie] co odpowiadałoby normalnemu marszowi pieszemu — osiągnęli gór w ciągu niecałego kwadransa. Na podstawie wysokościomierza można było w przybliżeniu określić ich wzniesienia. Musieli lecieć na wysokość blisko sześciu tysięcy stóp ponad najwyższymi szczytami. Na pewnym przestrzeni dżungla pokrywała zbocza gór, lecz większość szczytów ni była zalesiona. Znajdowały się tu nagie skały, a doliny wypełniał trawiaste sawanny. Biggles zauważył parę miejsc możliwych do lądowania, jakkolwiek uważał, że bez poprzedniego zbadania terenu byłoby to połączone z pewnym ryzykiem. Ginger pierwszy zobaczył ruin miasta, chociaż z początku nie był pewien, czy to są rzeczywiście ruiny. Spoglądając w dół na nieoczekiwanie wyłoniła się płaskość, ujrzał n samym brzegu stromej pochyłości od strony południowej liczną grupę skał dziwnego kształtu, na które zwrócił szczególną uwagę.

— Dziwna zbieranina skał — zauważył mimochodem. — Ciekawe że wszystkie mają kształt kwadratowy. Wyglądają jakby były domami

Biggles wlepił wzrok uważnie we wskazane miejsce i wyraz zdumienia pojawił się na jego twarzy. Opuścił boczny szyb i wyrzucił z samolotu.

— Masz rację. Jestem najzupełniej przekonany, że to są domy.

— Co? — krzyknął Ginger z niedowierzaniem. — Opuśćmy się na dół i zobaczmy.

Biggles obniżył lot i zaczął krążyć dokoła. „Wędrowiec” leciał teraz na wysokości stu stóp nad płaskowzgórzem; widok jaki ujrzeli z bliska nie pozostawiał już żadnych wątpliwości. Niezależnie od kształtu, który przypominał Gingerowi skały, regularność układu przekonała ich, że mogło to być wykonane jedynie ręką ludzką.

— Szybko! Wylądujemy. Musimy to obejrzeć — zawołał Ginger głosem pełnym podniecenia.

Oczy Bigglesa śledziły miasto, które otaczały jeszcze resztki murów.<sup>1</sup>

— To zupełnie opuszczona siedziba — zauważył. — Gdyby ktośkolwiek tu mieszkał, wyszedłby na pewno, aby nas obejrzeć.

Mówiąc to, Biggles obserwował rozległą sawannę, ciągnącą się poza miastem. Płaskowzgórze było zbyt wąskie jak na idealne miejsce do lądowania, lecz dosyć długie, tak iż uznał, że można spróbować oczywiście z zachowaniem pewnych ostrożności. Opuścił koło, zbliżył

38

sie ostrożnie do ziemi i osiadł bezpiecznie choć z lekkim wstrząsem na nierównym gruncie.

Ginger wyskoczył pierwszy.

— Chodźcie! — krzyknął, ruszając w kierunku ruin. — Nie

zdziwiłbym się, gdyby to miejsce było usiane złotem.

— A ja przeciwnie — odparł cierpko Biggles.

Opuściwszy maszynę, ruszyli żwawo w kierunku ruin. Wszystko wskazywało na to, że było tu kiedyś duże miasto. Niektóre budynki większe od pozostałych, musiały dawniej być świątyniami lub pałacami. Miejsce, położone na skraju przepaści ponad południową stroną dżungli, wyglądało jak olbrzymie orle gniazdo.

Marzenie Gintera o złocie rozwiało się wkrótce. Odkryli tylko liczne czerepy gliniane i młotek z brązu, który znalazł Algy. Wszystkie obejrzone przez nich domy były puste.

— Obawiam się, że spóźniliśmy się o parę wieków — zażartował Biggles. — Miejsce to zostało przed wiekami albo opuszczone, albo splądrowane. Niemniej jednak jest to interesujące odkrycie, a archeologowie badający dawne cywilizacje Ameryki uradują się niezmiernie kiedy o tym usłyszą. — Wskazał na obelisk stojący na otwartym placu pokryty rzeźbami ze wszystkich stron.

— To jest pomnik — zauważył. — Sporo takich znajduje się w dżungli. Zagadkowe znaki, jakie widzieliśmy na nim, są pismem, lecz nikt do tej pory nie zdołał ich odczytać! Oczywiście mówię to wszystko na podstawie wiadomości zaczerpniętych z książek.

— Czy nie sądzisz, że jest to jedno z tych starożytnych miast, w których zaczęto prowadzić prace wykopaliskowe? — zagadnął Algy.

— Z całą pewnością nie, w przeciwnym razie byłyby tu inne znaki. To jest zupełnie nowe odkrycie.

— Chciałbym tylko wiedzieć — wtrącił Ginger — w jaki sposób u licha, ludzie mieszkający tutaj, mogli się dostawać do dżungli. A może całe życie swoje spędzali na miejscu?

— Nawet gdyby całe swoje życie spędzali tutaj, musiała istnieć jakaś droga prowadząca do lasu — odparł Biggles. — Jeżeli się rozglądniemy, możemy ją znaleźć.

Szukanie nie zabrało im wiele czasu. Idąc wzdłuż zburzonego muru, doszli do otworu będącego pozostałością dawnej bramy, od której wiodły w dół schody tak fantastyczne, że przez chwilę wpatrywali się w nie, nie mogąc wyjść z podziwu. Były one częściowo naturalne,

39

częściowo zaś sztuczne. Widocznie cudowne dzieło przyrody zostało uzupełnione ręką człowieka. Powstanie jego było zupełnie zrozumiałe i jasne. W pewnym okresie zamierzchłej przeszłości, kiedy cała góra przybierała nowe kształty i nie była jeszcze stałą formacją, skała zapadła! się w tym miejscu,



pozostawiając wąską półkę biegnącą w poprzek od! szczytu do podnóża. Ściana skały nie była gładka, lecz tworzyła; olbrzymie fałdy ciągnące się wzdłuż półki. W niektórych miejscach] półka znikła z oczu poza potężnymi występami skalnymi.

W pierwotnej swojej formie musiała być z pewnością bardzo nierówna, a szerokość jej wahała się w granicach od dwóch do sześciu stóp, tak że chyba tylko kozica mogła odważyć się na zejście w dół. Potem zjawił się człowiek, przypuszczalnie przedstawiciel jednego z wymarłych szczepów amerykańskich. W każdym razie ludzie musieli pracować przy półce wykuwając stopnie tam, gdzie okazały się niezbędne, umożliwiając w ten sposób schodzenie. Lecz nawet i teraz ścieżką tą nie mógł schodzić nikt, kto ulega zawrotom głowy.

— Drabina Jakuba — mruknął Ginger. Biggles skinął głową.

— W każdym razie jest to ciekawe dzieło. Powiedziałbym, że nie ma więcej niż pięć do sześciu mil od szczytu do podnóża, nawet jeśli się uwzględni nieregularną linię skały. Przypominam sobie, że czytałem kiedyś książkę, w której znajdował się opis podobnej ścieżki na wschodnim zboczu Andów. Zabawną historię opowiadano o pewnym inżynierze, któremu obiecano olbrzymie wynagrodzenie za kierownictwo kopalni złota, znajdującej się u podnóża schodów. Kiedy stanął u szczytu i zobaczył tę drogę, nie tylko odrzucił propozycję, ale oświadczył również, że nie zszedłby na dół za cenę całego złota Południowej Ameryki.

— Nie dziwię mu się wcale — rzekł Algy. — Ja nie poszedłbym tą ścieżką za nic w świecie.

— No, może to przesada; ona nie wygląda znowu tak groźnie. Przecież niektóre ścieżki w Alpach są straszne, a jednak mieszkańcy wiosek górskich ustawicznie nimi chodzą.

— Wykucie takich schodów — to musiała być jednak olbrzymia praca — dodał Ginger.

— Starożytni lubowali się widocznie w takich olbrzymich pracach Weźmy dla przykładu piramidy egipskie albo mur chiński. Te schody są niczym wobec tamtych budowli.

40

W tym miejscu Dusky, który do tej chwili nie odzywał się wcale, erwał rozmowę. Teraz oświadczył ku ogólnemu zdziwieniu, że naidował się już raz u podnóża tych schodów. Na zapytanie, kiedy to było, wyjaśnił, że wówczas, gdy pracował dla Bogata, przy odrzucaniu gruzów u stóp skały. Wtedy to właśnie znalazł te schody prowadzące w górę. Zapytany przez Bigglesa, czy doniósł o swoim odkryciu Bogatowi — zaprzeczył. Jakkolwiek nie wiedział, dokąd te schody prowadzą, sądził jednak, że pewnego dnia będą mogły mu pomóc w ucieczce. Jeśli go pamięć nie zawodzi, odkrycia dokonał mniej więcej przed pół rokiem.

— Wydaje mi się wprost nieprawdopodobne, aby istniały dwa takie

zejścia — zauważył Biggles. — Gdybyśmy zeszli tymi schodami, musielibyśmy dojść do punktu, gdzie pracuje Tygrys z dwoma białymi, a w każdym razie gdzieś bardzo blisko tego miejsca. Wydaje się to

zupełnie naturalne, że zarówno u podnóża tych schodów jak i na szczycie skały musiały kiedyś istnieć jakieś miasta.

— Pozostaje teraz pytanie, czy Tygrys nie odkrył schodów w czasie, gdy Dusky opuścił pracę — wtrącił Algy.

— Sądzę, że nie — zaprzeczył Biggles bez wahania. — Gdyby Tygrys odkrył schody, byłby się na pewno tutaj dostał. Nawet gdyby nie rozpoczął prac wykopaliskowych, musiałby pozostawić ślady swojej bytności: próżne puszki lub popiół z ogniska.

— Tak, to jest logiczne rozumowanie — przyznał Algy. — A zatem dochodzimy do twierdzenia, że jeżeli domysły Dusky'ego są słuszne, odkryliśmy drogę do obozu Tygrysa.

— Właśnie — przytaknął Biggles.

— Co mamy teraz robić? — zapytał z niecierpliwością Ginger. — Jestem za tym, abyśmy na własne ryzyko spróbowali zbadać to miejsce.

— Będziemy mieli później czas na to, lecz ponieważ nasze zapasy są ograniczone, sądzą, że powinniśmy na razie wypełnić zobowiązanie przyjęte wobec Carruthersa.

— Myślisz zatem, żeby zejść na dół schodami i spróbować ująć Tygrysa?

— A cóż nam innego pozostaje?

Ginger spojrział na schody i cofnął się z przestraszeniem.

— Oh! zawołał. Nie mam tyle odwagi. Co innego patrzeć z samolotu. — Ale złączenie na dół z tej zawrotnej wysokości, kiedy każdy nierozważny krok może grozić upadkiem w przepaść, nie wydaje mi się lekkim przedsięwzięciem i nie pociąga mnie zbytnio.

41

— Masz słuszność — potwierdził Biggles spokojnie. — Nie jestem! za tym, abyśmy wszyscy poszli: ktoś z nas musi pozostać przy maszynie. I Gdybyśmy wpadli w jakąś pułapkę, nikt nie mógłby nas wyratować, na-j tomiast jeśli ktoś pozostanie, będzie mógł w każdej chwili pomóc innym. I

— To jest bardzo rozsądna myśl — mruknął Algy.

— Przedstawię wam moją propozycję — powiedział Biggles. — Ty, I Algy i Dusky zostanieie tutaj i będziecie baczenie zwracać uwagę na I wszystko. Ja z Gingerem zbadamy teren. Jeżeli będziemy mogli zejść na I dół bez trudności, wrócimy i damy wam znać. Jeżeli okaże się toj niemożliwe, będziemy musieli i tak powrócić do was.

— Dobry pomysł — przyznał Algy. — Kiedy pójdziecie?

— Zaraz. Nie ma potrzeby czekać aż do jutra.

— A co z prowiantem?

— Weźmiemy puszkę z gulaszem i trochę sucharów, butelkę z wodą i karabiny. To chyba wystarczy na pierwszą wyprawę.

Uzgodniwszy plan działania, wrócili do maszyny, gdzie spożyli posiłek i zabrali potrzebne rzeczy. Następnie udali się z powrotem do „Drabiny Jakuba”. Biggles z przewieszonym przez ramię karabinem, i ruszył w dół. Ginger, z głębokim westchnieniem udał się za nim.

## Rozdział VI

### Nieznany szlakiem w dół

Po przejściu wielu stopni Ginger dostał silnego zawrotu głowy. Musiał kilka razy przystanąć i oprzeć się o skałę, która z prawej strony ścieżki tworzyła tak stromą ścianę, że nie miał odwagi spojrzeć w otwierającą się przed nim straszliwą przepaść. W niektórych miejscach skała była prawie że pionowa; głęboko wykuta ścieżka zdawała się niemal wisieć nad stopniami. Gdzie indziej tworzyła nad przepaścią rodzaj półki, jeden więc nieostrożny krok mógł spowodować upadek z wysokości czterech tysięcy stóp.

Delikatne opary unosiły się nad wierzchołkami drzew. Dżungla pełna tajemniczości, robiła wrażenie jakiejś zaczarowanej krainy. Takiego wrażenia, myślał Ginger, musiałby doznać człowiek schodzący na ziemię z obcej planety.

Bigglesa ta dziwna, wprost niesamowita zasłona z oparów wprawiła w zakłopotanie. Posuwał się wolno dalej, z karabinem na ramieniu, pogwizdując z cicha i zatrzymując się od czasu do czasu, aby ostrzec Gingera przed niebezpiecznymi miejscami, w których wiatr i deszcz zniszczyły schody do tego stopnia, że pozostała jedynie wąska półka.

Wiadomo, że z czasem można się do wszystkiego przyzwyczaić, toteż Ginger po pierwszych stu jardach zaczął już swobodnie oddychać. Biggles przystanął, a gdy się zrównał z Gingerem, zapytał:

— Co by to było, gdybyśmy na tej ścieżce spotkali kogoś? — Jeśli chodzi o mnie, nie przepuściłbym nikogo.

Biggles uśmiechnął się lekko.

— Nie sędzę, abyśmy kogoś spotkali — zauważył. — Oszczędzaj płuc; będą nam potrzebne w drodze powrotnej.

Ruszyli dalej. Ukazały się kondory o szerokich skrzydłach, podobne

43

do szyboców; krążyły wolno nad głowami przybyszów, którzy ośmielili się zakłócić spokój w ich królestwie. Ginger obserwował je nerwowo.

— Nabawilibyśmy się nie lada kłopotu, gdyby postanowiły nas zaatakować — rzekł z przerażeniem w głosie.

— Mogą to uczynić — odparł szybko Biggles chwytając karabin. Obszedłszy występ skalny, który zasłaniał im przez cały czas drogę,

stanęli na chwilę podziwiając wspaniały widok, jaki roztaczał się przed nimi. Mieli uczucie, że cały piękny świat leży u ich stóp. Po drugiej stronie ujrzeni ścieżkę, która ciągnęła się przez olbrzymi wąwóz; podobna była do cienkiej nitki wijącej się bez końca. Po raz pierwszy Ginger mógł ją oglądać w całej jej długości.

— Nie wyobrażam sobie, aby ludziom mieszkającym w górze groziło kiedykolwiek niebezpieczeństwo napadu — zawyrokował. — Przecież dwie osoby mogłyby bronić tej ścieżki przed całą armią.

— I to z łatwością — przyznał Biggles. — Wolałbym też być na górze, niż jednym z nacierających w dole.

Szli dalej nie zamieniwszy ze sobą w ciągu godziny ani słowa. Upał coraz bardziej dokuczał, w miarę jak schodzili w dół. Rozpalone skały potęgowały żar. Zbliżali się do podnóża skały; właściwie mieli już trzy czwarte drogi za sobą, kiedy schody urwały się gwałtownie, ustępując miejsca prawdziwej gmatwaninie złomów skalnych. Z początku Ginger sądził, że znajdują się u podnóża schodów, lecz Biggles wyprowadził go z błędu. Zbadanie tego miejsca potwierdziło jego mniemanie; w odległej przeszłości wskutek obsunięcia się terenu, lawina zasypała ścieżkę, porywając część jej ze sobą.

— O ile zdołamy znaleźć drogę wśród tej masy złomów skalnych, będziemy musieli natrafić na schody po drugiej stronie — oświadczył.

— Wiemy, że schody prowadzą prosto w dół do lasu. Przecież Dusky je tam widział.

— Niemniej jednak ktoś idący w górę schodami, gdy podejdzie do tych złomów może łatwo sądzić, że się w tym miejscu kończą — rozumował Biggles. — Ponieważ droga do tej pory nie jest przebita, nikt nie wie, że schody prowadzą aż na szczyt. Chodźmy dalej. Stawiaj uważnie nogę: głązy nie wyglądają zbyt pewnie. Gdybyśmy je ruszyli nieostrożnie, cała lawina mogłaby runąć w dół. Chodź, ta droga wydaje mi się najłatwiejsza.

Biggles ruszył przodem, wybierając bezpieczne miejsca, a tuż za nim

44

postępował Ginger. Nie musieli już teraz obawiać się przepaści; droga, którą prowadził Biggles, przecinała złomy.

Nieoczekiwanie ukazała się wieś. Zdziwienie ich było ogromne, nic bowiem nie wskazywało na bliskość osiedla. Doszedłszy do podnóża stromego zbocza poprzez zwały olbrzymich głazów znaleźli się w uroczej dolinie ocienionej wysokimi drzewami, które ciągnęły się przez całą jej długość łącząc się na końcu z lasem. Środek doliny pokrywała bujna trawa i kwitnące krzewy. Szeroka droga prowadziła do zupełnie nowoczesnej wsi. Właściwie nie była to wieś, jakkolwiek tak ją nazwali. W środku dużej grupy walących się budynków stał piękny bungalow solidnie zbudowany z ciemnego drzewa. W tyle znajdowały się rzędy małych domków. Z pieca ustawionego na dziedzińcu, między bungalowem a przybudówkami, unosił się leniwie dym. Jakaś kobieta w czerwonej chusteczce na głowie zakrzętnęła się koło pieca, po czym zniknęła w głębi domu. Poza kilkoma mułami, pasącymi się w górze doliny, nie było żadnego śladu życia. Na Bigglesie i Gingerze nieoczekiwany ten widok zrobił duże wrażenie. Pełni nieufności zatrzymali się nagle.

— Co to może być, do diabła? — mruknął Biggles siadając.

— Nie pytaj mnie — odparł Ginger, przykucnąwszy za nim. Biggles patrzył na wieś w zamyśleniu.

— Wiem tylko jedno — rzekł wolno. — Tygrys nie zniósłby drugiej bandy na tym samym terenie, musi to być zatem część jego organizacji. Jeżeli tak — a co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości — to znajduje się tu również jego tajemnicza kryjówka, o której wspominał Dusky. Fakt, że są tu kobiety, a choćby nawet jedna, dowodzi, że mieszkają tu stale. Ten duży dom również świadczy o tym.

— Co zatem należy uczynić? — spytał Ginger. — Musielibyśmy zdobyć się na wiele odwagi, gdybyśmy postanowili przejść dolinę. Chyba są tam jeszcze inne osoby poza tą kobietą, którą widzieliśmy. Poznają nas z całą pewnością.

— Nie musimy przejść doliny — odparł Biggles — Uważam, że tu mamy większe pole działania.

Ginger zdumiał się.

— Pole działania? Jak mam to rozumieć?

— No, przecież po to tylko zeszliliśmy do podnóża schodów, żeby znaleźć główną kwaterę Tygrysa. Nie mieliśmy innego celu. Ten

45

bungalow, o ile się nie mylę, jest pałacem Króla Puszczy, nie mamy więc potrzeby iść dalej.

— Co chcesz teraz robić? Czy wrócić i zawiadomić Algy'ego o naszym odkryciu?

— Nie. Na razie jest to zbyteczne. Musielibyśmy znowu schodzić na dół.

— Gdyby Carruthers ze swoją policją był tutaj, moglibyśmy pięknie oczyścić ten teren — mruknął Ginger.

— Oczywiście, lecz chwilowo ich tu nie ma. Oczyszczanie byłoby w ogóle bezcelowe, gdybyśmy nie znaleźli Tygrysa. Jego właśnie potrzebujemy. Jego i Bogata. Dopóki ich nie ujmiemy, awantura będzie trwała.

Ginger wzruszył ramionami.

— Ty jesteś dowódcą. Jaki masz plan? Obmyśliłeś już coś?

— Jedno możemy zrobić — odparł Biggles. — Skoro już tu jesteśmy, należy obejrzeć wieś, tym bardziej, że jest ona prawie opuszczona. Kto wie, czy będziemy mieli lepszą sposobność. Dotychczas nie mamy pojęcia o tym, co robi Tygrys, to znaczy nie mamy żadnych dowodów, które by go obciążały wobec prawa. Nie możemy mówić o Tygrysie jako o oszuście, handlarzu niewolników i złodzieju chicle nie posiadając żadnych realnych podstaw. Musimy je najpierw zdobyć, a potem sądzić. Ja zejść do wsi.

Ginger spojrzał na niego przerażony.

— Chcesz zejść? Zwariowałeś chyba.

— Jeśli się nie ruszymy, nie posuniemy się w pracy naprzód.

— Możemy ich równie dobrze stąd obserwować.

— W takim razie nie dowiemy się niczego więcej poza tym, co już nam jest znane. Musimy się przekonać o jego winie. Gdyby udało nam się ująć Tygrysa lub Bogata i doprowadzić ich do wybrzeża, moglibyśmy trzymać ich tam aż do uzyskania potrzebnych dowodów. Wielu niewolników mogłoby udzielić nam cennych informacji. Gdy tu pozostaniemy, niczego nie uzyskamy. Zejść na dół.

— A co ja mam robić? Mam iść z tobą czy zostać tutaj? Biggles zastanawiał się przez chwilę.

— Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną — postanowił. — Mogę potrzebować świadka w razie jakiegoś odkrycia. Obecność twoja ułatwi mi zadanie.

— Możemy wpaść w pułapkę, a wtedy Algy nie będzie wiedział, co się z nami stało.

46

— I na to znajdzie się rada.

Biggles wyjął z kieszeni notes, wydarł kartkę i umieścił na niej krótką wiadomość: „W dole znajduje się wieś. Idziemy tam”. Kartkę tę położył w widocznym miejscu koło schodów, po czym zrobiwszy z kamienia niewielki stos, tak aby każdy idący z góry musiał zwrócić na niego uwagę, ruszył wraz z Gingerem z powrotem ku dolinie.

— Zapamiętaj sobie dobrze to miejsce — rzekł spokojnie Biggles obserwując zbocze, którym zesli. — Może będziemy musieli wracać tą samą drogą w pośpiechu. Przyjrzyj się uważnie tym skałom, byś mógł je znaleźć nawet w ciemności.

Gdy podeszli do wsi, Biggles odezwał się:

— Sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli pójdziemy od razu do tego domu. — Nie widzę doprawdy innego wyjścia. Nawet gdybyśmy zastosowali taktykę podchodzenia, to wobec braku naturalnej osłony, jest prawie pewne, że nas zauważą; gdyby nas dostrzegli skradających się jak złodziei, powstałaby prawdopodobnie wrzawa. W tym wypadku należy użyć podstępów. Po co jednak narażać się niepotrzebnie? Przejdziemy spokojnie i jeżeli nikt się nami nie zainteresuje, będziemy mogli równie spokojnie odejść.

— Tak, masz rację — przyznał Ginger — ale plan ten wydaje mi się nieco ryzykowny. Ja nigdy nie byłem za tym, by wchodzić do jaskini lwa nie upewniwszy się poprzednio, że go tam nie ma.

Biggles uśmiechnął się i ruszył w kierunku wsi. Najbliższe budynki znajdowały się w odległości niecałych stu jardów. Gdy przeszli połowę tej drogi, Ginger dotknął ramienia Bigglesa i ruchem głowy wskazał na widok, który go uderzył.

Granice doliny, dobrze teraz widoczne, zamknięte były mniej i więcej wysokimi skałami podobnymi do tych, którymi się tutaj przedostali. Dolina posiadała właściwie jedno wejście; tworzyło ono na południowym końcu drogi wąwóz w skalnej ścianie, którym prawdopodobnie mieszkańcy wsi schodzili do niżej położonego lasu. Przy tej naturalnej bramie stało na straży dwóch mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Opierając się o ścianę, palili papierosy.

— Jeżeli to jest jedyne wejście do doliny, zdziwią się ci przyjaciele, gdy nas zobaczą. Nie będą wiedzieć, jakim cudem dostaliśmy się tutaj — szepnął Biggles. — Natomiast ludzie we wsi — o ile w ogóle są tacy — wiedząc o tym, że przy wejściu stoją strażnicy, mogą przypuszczać, iż Przyszliśmy tu w jakimś interesie. Naprawdę — ciągnął dalej rozgląda-

47

jąc się dokoła — co za wspaniała kryjówka. Carruthers miał rację. Mo-j zna by całymi latami wędrować po dżungli i nie znaleźć tego miejsca, dcl którego obrony wystarczyłaby właściwie grupa zdecydowanych ludzi.]

— Jedna rzecz mnie zastanawia — zauważył Ginger. — Dusky powiedział, że odkrył podnóże schodów, możemy zatem wnosić, że był to koniec tej ścieżki, którą zeszlismy tutaj. Wydaje mi się jednak, że ich] wcale nie używano, to znaczy, że musiała być jeszcze inna droga prowadząca w górę. Wobec tego Tygrys może jeszcze nie wiedzieć o istnieniu schodów odkrytych przez Dusky'ego.

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym. Masz rację. W każdym! razie bez względu na to, czy dawno wiedzieli o schodach, czy też znaleźli je po odejściu Dusky'ego, można z pewnością twierdzić, że ich nie używali. Istnieje, zdaje się, łatwiejsza droga. Na razie nie ma to znaczenia, musimy jednak pamiętać o tej sprawie.

Szli dalej nie widząc nikogo poza dwoma strażnikami na posterunku. Cisza panowała dokoła, przerywana jedynie brzęczeniem owadów. Biggles uniknął głównej drogi, zakurzonego szlaku, ciągnącego się

między domami, z których większość była raczej podobna do lepierek. Posuwał się za tyłami domów kierując się odważnie w stronę wielkiego bungalowu. Kiedy zbliżyli się do niego, spotkali nieoczekiwanie kobietę, która w klęczącej pozycji meła kukurydzę. Nie wstając z klęczek, spojrzała zdziwiona na obcych, szybko jednak zabrała się znowu do swojej pracy.

— To byłby dobry kawał, gdybyśmy stwierdzili, że nie jesteśmy w miejscu, którego szukamy — mruknął Ginger. — Mamy przed sobą najzwyczajszą wieś.

— Ludzie nie stawiają straży przy wejściu do zwykłej wsi — zwrócił uwagę Biggles. Gdyby to była uczciwa wieś, znaleźlibyśmy ślady jakiegoś gospodarstwa a zbieracze chicle nie musieliby pracować w pocie czoła i wspinać się codziennie na wysokość czterystu stóp po twardej skale. W każdym razie jesteśmy na miejscu; zachowaj się teraz spokojnie.

Stanęli u wejścia prowadzącego na dziedziniec, który łączył się z zabudowaniami wielkiego domu. Ognisko jeszcze nie wygasło; z zawieszzonego nad nim żelaznego kotła rozchodził się kuszący zapach.

— Spróbujemy zbadać najpierw zabudowania — szepnął Biggles i ruszył w ich stronę. Lecz doznał rozczarowania przekonawszy się, że wszystkie, w liczbie sześciu, są zamknięte.

Uwagę ich zwrócił widok, zakryty do tej pory narożnikiem do-rnu. Otoczony murem, sprawiał wrażenie jakiegoś tajemniczego raj. Ciemnopurpurowe kiście winogron zwisały z wysokich krat; dojrzałe pomidory połyskiwały obok złocistych kłosów zboża; olbrzymie żółte dynie leżały pomiędzy krzakami jaskrawych kwiatów. Śliwa uginająca się pod ciężarem wielkich, błękitnych owoców, zachęcała do skosztowania. Ten miły obrazek uzupełniał widok gołębnika, na którego brzegu kilka ptaków czyściło swe skrzydła. Ginger podszedł do śliwek, lecz Biggles pociągnął go w tył wskazując cieniste miejsce, gdzie biła mała fontanna.

— Nie bądź osłem — upomniał go — znajdujemy się na bardzo niepewnym gruncie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jesteśmy w ogrodzie Króla Puszczy? Zachowaj się spokojnie.

Spoglądając poprzez pnącza pokrywające altanę, Ginger zauważył, że znajduje się tuż obok domu. Wielkie, niskie okno wychodziło na ogród. Drzwi były otwarte.

— Dobrze się składa. Zagłębniemy do środka — zdecydował Biggles.

Drzwi, które wychodziły na ogród, nie były głównym wejściem. Rozejrzał się najpierw uważnie, a potem wszedł do pokoju. Ginger stanął obok niego. Rzuciwszy okiem dokoła, gwizdnął z cicha.

— Moim zdaniem, jest to salon Króla Puszczy — szepnął. Pokój, urządony z przepychem, był czymś pośrednim między

gabinetem prywatnym, a biurem. Stary, pięknie rzeźbiony hiszpański kredens, szpeciły liczne, tanie, współczesne drobiazgi. Na stole pokrytym mosiężną płytą stały butelki i szklanki. Pod ścianą znajdowało się nowoczesne biurko amerykańskie zarzucone księgami rachunkowymi i papierami. Najbardziej podobana się Gingerowi piękna skrzynia obita skórą. Zupełnie nieodpowiednim przedmiotem



stanowiącym niejako kontrast z resztą, była stalowa kasa pancerna. Inne drzwi prowadziły do wnętrza domu. Dziwny, nieokreślony zapach unosił się w powietrzu.

Tyle zobaczył w pierwszym momencie. Przez chwilę nasłuchiwali w skupieniu, po czym Biggles podszedł do biurka i zaczął przeglądać papiery. Gdy otworzył główną księgę, gwizdnął. Oczy jego przebiegły szybko zapisane pozycje.

— Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć — szepnął. — Oto sanktuarium Tygrysa, a tu jego rachunki. Mamy wystarczający dowód

Skarb w dżungli

49

na to, aby go dwa razy powiesić. Muszę przyznać, że nie brak rmi pewnego rozmachu. O, cóż to jest znowu?

Mówiąc to, Biggles wziął do ręki małą kartkę cienkiego papieru leżącego na biurku i przyciśniętą łuską z naboju. Czytając zmarszczył brwi z wściekłości, w końcu złość ustąpiła zdumieniu; wpatrywał się w kartkę tak uporczywie, że Ginger nie mógł powstrzymać dłużej swej ciekawości.

— Co to jest? — spytał.

— Nie domyśliłbyś się nigdy — wycedził Biggles przez zęby. — To nam wiele tłumaczy. Spójrz, proszę. — Podał mu papier.

Ginger czytał meldunek, poruszając bez przerwy wargami:

„Uważaj na trzech Anglików, którzy lecą samolotem. Są to szpiegowie rządowi wysłani w celu ujęcia ciebie, działający z ramienia Carruthersa. Nazywają się Bigglesworth, Lacey i Hebblethwaite. Zostali zaangażowani w charakterze policji. Zatrzymali już jednego z twoich najemników którego postrzelili Bogat. Użyją go jako świadka”.

M. Ch.

— Zauważyłeś inicjały? — spytał Biggles.

— Tak. Któż to u licha?...

— M. Ch. oznacza: Marcel Chorro. Któż inny mógłby to być? Jest on jedynym człowiekiem poza Carruthersem, który wie, co

robimy. Oczywiście — to jeden ze szpiegów Tygrysa. Nic dziwnego, że Carruthers nie mógł uzyskać żadnej wiadomości. Ta świnia Chorro musiał mi na pewno rozluźnić linki sterowe. Tak, teraz wiemy, kto doniósł Bogatowi o naszym obozie nad jeziorem. Przeszedł prosto przez las, aby nas zaatakować.

— Ale w jaki sposób, do diabła mógł Chorro przesłać mu tak prędko meldunek? — jęczał Ginger. — Najszybsza łódź nie byłaby w stanie dopłynąć rzeką przed upływem tygodnia.

— Widziałeś przecież gołębnik przed domem, prawda? Zwróć uwagę na cienki papier meldunku.

Ginger odetchnął głęboko:

— Tak, masz rację. Chorro i Tygrys posługują się gołębiami pocztowymi.

— Niewątpliwie. Wyjdźmy stąd. Widzieliśmy już dosyć. Nie ma potrzeby narażać się więcej. Wrócimy teraz prosto do Algy'e-g°-

50

Biggles ruszył w kierunku drzwi, lecz odskoczył z przerażeniem. Zmartwiałyymi oczami chwycił Gingera za rękę i pociągnął w tył.

Ginger śledząc wzrokiem Biggles'a uczył, jak krew zastyga mu w żyłach. Dziwny nieokreślony zapach, który go prześladował, stał się ostrzejszy. Teraz niestety poznał jego przyczynę.

Ze skrzyni, którą tak niedawno podziwiał, wypełzał wąż, jakiego w najbardziej koszmarnym śnie nie można zobaczyć. Grubości uda ludzkiego, wysuwał się ruchem budzącym grozę — był długi, jak gdyby się nigdy nie miał skończyć. Już piętnaście stóp odrażającego cielska leżało w poprzek pokoju odcinając im drogę do drzwi i okna.

-:

■

## Rozdział VII

### W szponach Tygrysa

Ginger nie wiedział zupełnie, jak długo stał tak bez ruchu wpatrując się w węża. Stracił rachubę czasu. Zapomniał, gdzie się znajduje i co robi. Jedna rzecz zajmowała teraz wyłącznie jego uwagę. Był to wąż, którego małe czarne oczy, błyszczące jak kryształy w odbiciu światła, budziły w nim przerażenie. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle.

Z największym wysiłkiem spojrzął na Bigglesa, ale zauważył, że i on również nie wiedział, co począć. Wpatrywał się w węża, następnie w drzwi i znów w gada. Naraz poderwał się, jak gdyby miał zamiar rzucić się do ucieczki, potem podniósł karabin próbując uchwycić na muszkę celownika kotłyszający się tęb węża.

— No, dalej, strzelaj — naglił Ginger opanowany paniką.

— Nie mam odwagi ryzykować — mruknął Biggles. — Ten łeb ni jest odpowiednim celem dla karabinu, gdybym tylko zranił bestię, Bó jeden wie, co by się z nami stało.

Wąż jednak, którego Biggles wziął za pytona, nie uczynił żadne-próby zaatakowania ich; leżał spokojnie na podłodze obserwując ich raczej obojętnie. Można było przypuszczać, iż wiedział, że wdarli się tu jak intruzi i postanowił przeszkodzić im w ucieczce. Za każdym ich poruszeniem podnosił łeb, sycząc nieprzyjemnie i zmuszając ich do cofnięcia się.

Biggles, pełen wątpliwości i niezdecydowania, próbował jeszcze zebrać myśli, by wybrnąć jak najszybciej z tego przykrego położenia, gdy z zewnątrz dały się słyszeć jakieś dźwięki, a wkrótce potem odgłos zbliżających się kroków. Po chwili otworzyły się gwałtownie drzwi i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Uczynił tylko jeden krok naprzód

52

i zatrzymał się nagle zdziwiony nieoczekiwanym widokiem. Sięgnąwszy błyskawicznie ręką po rewolwer skierował go w stronę intruzów.

Z początku Ginger myślał, że celuje w węża, okazało się jednak, że nieznamy nie zwrócił nawet na niego najmniejszej uwagi, jakkolwiek wąż pełznął ku niemu i ocierał teraz swe kręte ciało o jego nogę. Widać było, że gad nie czuł się obco w tym domu.

Gospodarz — tak przynajmniej należało sądzić o tym człowieku — nie odznaczał się miłą powierzchownością. Był mieszańcem z przewagą krwi murzyńskiej w wieku około pięćdziesięciu lat, średniego wzrostu, silnej i krępej budowy. Ręce i ramiona przypominały goryla. Policzki miał grube i obrzękłe; energiczny zarys brody zdradzał chęć do walki. Małe, czarne oczy biegały niespokojnie i podejrzliwie na wszystkie strony. Długie i kędzierzawe włosy potwierdzały nieomylnie murzyńskie pochodzenie. Obwisłe, czarne wąsy opadały na górną wargę. W jaskrawym mundurze przeładowanym ozdobami, obciążonym złotym szamerowaniem robił wrażenie rabusia z operetki. Patrząc na jego surową twarz, Biggles nabrał przekonania, że jest to człowiek o niepospolitej sile fizycznej, próżny i pozbawiony wszelkich skrupułów — człowiek, który może być brutalny dla samej jedynie przyjemności; przyciśnięty do muru może okazać się tchórzem.

Nieznamy przerwał milczenie krzyknąwszy głośno:

— Marita! — Co to za ludzie? — Mówił po hiszpańsku. Zjawiła się kobieta, prawdopodobnie ta sama, która pilnowała

ogniska. Wyjaśniła dość nerwowo, że nie zna tych ludzi. Nigdy ich przedtem nie widziała.

Nieznamy przemówił cichym i syczącym głosem do węża, który szybko wsunął się pod biurko. Następnie spoglądając podejrzliwie na Bigglesa spytał po angielsku, z czego można było wnosić, że uważa lotników za Anglików lub Amerykanów.

- Jakim językiem mówicie, co?
- Mówimy po angielsku — odparł Biggles.
- Po co przyszliście tutaj, hę? — zasyczał. Lecz odpowiedź była mu już niepotrzebna: zrozumiał wszystko, gdy oczy skierował na kartkę, leżącą na biurku. Przypomniał sobie informacje Chorra o trzech szpiclach rządowych.
- Czy mam przyjemność mówić z Królem Puszczy? — odezwał się spokojnie Biggles.
- Jestem Królem — odparł szorstko. — Gdzie jest trzeci?

53

Jaki trzeci?

- Przecież jest was trzech.
- O czym mówisz? — spytał Biggles, jakkolwiek wiedział doskonale, o co mu chodzi.
- Który z was nazywa się Bigglesworth?

Ukrywanie nie miało żadnego celu. Tygrys znał prawdę. Zdawał sobie również sprawę z tego, że obecność w tym miejscu innych białych była prawie wykluczona.

- Ja jestem Bigglesworth — odparł Biggles ze spokojem.

Na twarzy Tygrysa pojawił się szyderczy uśmiech. Nie mówiąc nic, przyłożył mały, srebrny gwizdek do warg. Na dany sygnał przybiegli natychmiast ludzie; znajdowało się tu również dwóch białych, o których wspomniał już Dusky. Jeden z nich wysoki, o niezdrowej, woskowej cerze mógłby uchodzić za białego, gdyby żółtaczka nie pozostawiła tak wybitnych śladów na jego twarzy. Ten sam niezdrowy kolor posiadały białka jego oczu osadzonych pod krzaczastymi brwiami. Usta miał szerokie, wargi cienkie. Twarz tę szpeciły ponadto brzydkie, odstające uszy. Drugi, nieokreślonego bliżej typu mężczyzna, miał gładko uczesane blond włosy i tego samego koloru wąsy, pożółkłe od nikotyny. Trzymał nawet jeszcze w ustach przed chwilą skręconego papierosa.

Gdy weszli do pokoju, Tygrys wskazał na więźniów teatralnym ruchem ręki:

- Policjanci sami do nas przyszli, to nam oszczędzi trudu szukania i przyprowadzenia ich. — Ale znów opanowały go wątpliwości. — Gdzie jest trzeci? — warknął.
- On jest w pobliżu — odparł natychmiast Biggles.
- Gdzie jest?
- Rozglądnij się, może go znajdziesz... Może i nie... Tygrys zmienił temat rozmowy.
- W jaki sposób dostaliście się tutaj? Kto was przyprowadził? Biggles uśmiechnął się lekko:

— Nikt, przybyliśmy sami.

— To kłamstwo — ryknął Tygrys schyliwszy się jakby do skoku, a Biggles zrozumiał nagle, dlaczego Król Puszczy otrzymał to dziwne przezwisko. — Ktoś musiał wskazać wam drogę. Kto to był? Skórę zedrę z niego.

— Żałuję bardzo — odparł Biggles, że będziesz pozbawiony tej przyjemności z prostej przyczyny, iż żadna taka osoba nie istnieje.

54

— W jaki sposób przeszliście koło straży? — Tygrys wydawał się istotnie rozwścieczony tym, że obcy ludzie ośmielili się wtargnąć do jego kryjówki.

— Nie widzieli nas, patrzyli w inną stronę — odparł Biggles zupełnie naturalnie.

Wyraz twarzy Tygrysa nie wróżył strażnikom niczego dobrego, lecz Biggles nie przejmował się zupełnie ich losem.

— Zabierzcie ich — rzucił krótko Tygrys. Kilku mężczyzn, zbieranina dość malowniczo wyglądająca, wystąpiło naprzód i rozbroiło więźniów. Nie stawiali oporu, wiedząc, że byłoby to bezcelowe.

— Co mamy z nimi robić, Wasza Wysokość? — odezwał się służalczo jeden ze strażników, przypuszczalnie kierownik grupy.

Bigglesa rozśmieszył ten tytuł królewski. Widać jednak było, że Tygrysowi zależało na nim i żądał go od swoich najemników. Król obserwował tymczasem więźniów z uwagą.

— Umieście ich koło Juanity; ona pewnie jest głodna — rozkazał z dziwnym uśmiechem. — Gdy będziemy mieli trzeciego, podniesiemy przegrodę i zostawimy ich razem z nią. No, żywo! Zabierajcie ich!

Ciężkie ręce spoczęły na więźniach. Biggles nie sprzeciwiał się wiedząc, że rozmowa z takim człowiekiem byłaby niepotrzebną stratą czasu. Tygrys bezsprzecznie ponosił odpowiedzialność za śmierć wielu niewinnych ludzi, jedno jeszcze morderstwo nie obciążałoby więcej jego sumienia. Jasne, że nie czuł lęku ani strachu.

Idąc w kierunku zabudowań Ginger zastanawiał się, kto to jest Juanita, jakkolwiek nie wątpił ani na chwilę, że musi to być ktoś bardzo niemiły. Wkrótce miał się o tym przekonać. Gdy przybyli na miejsce, zostali wepchnięci do zagrody, po czym zatrzasnęły się drzwi i zasunął ciężki rygiel.

Po oślepiającym blasku słońca w polu wydawało im się, że panuje tu mrok. Dopiero, kiedy oczy ich przyzwyczyły się do ciemności, zaczął Ginger rozróżniać otaczające ich przedmioty. Najpierw ujrzał Bigglesa, który stał za nim i również rozglądał się dokoła, potem uwagę jego zwrócił rząd silnych bambusowych prętów oddzielających więźniów od innej zagrody.

Ta druga zagroda miała znowu zaryglowaną ścianę, a raczej część ściany, poza którą znajdowała się otwarta przestrzeń. Wystarczył jeden rzut oka, aby się przekonać, że była to w rzeczywistości klatka. Właściwie można było nazwać całe to pomieszczenie klatką, przedzie-

55

loną prętami na dwie zagrody, oni zaś znajdowali się w jednej z nich. Ale co było w drugiej? Ginger szukał oczami mieszkańca klatki, ponieważ wiedział, że znajduje się on tam z całą pewnością — lecz na próżno. Najlepszym dowodem, który zdradzał, że mieli towarzystwo, był smród, świadczący o obecności dzikich zwierząt. Następnie Ginger zobaczył mały otwór w tylnej ścianie sąsiedniej zagrody i wiedział już teraz, że zwierzę znajdowało się w środku, w swoim legowisku.

Biggles położył rękę na przegrodzie i potrząsnął nią.

— To jest właśnie ta przegroda, o której wspomniał Tygrys, kiedy mówił o jej podniesieniu — zauważył.

— Juanita jest po drugiej stronie. Widocznie, gdy nadejdzie pora karmienia, podniosą przegrodę od zewnątrz, zostawiając nas razem z tą dziką bestią.

■

## Rozdział VIII

Algy wybiera się na poszukiwania

Algy spędzał czas na włóczeniu się po ruinach wsi, lecz kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi a Biggles z Gingerem nie powracali, opanował go niepokój, który wkrótce przerodził się w strach. Zajął stanowisko na szczycie schodów, skąd mógł dokładnie obserwować drogę. Dusky nic nie mówił, lecz zdawał sobie dokładnie sprawę z powagi sytuacji. Dzień kończył się w aureoli czerwonego blasku; zapadła noc, a oni jeszcze nie dali znaku życia o sobie. Fakt, że dotąd nie powrócili, sprawiał Algy'emu poważny kłopot. Polecili mu zostać na górze i pilnować maszyny; zdawał sobie sprawę, że niebezpiecznie jest opuścić stanowisko bez zawiadomienia towarzyszy. Nie wiedział, co ma właściwie robić, nie mógł się pozbyć uczucia, że przyjaciół spotkało coś złego. Czy miał zejść na dół po „Drabinie Jakuba” i zacząć poszukiwania? Pozostanie na miejscu wydawało mu się bezcelowe, ponieważ nie wyobrażał sobie, aby coś złego mogło się przytrafić maszynie, która stała spokojnie wśród ruin, niby jakiś bezużyteczny przedmiot. Układał sobie przy tym, że jeśli spotka Bigglesa z Gingerem na ścieżce, będzie mógł powrócić z nimi. W końcu postanowił, że o ile przed wschodem księżyca nie wrócą, pójdzie ich szukać.

Miał pewne wątpliwości, co robić z Dusky, lecz uważał, że lepiej będzie jeśli zostanie na górze. Dusky jednak dowiedziawszy się o tym planie oświadczył, że żadna siła nie zmusi go do siedzenia tutaj na miejscu, które bez wątpienia nawiedzane jest przez duchy zmarłych mieszkańców wsi.

Algy musiał ustąpić, a kiedy srebrzysty księżyc ukazał się na odległym horyzoncie, ruszył w dół po schodach z karabinem na ramieniu; Dusky postępował tuż za nim.

57

W dzień droga ta wydawała mu się trudna i niebezpieczna, w świetle księżycy natomiast była niezbyt denerwującą przeprawą. Nie śpieszył się jednak. Stosował zasadę posuwania się naprzód wolno, lecz pewnie. Schodził ostrożnie po stromej półce, nie spoglądając prawie w przepaść, znajdującą się po lewej stronie ścieżki. Spodziewał się jeszcze, że spotka przyjaciół idących w górę, lecz najbliższy odgłos nie przerywał martwej ciszy.

Dusky pierwszy zauważył w słabym blasku świtu stos kamieni a przed nim kartkę napisaną przez Bigglesa. Algy podniósł ją, przeczytał i zapoznał Dusky'ego z jej treścią.

— Możliwe, że im się nic złego nie stało, lecz dziwi mnie, że ich tak długo nie ma — powiedział. — Jedyna rozsądna rzecz, którą możemy zrobić, to zejść w dolinę i próbować ich odszukać.

Nie mieli żadnych trudności z odnalezieniem drogi. Idąc w dół po skałach przystawali, aby się zorientować w położeniu, ponieważ nie mieli żadnych wskazówek, w jakim kierunku mają się udać. Iść prosto do wsi, — uważał Algy za niebezpieczne przedsięwzięcie, które mogło więcej zaszkodzić niż pomóc.

Kiedy tak stali wśród ciemności poprzedzających świt, doszedł do ich uszu jakiś dziwny głos. Był niski, chrapliwy, przerywany od czasu do czasu uderzeniem, jak gdyby jakieś ciężkie ciało trafiało na przeszkodę. Słuchając przez chwilę, zapytał Algy Dusky'ego, co o tym sądzi.

Dusky odparł natychmiast, że taki głos może wydawać tylko dzikie zwierzę. Twierdził, że musi ono znajdować się w klatce i na pewno usiłuje wyrwać się z niej. Ofiarował się pójść sam, aby sprawdzić słuszność swojego przypuszczenia. Algy zgodził się na jego propozycję, po czym Dusky oddalił się i zniknął w ciemności.

Algy ani na chwilę nie myślał, że głos ten posiada jakikolwiek związek z Bigglosem i Gingerem. Nie miał do tego żadnej podstawy. Zgodził się na projekt Dusky'ego, jakkolwiek sam wolał pozostać na miejscu, dopóki się nie rozwidni, aby lepiej zorientować się w okolicy.

Różowy świt zaczynał rumienić się na wschodzie, kiedy powrócił Dusky. Nie odezwał się ani słowem, tylko wymachiwał gwałtownie ręką. Algy zorientował się, że Dusky uczynił jakieś odkrycie i bez pytania poszedł za nim. Zeszli aż do podnóża skał i ruszyli dalej, trzymając się w dość znacznej odległości od wsi. Po chwili okazało się, że Dusky prowadził go w kierunku budynków. W miarę jak się zbliżali, okropny głos stawał się wyraźniejszy. Algy wywnioskował, że zwierzę musiało

58

znajdować się w jednym z tych budynków. Kiedy zaś ryk ustał na chwilę, doszły do jego uszu zmieszane głosy ludzkie i Algy'emu wydawało się nawet, że poznaje głos Gingera. Wyprzedził Dusky'ego i ruszył szybko naprzód.

Zatrzymał się dziesięć jardów od najbliższego budynku i nasłuchiwał przez chwilę, po czym zawołał ostro:

— Ginger, czy to ty? Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Tak, jesteśmy tutaj.

Algy postąpił kilka kroków naprzód i po paru minutach zorientował się w sytuacji. Przekonał się, że budynek był rzeczywiście klatką, podzieloną na dwie zagrody. W jednej z nich znajdowała się czarna pantera. Kiedy się zbliżył szalała po drugiej stronie klatki drapiąc pazurami ogrodzenie. Skoro go tylko ujrzała, rzuciła się w jego kierunku tak gwałtownie, iż musiał się szybko cofnąć. Przekonawszy się, że zasuwy trzymają mocno, podszedł bliżej i w półmroku — ponieważ nie było jeszcze całkiem jasno — zobaczył Bigglesa i Gingera. Nie czekając na wyjaśnienie chwycił karabin i wymierzył do bestii.

— Nie strzelaj — krzyknął ostro Biggles.

— Dlaczego? — zdziwił się Algy opuszczając broń.

— Strzał sprowadzi tu całą zgraję. Spróbuj znaleźć stąd jakieś wyjście dla nas.

Algy przyznał mu rację, lecz po szybkim obejrzeniu budynku doszedł do przekonania, że ucieczka nie będzie łatwa. Do zagrody, w której siedzieli zamknięci, prowadziły solidnie wykonane zamknięte drzwi, tak że bez klucza nie można było nic poradzić. Podzielił się tą wiadomością z Bigglosem, po czym badał i obserwował dalej. Drzwi do klatki zwierzęcia otwierały się u góry w ten sam sposób, jak środkowa przegroda; wskutek podniesienia dwie zagrody zamieniały się w jedną.

— Zastrzełiłbym najchętniej to bydlę — powiedział Algy z rozpaczą. — Mógłbym wtedy podnieść środkową przegrodę, otworzyć drzwi klatki i wypuścić was.

— Dobrze zatem — zgodził się Biggles. — Skoro tylko wyjdziemy, rzucimy się natychmiast do schodów.

— Algy podniósł karabin, lecz zanim zdążył wypalić, okrzyk przerażenia wydany przez Dusky'ego kazał mu odwrócić się w kierunku wsi. Nie było już czasu do stracenia. Tuzin mężczyzn, przeważnie

59

tubylców, a wśród nich kilku białych, pędziło w ich stronę. Jeden z nich strzelił w biegu z rewolweru.

Algy widząc, że już późno na wykonanie powziętego planu, postanowił zaszachować całą zgraję z ukrycia. Dusky pędził już w kierunku tylnych zabudowań a Algy biegł za nim, kiedy nagle nowy pomysł przyszedł mu do głowy.

— Pomóż mi! — krzyknął do Dusky'ego i wspiąwszy się na jego plecy jak na grzbiet konia, wdrapał się na dach budynku. Wrzaski nadbiegającej zgrai upewniły go, że przeciwnicy już ich dostrzegli, lecz nie zwracał



na to uwagi. Odłożywszy karabin, chwycił dźwigni przytrzymującą drzwi i pociągnął ją w tył. Drzwi ustąpiły natychmiast. Pantera, która na to tylko czekała, jednym susem z furią wyskoczył z klatki. Na chwilę przysiadła, jak gdyby nie była pewna dokąd ma biec: lecz gdy ujrzała zgraję, która zatrzymała się na jej widok — nie miał już żadnej wątpliwości. Nienawidziła tych ludzi i pomknęła za nimi jak strzała. Tłum zaczął uciekać, rozbiegając się na wszystkie strony.

Algy chętnie byłby dalej obserwował tę scenę, lecz nie miał na to czasu. Podniósł przegrodę; w chwilę później ujrzał z zadowoleniem Bigglesa z Gingerem uciekających tymi samymi drzwiami, przez które pantera opuściła swoje więzienie.

— Do schodów! — krzyknął Biggles. — Szybko do schodów! Algy porwał karabin rzucony na ziemię i w następnej sekundzie

wszyscy czterej pędzili w kierunku skał.

W tym momencie zobaczyli upadającą panterę. Jak się okazało dopędziła jednego z białych, lecz Król Puszczy z odwagą godną lepszej sprawy, strzelił z rewolweru w bok zwierzęcia.

— Chodźmy prędzej — krzyczał Biggles. — Jeżeli uda się nam dojść do schodów, będziemy ich mogli powstrzymać.

Wrzaski wskazywały wyraźnie, że Tygrys zbierał ludzi, aby zorganizować pościg, więc nie czekali już ani chwili. Kilka strzałów padło obok nich, lecz była to bezładna strzelanina. Kule nie wyrządziły im żadnej szkody.

— No, wreszcie — odetchnął Biggles, kiedy znaleźli się na skale. Lecz już w następnej chwili wykrzyknął:  
— Kryjcie się! — Algy, da

mi karabin.

Ukrywszy się za skałą, wycelował szybko i strzelił do Tygrysa. Ale zmęczenie biegiem osłabiło pewność jego ręki i strzał chybił. Przeciwnicy

60

nie dali za wygraną. Rozsypali się w tyralierę, a Biggles zorientował się, że nie ma żadnego celu pozostawać na miejscu.

— Wejdzmy szybko na górę i wsiądźmy do maszyny — zdecydował. Ruszyli gęsiego, Biggles na końcu z karabinem trzymając tylną straż. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że czeka ich pościg. Żałował tylko, że będą musieli odkryć napastnikom dalszą część drogi, o której Tygrys na pewno nic jeszcze nie wiedział.

Przez pół godziny nie zdarzyło się nic nowego; postępowali z wysiłkiem w górę. Przychodziło im to z większą trudnością niż schodzenie w dół. Nagle poza występem skalnym, daleko w dole, ukazał się Tygrys ze swoimi ludźmi, którzy szli również gęsiego, ponieważ stopnie były za wąskie, aby można było

kroczyć dwójkami. Biggles zorientował się, że i oni musieli ich zauważyć. Nie strzelał z powodu zbyt wielkiej odległości, a także i z tej przyczyny, że blask wschodzącego słońca uniemożliwiał mu celność strzału. Zwracał jednak baczna uwagę na ścigających i wkrótce zobaczył, że pięciu mężczyzn-tubylców, szybko posuwa się w górę.

— Tygrys wysłał przodem paru Indian — powiedział Biggles do towarzyszy. — Spodziewa się niewątpliwie, że nas dogoni. Na razie nie mamy się czego obawiać; jeżeli podejda zbyt blisko, pošemy im coś takiego, co ich odstraszy. Idźcie dalej; mamy jeszcze kawałek drogi do szczytu.

Przez godzinę wspinali się z wysiłkiem, co w rezultacie wyczerpało ich do ostateczności. Upał stał się nieznośny, a oni dyszeli już ciężko, chociaż do szczytu było jeszcze daleko.

— Uważam, że powinniśmy trochę odpocząć — zdecydował Biggles. — Nie wytrzymamy takiego tempa do samego szczytu. — Zatrzymał się na zakręcie.

— Tu możemy przystanąć — rzekł spoglądając w dół.

Trzysta jardów poniżej znajdował się drugi zakręt, który zasłaniał im dalszy widok.

— Pierwszy człowiek, który wystawi nos poza tamten zakręt, otrzyma ode mnie kawałek ołowiu w prezencie — oświadczył zajmując swoje stanowisko i trzymając karabin w pogotowiu. Towarzysze jego siedząc na stopniach odpoczywali znużeni. Wszyscy mieli straszne pragnienie, ale ponieważ nigdzie nie było wody, nikt o tym nie wspomniał. Upłynęło dziesięć minut i Biggles wstał już, aby dać rozkaz do odmarszu, gdy nagle poniżej za zakrętem ukazał się Indianin.

61

Zatrzymał się raptownie, można było stąd wnioskować, że zdaje sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, lecz nie cofnął się. Powiedział coś do ludzi idących za nim. Głos jego słychać było doskonale wśród panującej dokoła ciszy.

Huknął strzał i Indianin zniknął szybko za zakrętem, tak że nikt nie mógł powiedzieć, czy został trafiony czy nie.

— To im da w każdym razie nieco do myślenia — zauważył Biggles, dając rozkaz odmarszu.

Dwa razy w ciągu następnej godziny zatrzymywał się i badał wzrokiem wijącą się za nimi ścieżkę. Z pewnych odcinków drogi można było dojrzeć znaczną przestrzeń, lecz nie zobaczyli Indian.

— Nie rozumiem tego — mruknął marszcząc czoło. — Nie mogę sobie wyobrazić, żeby oni zniknęli. W każdym razie, dopóki nam nie przeszkadzają, obojętne mi jest, co robią.

Ruszyli dalej i na krótko przed południem doszli do szczytu. Maszyna jest jeszcze w porządku — skonstatował Ginger widząc, że stoi w tym samym miejscu, w którym ją zostawili.

— Podejźmy tam i posilimy się nieco — postanowił Biggles. Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy nagle z bardzo bliskiej odległości

huknął strzał, a kula gwizdnęła mu nad ramieniem i uderzyła w skałę tuż za nim. Nastąpiło to tak nagle, że rozglądnął się dokoła w zdumieniu, usiłując ustalić miejsce, z którego padł strzał. Nigdzie jednak nie znalazł śladów. Kiedy się schylił, — huknął drugi strzał.

— Skąd one pochodzą? — wykrzyknął Algy pełen zdumienia i przerażenia.

— Nie wiem, podejrzewam jednak, że ci Indianie nie znają tej drogi — powiedział Biggles obserwując uważnie otaczające go skały. — Musieli nas przegonić jakąś inną ścieżką. Jeżeli nie zachowamy ostrożności, mogą nas oskrzydlić. Sądzę, że będzie lepiej schronić się w samolocie i wyszukać bezpieczne miejsce do lądowania.

— To znaczy, że chcesz odlecieć? — spytał Ginger.

— Tak.

— Dokąd masz zamiar się udać?

— Na rzekę. Nie ma dla nas w tej chwili innego miejsca. Poza tym nie chcę się zbytnio oddalać. Będziemy tam bezpieczni i obmyślimy dalszy plan. Kiedy na was krzyknę, biegnijcie w kierunku maszyny. Rozproszymy się aby nie stanowić zbyt pewnego celu. Naprzód!

Zaczęli biec w stronę maszyny, lecz gdy opuścili schronienie,

62

usłyszeli znowu kilka strzałów. Tym razem było jasne, że padły one z kilku karabinów. Żaden strzał nie padł jednak w pobliżu, co niesłychanie zdziwiło Bigglesa, aż zobaczył ślad kuli na kadłubie samolotu.

— Oni strzelają do maszyny — krzyknął.

— Wsiadajcie i zapuszczajcie motory, a ja ich zatrzymam. Znajdowali się teraz w odległości paru kroków od „Wędrowca”.

Wyszukawszy małe zagłębienie w terenie, Biggles schował się za nim i dał ognia w kierunku, z którego padały strzały. Obłoki dymu zdradziły pozycje nieprzyjaciół. Przekonał się, że Indianie doszli do wysokich skał poza wsią i tam się ukryli. Wypróżnił magazyn karabinu i przyskoczył do maszyny, której silniki zostały właśnie zapuszczone. Kiedy się znalazł w kabinie, Ginger wydał okrzyk przerażenia.

— Trafili w tank — krzyknął. — Benzyna się wylewa! Rzuciwszy okiem na główny tank, przekonał się Biggles, że tak było

istotnie. Celny strzał trafił w tank u dołu robiąc duży otwór, przez który zaczęła wypływać benzyna w takiej ilości, że tank mógł się opróżnić w ciągu kilku minut. Niebezpieczeństwo było widoczne. Bez benzyny byłiby unieruchomieni; samolot stałby się wówczas bezużyteczny, a dla nich pozostawałaby jedyna droga — pieszo schodami w dół. Przez chwilę usiłował Biggles zatkać otwór chusteczką, ale benzyna ciekła bez przerwy. Zorientował się, że w ten sposób oddali jedynie na krótko nieuchronny koniec. Na domiar złego kule biły ciągle w maszynę: lada chwila mogły trafić któregoś z nich. Biggles

wszedł pod samolot. Mieli teraz świetną sposobność ucieczki. Gdyby mógł tylko wznieść maszynę nad ziemię i przelecieć ponad płaskowzgórzem, mogliby opuścić się na rzekę, nawet w razie gdyby silniki przestały działać.

Algy ujrzał nadchodzącego Bigglesa i zgadując jego myśli, ustąpił mu miejsca. Biggles wskoczył i jednym ruchem ręki włączył cały gaz. Zawarczały silniki. Maszyna zaczęła ruszać naprzód. Nacisnął stery i czekał wiedząc, że los ich rozstrzygnie się za parę sekund. Jeżeli silniki będą działały jeszcze przez pół minuty, wszystko będzie dobrze. Jeżeli zawiodą... No, lepiej o tym nie myśleć.

Maszyna ruszyła teraz z podniesionym ogonem w kierunku płasko-wzgórza. Uniosła się w górę. Jeden silnik przestał działać, po chwili znów zawarczał, lecz w momencie, kiedy samolot wzniosł się ponad błękitny las, stanęły oba od razu. Stanęły też śmigła. Zapanowała głęboka cisza. Ale maszyna szybowiała już w powietrzu opadając ślizgiem w kierunku najbliższego zakrętu odległej rzeki.

63

## Rozdział IX

### Nowe niebezpieczeństwo

Gdyby kto zapytał Bigglesa, czy samolot bez siły napędowej doleci do rzeki, musiałby odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że nie. W tym wypadku mogła go uratować tylko mała odległość. Znajdował się na wysokości około pięciu tysięcy stóp i miał do pokonania przestrzeń pięciu mil, które normalnie mógłby przebyć ślizgiem nowoczesny samolot. Ale „Wędrowiec” był przeciążony i to stanowiło zasadniczą różnicę. Aby mieć szanse ocalenia, musiałby lądować na lotnisku, gdzie teren byłby wolny od jakichkolwiek przeszkód. Tymczasem najbliższej położona część rzeki, która stanowiła jego cel, była dla niego terenem zupełnie nowym i nieznanym. Gdyby tam nawet doleciał, istniała zawsze możliwość dostania się w śmiertelną pułapkę w postaci mielizn, zwalonych drzew pływających po powierzchni lub nawet olbrzymich lilii wodnych, które rosły gęsto w wielu miejscach. Nie miał jednak innego wyjścia — musiał lecieć dalej w nadziei, że wyląduje szczęśliwie.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, ale ponieważ nie mogli nic na to poradzić, siedzieli spokojnie obserwując, jak szara wstęga wody stawała się coraz wyraźniejsza.

Uplłynęło parę minut, a samolot opadał leniwie z jednostajną szybkością. Wysokościomierz wykazywał teraz dwa tysiące stóp, do rzeki były jeszcze dobre dwie mile.

— Powinieneś kierować się prosto na rzekę — rzekł Algy.

— Tak — odparł Biggles z lekkim uśmiechem.

Maszyna opadała dalej, słychać było tylko głuchy jęk powietrza, prutego skrzydłami samolotu. Nikt się nie ruszał. Nikt nie wypowiedział słowa.

Ginger patrzył na rzekę jak urzeczony. Zdawała się płynąć do nich

64

niby wąska dróżka wśród bezkresnego lasu. Uświadomili sobie jasno, że ostateczny wynik może być kwestią kilku cali.

Algy przysięgał później, że słyszał, jak gałęzie drzew ocierały się o kil samolotu, kiedy przelatywał nad nimi, opuszczając się na wodę; ale była to prawdopodobnie przesada. Ginger opadł głębiej na siedzenie z pewnym uczuciem ulgi, gdy minęło bezpośrednie niebezpieczeństwo i kiedy wiedział już, że o ile nie będzie żadnych pływających przeszkód na rzece, wszystko skończy się pomyślnie. W rzeczywistości były takie przeszkody, jak przyznał później Biggles, lecz zdołał je wyminąć, zawdzięczając to zarówno swej zręczności jak i swojemu szczęściu. Opadając bowiem na długą, otwartą przestrzeń rzeki, poruszył „Wędrowiec” całe masy krokodyli, które uciekały w popłochu na wszystkie strony.

— No, nareszcie — oznajmił Biggles. — Teraz najwyższy czas, abyśmy coś zjedli. Ginger, wyciągnij trochę jedzenia z puszeki.

— Czy nie byłoby lepiej umocować najpierw maszynę przy brzegu — doradzał Algy.

— Owszem, ale w jaki sposób mamy dostać się do brzegu?

Algy zachmurzył się, gdy zrozumiał znaczenie tego pytania. Z nieczynnym silnikiem byli tak samo bezradni, jak gdyby pływali na tratwie bez wiosła.

— Sądzę, że nie powinniśmy się tym zbytnio przejmować — pocieszał go Biggles. — Zaraz przybijemy do brzegu, prawdopodobnie na zakręcie. Musimy kierować się w dół rzeki, ponieważ prędzej czy później spotkamy łódzie z benzyną, płynące w górę, a dopóki nie naprawimy tanku i nie będziemy mieli benzyny, jesteśmy bezradni.

— A co masz zamiar dalej robić? — spytał Ginger. Biggles wzruszył ramionami.

— Nie wiem — przyznał. — To paskudna historia, ale przynajmniej odkryliśmy główną kwaterę Tygrysa, a to już coś znaczy. Jestem gotów polecieć na wybrzeże, opowiedzieć Carruthersowi o wszystkim i pozostawić mu decyzję co do dalszego postępowania. Pomówimy jeszcze o tym, lecz najpierw trzeba się posilić.

Usiedli na puszkach w małej kabinie i pożywili się solidnie. „Wędrowca” pozostawili jego własnym losom. W ten sposób minęło pół godziny.

Nagle Dusky z widocznym przerażeniem zwrócił uwagę na wzrastającą szybkość maszyny. Powodem tego mogły być pływające pnie drzew,

5 Skarb w dżungli

65

które obijały się o jej boki. Na krzyk Dusky'ego przerwali rozmowę i wyszli z luki.

Jeden rzut oka na rzekę wystarczył, aby ostrzec ich o niebezpieczeństwie, a Biggles robił sobie wyrzuty, że nie wziął takiej możliwości pod uwagę. Może jakie ćwierć mili poniżej, rzeka przebijała się przez dwa skaliste wzgórza; nie były one zbyt wysokie, lecz wystarczyły, aby zamienić spokojną rzekę w wartki potok, który przepływał z szumem, porywając z obu stron brzegów ogromne głazy. „Wędrowiec” stawał już dęba, jak podrażniony koń na wzrastającej fali potoku. To obracał się pomału, to znów płynął bokiem przez środek rzeki. Biggles spojrział szybko w stronę brzegu, lecz najbliższy znajdował się w odległości dobrych pięćdziesięciu jardów, chętnie płynąłby jeszcze znacznie dłużej, byle go tylko ominąć.

— Jeżeli uderzymy o jedną z tych skał, rozbijemy się jak skorupka jajka! — krzyknął Algy, którego ogarniał większy lęk w miarę, jak maszyna zaczęła nabierać szybkości.

— Czy nie można by spuścić kotwicy? — poddał Ginger.

— To nie ma żadnego znaczenia — odparł Biggles. — Nic jej nie utrzyma teraz. Wy dwaj chwycie cienki drążek i starajcie się odepchnąć maszynę, skoro zbliży się do skał. To jest nasza jedyna szansa, ale na miłość Boską, nie wpadnijcie do wody.

Powiedziawszy to chwycił cienką belkę, przyczołgał się aż na dziób maszyny i rozciągnął się jak długi. Na twarzy jego widać było skupienie, gdy tak patrzył na spienione bałwany. Nie było najmniejszej nadziei, aby „Wędrowiec” mógł sprostać tej próbie, o ile nie będzie płynął prosto.

Nikt z nich nie mógłby dokładnie powiedzieć, co się stało w następnych dziesięciu minutach. Pamiętali jedynie szumiącą rzekę i bryzgającą im w oczy pianę. „Wędrowiec” podskakiwał jak żywe stworzenie, podczas gdy oni usiłowali za wszelką cenę utrzymać jego równowagę. Nie wiadomo, jak to się stało, że żaden z nich nie wpadł do wody, gdy zbliżali się z przerażającą szybkością do skał, które zdawały się wyrastać na ich drodze. Potem nagle było już po wszystkim i maszyna unosiła się lekko na spokojnej wodzie.

Biggles wycofał się ze swojego niebezpiecznego stanowiska na dziobie maszyny, wyciskając wodę z włosów i oglądając dłonie rąk, obrzmiałe od trzymania belki. Wszyscy inni znajdowali się w podobnym stanie, tak że opadli wyczerpani dysząc ciężko i usiłując wrócić do równowagi.

66

— W przyszłości powinniśmy trochę lepiej uważać na drogę \_\_

mruknął Ginger, wpatrując się przed siebie, kiedy mijali zakręt Nagle znieruchomiał, a potem raptownie porwał się na równe nogi-

— Patrzcie, nowe niebezpieczeństwo przed nami! — ryknął.

Biggles spojrział w kierunku wskazanym przez Gingera. Natychmiast pochwycił koniec liny kotwicznej i skoczył do wody. Trzymając linę w zębach, zaczął płynąć do brzegu.

Gdyby nie trafił na płytką wodę i nie zgruntował dna szybciej, 112 sje spodziewał, byłby lądu prawdopodobnie nie dosięgnął, gdyż „Wędrowiec” zaczął nabierać szybkości w miarę, jak rzeka zbliżała sje do następnego spadku. Ale udało mu się stanąć pewnie na piaszczystym dnie, pociągnąć całym swym ciężarem linę i w ten sposób lekko unoszący się na wodzie samolot skierować do brzegu. Algy i Ginger mogli teraz uchwycić się zwisających gałęzi drzew i doprowadzić maszynę do bezpiecznego zakotwiczenia.

— Kto wymyślił tę wariacką wycieczkę? — mruknął zgryzliwie Biggles wychodząc na brzeg cały ociekający wodą.

— Ja — odparł z uśmiechem Ginger.

— W takim razie musisz znaleźć wyjście z tej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się. W dole i w górze rzeki są silne prądy, a tanki mamy pusty. Wygląda to, że będziemy musieli zostać tu przez dłuższy czas. Musisz pomyśleć o naprawie tanku, jeżeli w ogóle mamy wyruszyć w dalszą drogę.

— Doskonale — zgodził się Ginger i zabrał się do roboty. — A ty, co będziesz robił?

— Pójdę brzegiem w dół do następnego spadku rzeki i zobaczę czy to bardzo groźnie wygląda. Przede wszystkim musimy się przekonać czy nie nadjechał transport benzyny, którą nam obiecał przysłać Carruthers. Chodź, Algy. Może i ty pójdziesz z nami Dusky. Prawdopodobnie będziemy potrzebowali twojej rady.

Zostawiwszy Gingera samego, udali się brzegiem w dół rzeki płosząc aligatory, wygrzewające się w słońcu nad wodą. Mogli się teraz przekonać, że gwałtowne spadki wody ciągnęły się na przestrzeni blisko pół mili; były gorsze od poprzednich i Biggles od razu zaniechał myśli o przebyciu tych miejsc samolotem. Poza tą przestrzenią rzeka osiągnęła znów swój równy bieg, wijąc się łagodnie wśród tropikalnej roślinności. Szli przez jakiś czas wzdłuż jej brzegu, ale kiedy nie widząc

67

żadnej zmiany, chcieli już wracać, zatrzymał się nagle Dusky wężąc nosem jak pies.

— Cóż tam nowego? — rzucił pytanie Biggles.

Duże dziecięce oczy Dusky'ego otwarty się szeroko kiedy szepnął nerwowo, że czuje ogień.

Biggles nie mógł tego zrozumieć, ponieważ wydawało mu się niemożliwe, aby dżungla pełna bujnej zieloności, nasyczona w upale wilgocią mogła być ogarnięta przez ogień, ale postępował za Dusky'ego, który czołgał się wolno naprzód, z największą ostrożnością, z naprężonymi muskularni, wyężając wzrok. Po chwili zatrzymał się i przywoławszy towarzyszy ruchem ręki, pokazał im coś przed sobą. Biggles, wodząc oczami za jego wyciągniętym palcem, zobaczył, że w niewielkiej odległości przed nimi, nad brzegiem rzeki trawa została wycięta i zdeptana. Uczyniła to niewątpliwie ręka ludzka. W środku tej przestrzeni tliło się jeszcze ognisko. Leżał tu jakiś brązowy przedmiot, który jak się wkrótce okazało, był częścią ludzkiej nogi, wystającej spod dogasającego ogniska. Dokoła unosiły się chmary much.

— To na pewno trup — stwierdził Dusky.

Biggles zbliżył się do zmarłego; miał on na sobie niebieskie, drelichowe spodnie i musiał należeć do cywilizowanych tubylców wybrzeża. Biggles patrzył jeszcze na ten okropny obraz nie mogąc zrozumieć, co się tu stało, kiedy nagle usłyszał jęki, które wydawał inny tubylec leżący na samym brzegu rzeki. Żył jeszcze, lecz były to jego ostatnie chwile. Biggles ukląkł przy nim i zobaczył ranę postrzałową w piersi.

— Spytaj go, kim jest — polecił Dusky'emu.

Dusky pochylił się nad rannym i zaczął mówić do niego w niezrozumiałym języku. Obcy odpowiadał wolno i z trudnością. Ta przerywana rozmowa trwała kilka minut, dopóki ranny nie skonał.

Dusky wstał i zwrócił swą przerażoną twarz ku towarzyszom.

— Oni przywieźli benzynę w dużej łodzi — tłumaczył. — Dojechali do tego miejsca i rozbili namioty. Potem przyszli ludzie Bogata i wymordowali ich.

— Ale gdzie jest ta łódź i benzyna? — spytał Biggles. W głosie jego drżał niepokój.

Dusky wskazał miejsce na rzece, niedaleko brzegu.

68

— Łódź zatonięła tam. Kiedy ludzie Bogata napadli na obóz, wioślarze chcieli uciec, lecz kule trafiły łódź, która poszła na dno.

— Kiedy się to stało?

— Wczoraj wieczorem, panie.

Biggles zwrócił się do Algy'ego i wzruszył bezradnie ramionami.

— To fatalne — rzekł nie tracąc panowania nad sobą. — Benzyna była dla nas jedyną szansą wydostania się stąd.

— Ale w jaki sposób u licha mógł Tygrys wiedzieć, że benzyna jedzie w górę rzeki? — zastanawiał się Algy.

Biggles uśmiechnął się gorzko.

— Zapomniałeś o Marcellu Chorro, pomocniku Carruthersa? On musiał wiedzieć o wszystkim. Skoro tylko Carruthers wrócił i dostarczył nam benzyny, Chorro wysłał z pewnością Tygrysowi meldunek gołębiem pocztowym.

Algy skinął głową.

— Tak było niewątpliwie, to nam tłumaczy wszystko. Zapomniałem o tym łotrze Chorro.



— Pozostaje nam wobec tego jeszcze jedna szansa — ciągnął dalej Biggles. — Jeżeli woda nie okaże się zanadto głęboka, możemy uratować trochę baniek z benzyną. Niektóre będą prawdopodobnie podziurawione. Gdyby udało nam się zebrać tyle benzyny, aby wrócić na wybrzeże, bylibyśmy ocaleni. Jak daleko znajdowała się łódź w chwili zatonięcia? — spytał zwracając się do Dusky'ego.

Dusky podniósł kawałek zbutwiałego drzewa i rzucił na wodę około dwudziestu jardów od brzegu.

Biggles zaczął zdejmować ubranie.

— Wskoczę do wody i spróbuję odnaleźć łódź — postanowił. Dusky potrząsnął gwałtownie głową.

— Nie teraz — zaprotestował. — Może tam być aligator, mogą być również piranie.

— Piranie? — spytał Algy.

— Są to ryby żywiące się ludzkim mięsem — wyjaśnił Biggles. Nie są bardzo duże, lecz należą do najżarłoczniejszych istot na świecie. Płyną całymi ławicami. Stwierdzono, że potrafią w ciągu pięciu minut pożreć człowieka, tak że zostanie tylko szkielet.

— Urocze stworzonka — zadrwił Algy.

— Cóż będzie zatem? Biggles myślał przez chwilę.

69

— Nie możemy sprowadzić tu maszyny, ale trzeba sporządzić tratwę i przedostać się z niej do łodzi. Moglibyśmy odnaleźć łódź ciągnąc naszą kotwicę na dnie rzeki. Co o tym sądzisz, Dusky?

— Dobrze, zrobmy tratwę — zgodził się zapytany.

— Wobec tego wróćmy do maszyny i zabierzmy trochę narzędzi — zaproponował Biggles. — Nie będzie to zbyt wielka praca.

— A jeżeli banda Bogata kręci się jeszcze w pobliżu?

— Nie przewidziałem tej możliwości — odparł Biggles. — Musimy zaryzykować. Dalej, wracamy do maszyny.

Udali się z powrotem w górę rzeki i uspokoili się zastawszy wszystko bez zmian. Ginger właśnie skończył naprawiać tank nałożywszy kawałek blachy. Opowiedzieli mu o swoim odkryciu i o nowym postanowieniu. W ciągu paru minut przeniesiono na brzeg broń oraz narzędzia potrzebne do sporządzenia tratwy.

— Nie podoba mi się pomysł opuszczenia maszyny — mruknął Algy.

— Mnie także nie, lecz musimy tak zrobić — zdecydował Biggles. — Jeżeli będziemy się śpieszyć, powinniśmy sporządzić tratwę przed zapadnięciem nocy, aby móc zacząć pracę jutro o świcie. Chodźmy.

Powrócili do miejsca spalonego obozu i pochowawszy nieszczęśliwych tubylców zabrali się do wyszukania budulca odpowiedniego na tratwę. Pomagał im w tym Dusky, który wiedział doskonale, które drzewo jest lekkie i łatwe do obróbki. Niektóre były tak twarde, że tępiły się na nich ostrza siekier. Ginger nie chciał w to uwierzyć, dopóki się sam nie przekonał.

Słońce zniżało się ku zachodowi, kiedy ukończyli pracę i sklecona naprędce, lecz zdolna do użytku tratwa, przywiązana do drzewa, unosiła się na wodzie. Biggles zdecydował, że już za późno na rozpoczęcie poszukiwań. Zabrawszy więc narzędzia, wrócili do „Wędrowca”.

Nie uszli jeszcze zbyt daleko, kiedy stado małych czarno owłosionych dzikich świni z kwikiem i chrząkaniem nadbiegło w szalonym pędzie. Pierwsze wrażenie Gingera było, że zwierzęta zechcą ich zaatakować, lecz „pekari”, tak je bowiem nazwał Dusky, przebiegły szybko nie zwracając na nich uwagi. Mimo to jednak Dusky patrzył za nimi niespokojnie, a kiedy zniknęły w dole rzeki, podniósł rękę nakazując wszystkim spokój i zamieniając się cały w słuch.

W ciszy słyszał Ginger dokoła niewyraźne szmery.

Wkrótce odkrył ich przyczynę. Małe stworzonka, których obecność

70

nie wydawała się wcale podejrzana, opuszczały swe gniazda w zbutwiałej roślinności i szybko wychodziły na drzewa. Zobaczył biało nakrapiane stonogi, długości jednej stopy, o licznych żebrach poruszających się pod obrzydliwą skórą; tarantulę, owłosionego pająka wielkości dłoni, który wyłaził na najbliższe drzewo poruszając się gwałtownymi ruchami. Te niesamowite ruchy wywoływały u Gingera uczucie przerażenia, ale nie mówił nic. Patrzył z boku na Dusky'ego, kiedy nagle z pewnej odległości doszedł ich uszu dziwny odgłos, podobny do szumu niesionych wiatrem liści jesiennych.

Dusky mruknął coś i pośpieszył naprzód, a nerwowe jego ruchy potwierdziły wrażenie Gingera, że grozi im niebezpieczeństwo.

— Co to jest? — spytał przerażony.

— Mrówki zbliżają się — odparł Dusky.

Równocześnie zaczął biec, a Ginger zobaczył z uczuciem ulgi tuż przed sobą „Wędrowca”. Hałas dokoła wzmógł się teraz niepokojąco. Owady i gady wszelkiego rodzaju wyłaziły na drzewa lub posuwały się szybko po ziemi; mały piszczały przeskakując z gałęzi na gałąź; ptaki krążyły niespokojnie w górze. Gingerowi wydawało się, że jest to zupełnie niepotrzebne poruszenie z powodu kilku mrówek. Nie wiedział jednak dotychczas, jak one wyglądają.

Znajdowali się w odległości zaledwie pięćdziesięciu jardów od maszyny, kiedy je ujrzał i po chwili dopiero zorientował się, że ta szeroka, czarna kolumna, tocząca się jak roztopiona smoła w kierunku zakotwiczonej maszyny, była w rzeczywistości chmarą mrówek. Zobaczył wtedy, że miały półtora cala długości. Nic nie było w stanie powstrzymać ich marszu; z szaloną szybkością pokonywały każdą

przeszkodę znajdującą się na ich drodze. Hałas powodowany poruszaniem się tułowii, niezliczonych milionów cienkich nóg, wywoływał ostry, przerażający świst, który napełniał Gingera uczuciem przerażenia i zupełnej bezradności. Zdał sobie sprawę, że jest to wróg, przed którym nie można się wcale obronić.

Zaczęli pędzić jak szaleni w kierunku „Wędrowca” i dopadli go może na dziesięć jardów przed zbliżającą się armią owadów. Ginger wydał okrzyk, kiedy uczył naraz okropny ból, jak gdyby mu kto wbił w nogę rozpaloną igłę; nie zatrzymał się jednak, bo był zanedo przerażony, tylko wskoczył do maszyny.

Biggles wszedł ostatni. Lina była aż czarna od mrówek, odciął ją przeto i puścił do wody. Maszyna zaczęła już oddalać się z prądem, tak

71

że musiał biec naprzód. Odwinął kotwicę, puścił ją w muł i zaczepił o sitowie. Udało mu się zatrzymać maszynę, ponieważ prąd niedaleko od brzegu był słaby.

Ginger ujrzał na nodze czerwoną, zaognioną plamę w tym miejscu, gdzie ugryzła go mrówka.

— Zajodnyj to natychmiast — rozkazał Biggles, a Ginger zrobił to bez namysłu, ponieważ ból był bardzo dotkliwy.

Uczyniwszy to, wszedł na pokład, skąd spokojnie i bezpiecznie obserwowali okropną procesję mrówek na brzegu. Przechodziło to wszelkie wyobrażenia. Ziemia była czarna. Każdy liść, każda gałąź ruszały się jak gdyby lepka ciecz płynęła po nich. Ginger patrzył przerażony nie mogąc wypowiedzieć słowa.

— Widziałem już całe armie żerujących mrówek, ale coś podobnego oglądam po raz pierwszy — skonstatował Biggles. — One niszczą i ogołacają wszystko po drodze. Niech Bóg ma w swojej opiece wszystkie stworzenia, ludzi, zwierzęta czy owady, które znajdują się na ich drodze.

— Jak wielką jest przestrzeń, którą one zajmują? — informował się Ginger. Na razie nie widział jeszcze końca pochodu.

Biggles zapytał o to Dusky'ego który objaśnił, że kolumna taka może ciągnąć się na milę a czasem i więcej. Widział nieraz taki pochód mrówek i zapewniał ich, że jeśli mrówki nie są drażnione, przechodzą szybko dalej.

Usiedli wszyscy na pokładzie i obserwowali tak długo, dopóki się zupełnie nie ściemniło. Gdy odgłosy stawały się słabsze, zeszli do kabiny, gdzie Biggles zapalił światło i przygotował parę puszek z żywnością.

— Musimy się najpierw posilić, a potem przespać się trochę — powiedział. — Czeka nas jutro ciężka praca.

Ginger położył się myśląc wciąż o mrówkach. Nad lasem zawisła groza.

Rozdział X

Wypadki toczą się szybko dalej

Rano zbudził Gingera dziki okrzyk Bigglesa, który postawił go, jeszcze zaspanego, na równe nogi. Zaczynał się właśnie świt. Ginger zorientował się natychmiast w sytuacji. Woda, która zazwyczaj była ciemna, zaczynała teraz nabierać koloru żółtego i pędziła z szybkością wystarczającą, aby zerwać „Wędrowca” z kotwicy. Biggles zastanawiał się nad przyczyną tego zjawiska.

— Z pewnością padał deszcz w górze rzeki — oświadczył. — Woda szybko przybiera. Musimy przybić do brzegu. — Kotwica nie wytrzyma.

W międzyczasie wszyscy znaleźli się na pokładzie i wspólnymi siłami umocowali maszynę do drzewa. Biggles obserwował jeszcze przez chwilę niebo, następnie spojrzał na rzekę.

— Nie mamy ani chwili do stracenia. Musimy za wszelką cenę wydostać benzynę — zaznaczył z naciskiem. — Niezależnie od silnego prądu, grozi nam stale wzrastające zamulenie wody; wkrótce trudno będzie cośkolwiek zobaczyć pod wodą. Algy, zostań tutaj — pilnuj wszystkiego! Ginger i Dusky, pójdziecie ze mną.

Powiedziawszy to Biggles uchwycił się liny, wyskoczył na brzeg i ruszył biegiem w dół rzeki. Obaj przyjaciele szli za nim. Ginger z zadowoleniem stwierdził, że nie było już prawie śladu najazdu mrówek.

Po upływie krótkiego czasu dostali się do tratwy, gdzie woda dopiero zaczynała z lekka zmieniać swój kolor. Biggles przeniósł na tratwę duży głaz skalny, który miał służyć jako kotwica i odbił od brzegu. W miejscu, gdzie, jak sądził, zatonała łódź, zatrzymał tratwę, po czym zrzuciwszy ubranie i trzymając w ręce wolny koniec liny przygotował się do zanurzenia.

— Zaraz! A co z aligatorami? — krzyknął Ginger przerażony.

73

— Muszę zaryzykować — odparł krótko Biggles. — Jeśli nie zdobędziemy trochę benzyny, jesteśmy zgubieni. Dusky, w razie niebezpieczeństwa uważaj. — Z tymi słowami Biggles zniknął pod wodą.

Musiał trzy razy nurkować, zanim odszukał zatopioną łódź. Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której zakotwiczono tratwę tuż nad łodzią. Teraz praca szła już składnie i gdyby woda nie wzbierała i nie zaczynała zmieniać koloru, można by było uratować prawdopodobnie wszystkie bańki z benzyną. Biggles przywiązywał jedynie linę do rączki, a towarzysze jego wyciągali bańki w górę. W ten sposób wyciągnęli aż siedem baniek. Rzeka jednak wezbrała do tego stopnia, iż kotwica ledwie wytrzymywała napór wody. Położenie ich stawało się z każdą chwilą groźniejsze. Po wielu trudach, gdy tratwa z cennym ładunkiem znalazła się u brzegu, zaczęli przenosić bańki do samolotu. Tymczasem woda zmieniła się w rwący potok unosząc wszystko ze sobą po drodze.

— Sytuacja się pogarsza — oświadczył Algy chmurząc czoło, podczas gdy napełniali bak benzyną. — Nie uda nam się utrzymać maszyny w tych warunkach; jeżeli dostanie się w silny prąd, będzie po niej.

— Polecimy w dół na wybrzeże i przedstawimy wszystko Carruther-sowi — rzekł Biggles. — Nie ma sensu prowadzić akcji, kiedy ten łotr Chorro jest na wolności i stale informuje Tygrysa o wszystkich naszych ruchach. Benzyny nam wystarczy. Przewieźcie te próżne bańki na brzeg i bądźcie gotowi, abyśmy mogli jak najprędzej wyruszyć. — Za chwilę Biggles siedział już przy kierownicy.

Algy zaczął odwiązywać linę; ponieważ jednak „Wędrowiec” ciągnął mocno, robota nie szła mu łatwo. Widząc to Ginger pośpieszył mu z pomocą. Równocześnie Dusky zaczął wyrzucać puste bańki na brzeg. Nagle, w momencie gdy się tego najmniej spodziewali, pękła lina. Ginger uchwycił się jej rozpaczliwie, potknął się, upadł na Algy'ego i pociągnął go za sobą do wody. „Wędrowiec” uwolniony, poderwał się, a Dusky wyrzucony w górę, wypadł również za pokład. Wszyscy trzej z trudem dostali się na brzeg, podczas gdy „Wędrowiec” ruszył szybko z prądem w dół. Algy, Ginger i Dusky obserwowali go osłupiałymi ze zdziwienia oczami, oniemiałymi z przerażenia i zupełnie bezradni.

Ginger był pewny, że maszyna rozbije się na skałach. Nie wątpił w to ani na chwilę. Dopiero gdy usłyszał warkot silników „Wędrowca”, nabrał otuchy; zrozumiał, że Biggles nie utracił jeszcze ostatniej szansy. Nie mógł już zobaczyć maszyny, ponieważ zwisające nad wodą gałęzie

74

drzew i zakręt rzeki zasłaniały mu widok, ale kiedy wkrótce potem samolot ukazał się w powietrzu, stało się jasne, że Bigglesowi udało się wystartować. Wyczerpany wrażeniami całego dnia, rzucił się bez sił na ziemię.

Algy spojrział najpierw na maszynę a potem na rzekę.

— On nigdy nie ośmieli się ponownie wylądować — oświadczył.

— Nie będzie takim wariatem, aby próbować tego — odparł Ginger. — Przynajmniej tak długo, dopóki woda nie opadnie — dodał.

Tymczasem „Wędrowiec” okrążył ich dwa razy; znizywszy się, wyrzucił jakiś biały przedmiot, który szybko zaczął spadać. Okazało się, że była to puszka z konserw; wewnątrz znajdowała się kartka papieru, na której Biggles skreślił te słowa: „Czekajcie na mnie. Lecę na wybrzeże”.

— Nie mógł mądrzej postąpić. Poleci teraz w dół rzeki, napełni tank i powiadomi Carruthersa o Chorro — stwierdził Ginger. — Nic złego nam się nie stanie przez tych parę godzin.

— Sądzę, że zdajecie sobie sprawę z tego, iż nie mamy jedzenia ani też żadnej broni poza nożem Dusky'ego — mruknął Algy.

— W takim razie nie będziemy musieli wyrzekać się niczego — rzucił ironicznie Ginger.

— Żywność ja zdobędę — wtrącił z ufnością Dusky, wskazując na las szerokim ruchem ręki.

— Przypuszczam, że znajdziesz ją w lesie? — spytał Algy z nadzieją w głosie.

— Oczywiście, panie.

- Jaką żywność?
- Miód, korzonki, owoce...
- No, dobrze. Możemy więc pomyśleć o obiedzie.
- Zostańcie tutaj, ja pójdę szukać — odparł Dusky.
- Dobrze, jeżeli już chcesz koniecznie — zgodził się Algy. Po tych słowach Dusky zniknął w mrocznym gąszczu dżungli. Przez jakiś czas Algy z Gingerem siedzieli na pniu obserwując

szeroką powierzchnię rzeki. Nie mieli nic innego do roboty. O opuszczeniu tego miejsca nie mogło być mowy. Dusky bowiem nie zastawszy ich tutaj po powrocie, nie wiedziałby, co się z nimi stało. Daleka była myśl o niebezpieczeństwie. Ufali, że gdyby im cokolwiek groziło, Dusky ostrzegłby ich na pewno. Nie mieli jednak słuszności. Przekonali się o tym za późno.

75

Nie zauważyli nawet, skąd nadbiegli tubylcy. Powstało nagłe zamieszanie i nim zdążyli zorientować się w sytuacji, leżeli już na wznak przytrzymywani przez bandę Indian uzbrojonych w dzidy, maczugi i łuki. Wszystko to stało się w ciągu jednej niemal chwili. Gdy na rozkaz napastników podnieśli się z ziemi, popędzono ich do lasu. Nie mogli się bronić. Trzeba było poddać się losowi.

W ten sposób zrobili około pięciu mil, wreszcie doszli do serca lasu, gdzie cała grupa zatrzymała się na otwartej polanie, nad brzegiem wąskiego strumienia, po którym pływało parę łodzi. Kilka prymitywnych chat świadczyło o tym, że jest to wioska zamieszkała przez Indian. W jednej z nich umieszczono żadnych przygód turystów i postawiono straż przy wejściu.

W chacie panował taki mrok, że nie mogli mimo wysiłku rozróżnić otaczających ich przedmiotów. Ginger miał już zamiar rzucić się na ziemię, aby wypocząć po marszu przebyłym w potwornym upale, kiedy nagle ku najwyższemu zdumieniu usłyszał słowa skierowane do niego w języku angielskim:

- Co wy za jedni?
- A kto pan jest, u licha? — spytał Ginger dysząc ciężko.
- Nazywam się Eddie Rockwell — brzmiała odpowiedź.
- Co pan tu robi, do diabła? — spytał Algy.
- O to samo chciałem was zapytać.

Algy zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Jesteśmy badaczami tych stron — odparł trochę niepewnie. — Mamy samolot, lecz nasz towarzysz odleciał na wybrzeże po benzynę. W czasie jego nieobecności ta banda napadła nas i przywiodła tutaj. To wszystko. A jak się przedstawia sprawa z panem?

— Moja historia jest podobna do waszej. Prawie identyczna — odparł spokojnie Eddie.

Kiedy ich oczy oswoiły się z mrokiem i mogli przyjrzeć się towarzyszowi niedoli, zauważyli, że jest to młodzieniec lat około dwudziestu, znajdujący się w stanie okropnego wyczerpania. Ubranie jego było brudne i wisiało na nim w strzępach.

— Na nieszczęście miałem więcej pieniędzy niż rozumu. Byłem szalony dając się namówić na poszukiwanie skarbu — opowiadał Eddie. — Ojciec mówił mi, że cała ta historia z ukrytym w dżungli skarbem — to blaga. Widzę, że miał rację, lecz wtedy nie wierzyłem mu.

76

— Przybył pan tutaj na poszukiwanie skarbu? — zainteresował się Ginger.

— Przeczytałem ogłoszenie w dzienniku, że dwie osoby wiedzą o istnieniu i miejscu zakopania skarbu. Mapa, którą mi przedstawiono, wyglądała dość poważnie, dałem się więc złapać. Sfinansowałem całą wyprawę i wszystko szło dobrze, dopóki nie przyjechaliśmy tutaj. Moi nikczemni przewodnicy ogołocili mnie z pieniędzy i zostawili na lodzie. Jeżeli zetknęliście się już z dżunglą, wiecie, na co byłem ustawicznie narażony. Robiłem mimo wszystko, co mogłem. Błądziłem dokoła, aż wreszcie dostałem się nad rzekę. Potem ruszyłem w dół, wyobrażając sobie, że prędzej czy później, o ile zdołam oczywiście wytrzymać, dotrę do morza. Tymczasem napadli mnie Indianie i sprowadzili tutaj. Nie przejmowałem się tym zbyt, ponieważ dobrze się ze mną obchodzili. Gdy przybyłem do tej wioski, zataczałem się wprost z wycieńczenia. W ciągu dwóch tygodni nie miałem nic w ustach. Indianie dali przynajmniej jedzenie, pozostałem więc z nimi. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Słuchając tego opowiadania Ginger doszedł do wniosku, że przewodnikami Eddiego byli trzej Amerykanie, o których tak się martwił Carruthers.

— Zdaje się, że pan siedzi tu już od pewnego czasu, prawda? — spytał.

— Tak.

— Jak długo?

— Trudno mi to określić. Parę tygodni a może i nawet miesięcy.

— No, a pańscy towarzysze? — pytał dalej Ginger. — Czy jeden z nich nie był to wysoki, chudy o malarycznej cerze mężczyzna z bladymi, szarymi oczami i szerokimi ustami, drugi zaś skończony nicpoń — takie właśnie zrobił na mnie wrażenie — o płowych włosach i rzadkich wąsach, pożółkłych od nikotyny?

Eddie wydał okrzyk zdumienia.

— Tak, to oni — odparł szybko. — Widzieliście ich zatem?

— Mogę nawet założyć się z panem, że to są ci sami — rzekł Ginger i opowiedział mu z najdrobniejszymi szczegółami całą historię tych dwóch ludzi. Wspomniał też o przygodzie, która pozwoliła mu zetknąć się z

białymi w ukrytej wsi Tygrysa, dodając, że zniknięcie tych właśnie białych przysporzyło niemało kłopotu władzom.

— No, proszę, jakie pan posiada niezwykle wiadomości — wykrzy-

77

knął Eddie, gdy Ginger skończył. — Joe Warner i Silas Schmidt — oni to byli moimi towarzyszami — powiedzieli mi, że jest tu pewien osobnik, który kieruje akcją poszukiwania skarbu, nie przypuszczałem jednak, że może być z tego powodu aż tyle rozgłosu.

— Pańscy towarzysze są wszystkiemu winni — wtrącił Algy. — Wiedzieli prawdopodobnie, że trudno będzie uniknąć spotkania z tym człowiekiem lub jego bandą i dlatego zmienili plany. Zdradzili, zdając sobie sprawę z tego, że nigdy nie potrafi pan dojść do wybrzeża.

— I ja tak sądzę — przyznał Eddie. — Czy znacie dialekt, którym mówią ci tubylcy?

— Niestety, nie znamy absolutnie.

— Jak myślicie, co oni z nami zrobią? Algy potrząsnął głową:

— Nie mam. pojęcia, lecz sądząc z ich zachowania się, nie będzie to nic przyjemnego.

— Czy nie ma żadnej możliwości ucieczki?

— Tego bym nie powiedział. Wprawdzie nasz towarzysz jest w dole rzeki, lecz musi wrócić. Mamy też służącego tubylca, którego znaleźliśmy w lesie; nie było go właśnie, kiedy napadli Indianie. Jestem przekonany, że gdy nas nie zobaczy, domyśli się nieszczęścia i pójdzie naszymi śladami. Sprawa mimo wszystko nie wygląda tak źle.

Optymizm Algy'ego zdawał się dodawać otuchy Eddiemu. Przerwali rozmowę i Algy stanąwszy przed jedną z wielu szpar w ścianie, usiłował zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Zachowanie się tubylców, wrzawa, która temu towarzyszyła, świadczyła najwymowniej o radości wywołanej ujęciem białych.

Algy obserwował ich bez przerwy. Nagle usłyszeli serię strzałów dochodzących ze skraju dżungli. Kilku Indian już padło. Pozostali rozpierzchli się w nieładzie ratując życie; jedni uciekali do lasu, inni w popłochu wskakiwali do łodzi. Wśród nich znajdował się również strażnik pilnujący więźniów, którzy teraz, odzyskawszy wolność, opuścili chatę.

Algy miał wrażenie, że atak ten zorganizował Biggles: w jakiś cudowny sposób przybył tu z odsieczą.

Kiedy jednak ukazał się Bogat z karabinem w ręku, a za nim jego banda, stracił całą nadzieję.

Bogat zobaczył natychmiast trzech białych i rozchylił wargi

78

w szyderczym uśmiechu. Wycelował do nich z karabinu. Prawie w tej samej chwili zostali otoczeni.



— Zdaje się, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę — mruknął Ginger zupełnie przybity.

— Kim jest ten człowiek? — spytał Eddie.

Ginger odpowiedział mu krótko. Nie było czasu na szczegóły. Przyniesiono linę; związano więźniom ręce z tyłu i złączono ich razem. Napastnicy, podpaliwszy chaty, ustawili się w szereg. Bogat stanął na czele i oddział ruszył w las.

— Dokąd nas prowadzą, jak myślicie? — spytał Eddie.

— Zdaje mi się, że idziemy do kwatery Króla Puszczy — odparł Ginger.

Olbrzym-tubylec świsnął batem i położył kres dalszej rozmowie. Więźniowie powlekli się dalej w milczeniu przez pełną bujnej zieleni dżunglę.

## Rozdział XI

### Wąż

Jak wiadomo, Biggles miał dość benzyny, aby dostać się na wybrzeże. Odszukał natychmiast Carruthersa, który nie okazał najmniejszego zdziwienia na jego widok, i zdał relację z ostatnich wydarzeń. Carruthers wpadł we wściekłość, gdy się dowiedział o losie łodzi wiozącej zapasową benzynę. Poznał teraz prawdziwy charakter Marcela Chorro — opanowało go zdumienie i przerażenie, ponieważ był dotąd przekonany o jego wierności. W tej chwili nie można go było w żaden sposób ukarać, gdyż wskutek dziwnego zbiegu okoliczności Chorro niedawno poprosił o urlop i otrzymał zwolnienie na trzy tygodnie.

— Dokąd się udał? — spytał Biggles.

— W górę rzeki — brzmiała odpowiedź. Zdaje się, że posiada gdzieś bungalow, oddalony stąd o dwa lub trzy dni drogi. Bywał już poprzednio w górze rzeki.

Biggles uśmiechnął się złośliwie.

— Jestem przekonany, że poszedł odwiedzić Tygrysa, aby go poinformować o sytuacji.

Carruthers skinął głową.

— Obawiam się, że masz rację — rzekł wolno. — Nic nie szkodzi; rozprawię się z łotrem, gdy wróci.

— Jeżeli w ogóle wróci — wtrącił łagodnie Biggles. Carruthers spojrzął na niego spode łba, lecz nie poruszał już więcej

tej sprawy. Spytał natomiast Bigglesa, co zamierza teraz uczynić.

— Wykąpać się, zjeść obiad, nabrać benzyny i jechać z powrotem — brzmiała odpowiedź — Chciałbym już jak najprędzej znaleźć się wśród nich.

— Do tej pory nie widzę właściwie sposobu ujęcia Tygrysa i jego

80

bandy — zauważył Carruthers marszcząc gniewnie czoło. — Poleciałbym z tobą, lecz w tej chwili, kiedy nie ma gubernatora, nie mogę opuścić urzędu i przez jakiś czas nie będę się mógł stąd oddalić.

— Trzeba przyznać, że sprawa ta nie jest prosta — stwierdził Biggles. — Dochodzimy jednak do jej wyjaśnienia i prędzej czy później wszelkie szanse będą po naszej stronie.

Snuli plany, lecz nie powzięli żadnej konkretnej decyzji. W dwie godziny później, z tankami napełnionymi benzyną, poleciał Biggles w górę rzeki. Był spokojny, bo rzeka po przejściowej burzy opadła.

Zaniepokoił się jednak, gdy krążąc nisko nad obozem nie zauważył śladu towarzyszy; kiedy zaś wylądował, przybił do brzegu i wyskoczył z maszyny, niepokój jego zmienił się w przerażenie — nie zastał nikogo. Przez kilka minut starał się opanować, nawołując ich od czasu do czasu, lecz nie otrzymawszy odpowiedzi, zaczął dokładnie badać teren. Na razie nic nie zdradzało tego, co się tu działo. Po chwili wśród wysokiej trawy znalazł złamaną strzałę. Początkowo sądził jeszcze, że ta strzała jest stara i leży już w tym miejscu od dłuższego czasu, lecz kiedy przypatrzył się złamaniu i zobaczył, że jest świeże, uznał iż dalsze poszukiwania są zbyteczne. W obozie znajdowali się Indianie; było to dla niego tak oczywiste, że nie dziwiła go już nieobecność Algy'ego i Gingerera. Zatrzymał się dłuższą chwilę przeszukując krzaki i drzał na myśl, że stało się tu coś okropnego. Wreszcie wydał westchnienie ulgi, gdy jego obawy okazały się bezpodstawne.

— Są uwięzieni — powiedział sam do siebie. I uspokoił się trochę. Przez chwilę nie wiedział w ogóle, co ma robić. Zapomniał na razie

zupełnie o Tygrysie. Zajęty był wyłącznie myślą o Algym i Gingerze, a także o Duszym, którego z nimi zostawił, chociaż o tego ostatniego mniej się troszczył. Oczywiście należało ich ratować, lecz nie miał najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Każdy plan wydawał mu się niewykonalny.

Ani przez chwilę nie zaniechał czujności; zdawał sobie sprawę, że to co spotkało towarzyszy, może spotkać i jego. Zapalił papierosa i spróbował odtworzyć sobie scenę, która się tu rozegrała. Tak rozmyślając, natrafił na ścieżkę wiodącą do lasu. Było to dla niego niespodzianką. Wiedział, że Indianie podróżują łodziami i wyobraził sobie, iż napad nastąpił od strony rzeki.

Ponieważ miał już teraz pewien namacalny dowód obecności Indian, wrócił do „Wędrowca”, umocował go silnie do rosnącego na brzegu

## 6 Skarb w dżungli

81

drzewa i zamaskował okrywając skrzydła sitowiem i liśćmi paproci. Następnie zeszedł do kabiny, wybrał ciężki karabin „Express”, napełnił pas amunicją a kieszenie kurtki sucharami. W końcu, rzuciwszy wzrokiem dokoła, ruszył wygodną ścieżką w drogę.

Nie uszedł daleko, kiedy nagle zatrzymał się usłyszawszy chrapliwy szept: „Panie, panie!” — Głos ten był znajomy. Starał się zachować spokój i opanować nerwy.

— Dusky! — zawołał szybko. — Gdzie jesteś? Dusky zeskoczył z drzewa i pośpieszył do niego.

— Co się stało? — spytał krótko Biggles bardzo zdziwiony, że Dusky'emu udało się zbiec.

Dusky udzielał mu szybko wyjaśnień. W słowach pełnych żalu opowiedział, jak udał się do lasu na poszukiwanie żywności i jak — na swoje szczęście — szukając owoców, wdrapał się na drzewo. Drzewo znajdowało się w niewielkiej odległości od obozu i wówczas odgłosy napadu Indian doszły do jego uszu. Z ukrycia swojego obserwował, jak schwytano Algy'ego i Gingera i uprowadzono w dżunglę.

Usprawiedliwiał się, że nie mógł pośpieszyć im z pomocą, ponieważ jedyną bronią, jaką posiadał był nóż, a w takiej sytuacji nie miał odwagi zmierzyć się z całą bandą Indian. Biggles nie żądał dalszych wyjaśnień. A kiedy Dusky tłumaczył mu, że pozostał w ukryciu i czekał na jego powrót, aby mu opowiedzieć wszystko, co się stało, pochwalił go za jego przytomność umysłu.

— Przypuszczam, że nie masz pojęcia, dokąd udali się Indianie. Dusky potrząsnął głową dodając, że nie zna tej okolicy. Był jednak

przekonany, że wieś indiańska znajduje się stąd niezbyt daleko.

— W takim razie będziemy musieli ją odszukać — postanowił Biggles.

Dusky zgodził się, lecz bez wielkiego entuzjazmu.

Ruszyli dalej ścieżką; Dusky prowadził zatrzymując się od czasu do czasu i nasłuchując. Szli tak godzinę i dotarli w pobliże wioski nic o tym nie wiedząc.

Nagle doszły ich uszu dzikie wrzaski, które Dusky uważał za krzyki radości Indian z powodu ujęcia białych.

Postępowali teraz z większą ostrożnością i wytężali wzrok, spodziewając się ujrzeć wioskę, kiedy nagle odgłos całej serii wystrzałów kazał im prędko szukać schronienia. Strzały jednak nie były skierowane w ich stronę, co jeszcze bardziej zastanowiło Bigglesa. Dusky wdrapał się na

82

drzewo jak wiewiórka i po krótkiej chwili wrócił z niewesołą nowiną, że Bogat ze swoją bandą napadł Indian, zmusił do ucieczki i zabrał z sobą ich więźniów. Dodał również, że oprócz Algy'ego i Gingera był tam jeszcze trzeci biały człowiek.

Biggles nie tracił czasu na bezcelowe dociekania, kim mógł być ten trzeci człowiek. Znadto był zajęty Algym i Gingerem. Zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób ma im pomóc.

— Ilu ludzi miał ze sobą Bogat? — spytał Dusky'ego. Dusky dwa razy zamknął i otworzył ręce.

— Dwudziestu, co? — mruknął Biggles.

Zaatakować samemu dwudziestu ludzi — Dusky nie mógł przecież wchodzić w rachubę — byłoby to zbyt ryzykowne przedsięwzięcie. W chwili zaskoczenia mógłby zastrzelić ewentualnie dwóch lub trzech, ostatecznie ratować się ucieczką, lecz Algy i Ginger odnieśli by na pewno rany w tej walce. Wiedział również, że gdyby mu się próba odsieczki nie udała, szanse jego na przyszłość pogorszyłyby się znacznie; gdyby raz zdradził swą obecność, nieprzyjaciele zwiększyliby tylko ostrożność. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, postanowił czekać na dogodniejszą sposobność. Może po zapadnięciu zmroku zdarzy się lepsza okazja.

W tym momencie Dusky, który powtórnie wyszedł na drzewo, wrócił z wiadomością, że Bogat ze swoimi ludźmi i więźniami udał się w drogę przez las. Przekreśliło to od razu plany Bigglesa, który przypuszczał, że Bogat pozostanie we wsi przez jakiś czas. Atakowanie go w czasie marszu nie wchodziło oczywiście w rachubę. Wybrał zatem jedynie możliwy sposób działania: postanowił puścić Bogata przed sobą, sam zaś postępował za nim w bezpiecznej odległości.

Przedstawił Dusky'emu swój plan i uzyskał jego zgodę. Odczekawszy chwilę, pozwolili wyprzedzić się Bogatowi i ruszyli za nim tą samą drogą.

Biggles nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd idą. Nie wiedział nawet, czy obrali kierunek na północ czy na południe, ponieważ zielona dżungla osłaniała ich z góry i ze wszystkich stron swą nieprzebytą gęstwiną. Nawet Dusky przez dłuższy czas nie mógł się zorientować, lecz w końcu zobaczył w jakimś miejscu, że ścieżka przecinała drogę, którą pamiętał z okresu zbierania chicle dla Tygrysa.

— Domyślam się, że Bogat prowadzi ich do wsi Tygrysa — powiedział.

— Przecież ta wieś znajduje się w górach — zauważył Biggles.

83

Dusky skinął głową.

— Tak jest. Wkrótce dojdziemy do starych ruin u podnóża schodów. Możliwe, że Bogat tam się zatrzyma, a może pójdzie w górę schodami do kwatery.

— Czy wiesz na pewno, gdzie się znajdujemy?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panie!

— Jak daleko stąd do podnóża schodów?

— Mniej więcej pół godziny drogi.

— Jeżeli znajdujemy się tak blisko, możemy się łatwo narazić na spotkanie z Indianami Bogata, zbieraczami chicle lub robotnikami.

— Dobrze pan powiedział.

— W takim razie będzie lepiej pozostać tutaj i zastanowić się nad tym, co mamy dalej robić. Ukryjmy się gdzieś i poczekajmy do zapadnięcia zmroku.

Dusky zбочzył z drogi i wkrótce znalazł ustronną kryjówkę.

Pozostali tam tak długo, dopóki światło dnia, ledwo przebijające się przez gęstą zasłonę wierzchołków drzew, nie zasnuło się mrokiem wieczoru. Nic nie widzieli i nic nie słyszeli poza głosami, których zawsze pełny jest las. Nagle pantera, czarna jak noc, przemknęła koło nich wymachując ogonem. Ujrzała ludzi, a jej żółte oczy błysnęły złowrogo, nie uczyniła jednak żadnej próby zaatakowania ich i Biggles odetchnął z ulgą, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Dusky zadrżał.

— To diabeł — szepnął zabobonnie.

— Zapomnij o tym, Dusky. Diabeł czy nie diabeł, zaręczam ci, że otrzymałby odpowiednią porcję pigułek z karabinu.

— On rzucił czary na ciebie, panie, dlatego nie mogłeś strzelać!

— Żadnych czarów nie rzucił na mnie, ręczę ci za to — odparł Biggles wesoło.

— Mnie się coś zdaje, że pan nie wierzy w czary.

— Nie, nie wierzę.

— Uważaj zatem, panie, ażebyś nie spotkał olbrzymich węży, które tu nazywają się anaconda. Wszyscy wiedzą, że one rzucają czary na ludzi. — Dusky zadrżał znowu.

— Słyszałem już tę bajkę, lecz musiałbym najpierw zobaczyć, aby w to uwierzyć.

— Jeśli pozostaniesz dłużej w dżungli, zobaczysz — szepnął Dusky z przekonaniem.

84

Biggles nie poruszał już dalej tego tematu i nie mówili nic do siebie przez jakiś czas.

— Wiesz co, panie — odezwał się Dusky po dłuższym milczeniu\_\_

myślę, że ta banda nie pracuje już tutaj w dole. Pamiętasz, co mówiłem o ludziach zatrudnionych u podnóża schodów?

— Z czego wnosisz, że stąd poszli?

- Ponieważ nie słyszę ich głosów. A ludzie Bogata na pewno ćwiczą ich batami.
- W jaki sposób będziemy mogli to sprawdzić? Czy mam zrobić wywiad?
- O nie, panie, nie ty — odparł szybko Dusky. — Ja pójdę. ja nje uczynię żadnego hałasu. Wybadam, co się tam dzieje.
- Jesteś pewny, że odzujesz mnie z powrotem?
- Oczywiście, panie. Tuż przed nami znajduje się obszerna sawanna. Pójdę tędy.
- Dobrze — zgodził się Biggles dość niechętnie i Dusky zniknął w mrokach dziewiczej puszczy.

Minęła godzina, tak przynajmniej zdawało się Bigglesowi. Zaczął się już niepokoić, ponieważ ściemniało się zupełnie, a nie był wcale pewny, czy Dusky, pomimo swych zapewnień, będzie w stanie go znaleźć.

Kiedy czas mijał, a Dusky nie dawał znaku życia o sobie, Bigglesa opanował poważny niepokój. Wstał i zagwizdał z cicha, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Coś przesunęło się obok niego po ziemi, ale nie mógł dojrzeć, co to było.

Wpatrując się w stronę, w którą udał się Dusky, zauważył Biggles niesamowitą, błękitną poświatę i postąpiwszy parę kroków naprzód, odkrył wkrótce jej źródło. Wrażenie to sprawiał blask księżycy przebijający się przez delikatne opary, które zawisły nad polaną. Prawdopodobnie była to sawanna, o której wspominał Dusky. Miał już wrócić na umówione miejsce spotkania, gdy naraz zauważył ruch na skraju błękitnej mgły. Szła tędy jakaś istota ludzka, jak zdołał wywnioskować z kształtów. Doszedłszy szybko, lecz z zachowaniem wszelkich ostrożności do skraju polany ujrzał — tak jak się tego spodziewał

—

Dusky'ego, lecz nie mógł zrozumieć jego zachowania. Wykonywał jakieś dziwne ruchy. Z wyciągniętymi przed siebie rękami i głową odrzuconą w tył, posuwał się przez sawannę wolno, krok za krokiem ku środkowi polany, podobny do człowieka idącego we śnie.

85

Kiedy Biggles obserwował tę tajemniczą scenę, poczuł dziwny zapach jakiejś stęchlizny, z którym się już kiedyś spotkał, nie pamiętał tylko gdzie i kiedy. Równocześnie opanowało go uczucie groźnego niebezpieczeństwa tak silne, jakiego nie doznał nigdy przedtem. Czuł, że każdy nerw w nim drga, a pot kroplisty oblewa czoło. Było to coś zupełnie nowego i irytowało go, ponieważ nie mógł zrozumieć przyczyny swego niepokoju. Zachowując czujność od chwili, gdy tylko poczuł groźne niebezpieczeństwo, stąpił cicho i szedł naprzód w kierunku sawanny, tak aby przeciąć drogę Dusky'emu.

Nie widział jeszcze niczego, co by potwierdzało jego obawy, lecz w miarę jak się zbliżał, ogarniało go nieopisane wprost przerażenie. Jedynym szczegółem, który zauważył poza otaczającą go roślinnością, był czarny wał wznoszący się ponad trawą; w kierunku tego wału posuwał się Dusky wolnymi krokami. Nagłe podejrzenie opanowało umysł Bigglesa. Przyśpieszył kroku, a tymczasem wał zaczął się ruszać. Z jego

środką wysunęło się coś, podniosło w górę i zatrzymało się w pewnej chwili. Była to głowa węża takiej wielkości, że Biggles stanął nieruchomy i osłupiały.

Przez chwilę patrzył jedynie jak rażony gromem, na wielką, płaską głowę, która zaczęła się kołysać wolno z jakąś groźną powagą. Wtedy Biggles zrozumiał i siły powróciły mu natychmiast.

— Dusky! — krzyknął ostro.

Lecz Dusky pozostał głuchy na wszelkie wezwania.

— Dusky! — zawołał ponownie. — Stój!

Dusky posuwał się dalej naprzód, z wyciągniętymi ramionami, jak gdyby chciał objąć przyjaciela.

Okrzyk przerażenia wydarł się z ust Bigglesa. Rzucił się naprzód. W odległości dziesięciu kroków od węża zatrzymał się i podniósłszy karabin wziął go na cel. Kroplisty pot spływał mu po twarzy. Smród panował teraz nie do opisania. Wskutek mgły cel zacierał mu się przed oczyma. Zdawał sobie sprawę, że byłoby szaleństwem strzelać na ślepo w ciało gada. Musiał trafić tylko w głowę. Podbiegł blisko do węża, wziął zdecydowanie na cel płaski łeb, który teraz zwrócił się ku niemu, i wypalił.

W głuchej ciszy lasu huk wystrzału zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Po nim rozległ się dziki krzyk Dusky'ego, który upadł prosto na twarz, oraz cała seria głuchych łomotów, jak gdyby tornado waliło największe drzewa. Wał zniknął, natomiast środek polany zajmowało teraz nie

86

kończące się długie cielsko, które z nieopisaną furią waliło i przewracało się w bujnej trawie. Uderzony przez nie Biggles wyrzucił się w pewnym momencie, lecz powstał natychmiast. Podniósłszy karabin z ziemi, który mu wypadł z ręki, chwycił za kark Dusky'ego i odciągnął go jak pusty worek na skraj lasu. Z tyłu za nimi uderzenia i głuche łomoty rozlegały się z taką samą furią. Przypomniał sobie to, co czytał kiedyś w książkach, iż anaconda, wielki wąż lasów Środkowej Ameryki rzuca się nieraz przez dwadzieścia cztery godziny, nawet jeśli pozbawi się go głowy.

Ponieważ Dusky zaczął wyć, Biggles zatrzymał się i pociągnął go do siebie.

— Siedź cicho — krzyknął rozkazująco. — Nic ci się nie stało.

— O, panie, panie, ja myślałem, że ten wąż już mnie chwycił — jęczał Dusky.

— Chodź, wyjdźmy stąd — rozkazał Biggles, który był mocno zdenerwowany, choć nie chciał tego okazać.

Dusky oglądając się trwożliwie wrócił z nim posłusznie do umówionego poprzednio miejsca spotkania.

— Kto ci kazał iść prosto na tego węża, jak gdybyś zmysły postradał? — Był równocześnie zły i zaciekawiony.

- Ja nie widziałem żadnego węża, panie — odparł Dusky słabym głosem.
- Więc w jaki sposób mogłeś wiedzieć, że on się tam znajduje?
- Nie wiem, panie. Czułem tylko, że muszę iść.
- I dlatego szedłeś prosto na niego? Co miałeś na celu? Czy chciałeś zabawić się z nim? — drwił Biggles.
- Ja musiałem iść — upierał się Dusky. — Wąż mnie wzywał i poszedłem. Mówiłem ci, że wszystkie węże rzucają czary na ludzi.
- No, ten już więcej nie będzie czarował — odparł żywo Biggles.

Wiedział, że przekonywanie tego człowieka jest zupełnie bezcelowe. Nic nie było w stanie zachwiać jego wewnętrznego przekonania, że został zaczarowany. Nawet Biggles, ku swojemu niezadowoleniu, miał niemiłe uczucie, że mimo wszystko jest trochę prawdy w tym zabobonie. Sam odczuwał jakiś niepokój, z którego nie umiał sobie zdać sprawy.

Słyszał jeszcze, jak zdychający potwór rzucał się po sawannie, lecz wiedział, że wszystkie obawy są już bezpodstawne.

- Chodź, Dusky, opanuj się — krzyknął. — Odstrzeliłem głowę

87

węża, tak, że nic ci już nie może zrobić. Spodziewam się tylko, że strzału mego nie usłyszał Bogat ani Tygrys. Czujesz się już lepiej? Dusky odetchnął głęboko.

- Tak, panie — rzekł drżącym głosem. — Już mi teraz lepiej. Ale ten wąż...
- Zapomnij o nim — przerwał mu Biggles.
- Dobrze, panie.
- Czy wracałeś wtedy?
- Tak, panie.
- Byłeś zatem u podnóża schodów? Co odkryłeś?
- To, co ci powiedziałem, panie. Oni poszli.
- Poszli? Co chcesz przez to powiedzieć?

Dusky wyjaśnił, że doszedł aż do podnóża schodów, to znaczy do tego miejsca, gdzie przed swoją ucieczką pracował wraz z innymi najemnikami wśród ruin. Prace te zostały przerwane, zatrzymano tylko jednego człowieka do pilnowania magazynu z zapasami. Człowieka tego dobrze znał Dusky. Nienawidził on swoich pracodawców. Dusky przypomniał mu się, lecz ten niczego nie wiedział poza faktem



przeniesienia wszystkich ludzi w inne miejsce, oddalone znacznie od schodów i leżące tak samo wśród ruin.

— Jeżeli on wspomniał o odległym miejscu, można przypuszczać, że udali się na sam szczyt płaskowzgórza, na którym wylądowaliśmy poprzednio — rzekł Biggles w zamyśleniu. — Jak wiemy, są tam również ruiny. Gdyby się udali do doliny, gdzie stoi dom króla, powiedziałby nam o tym z pewnością.

Dusky przytaknął.

— Musimy również tam pójść — oświadczył Biggles.

— Na pewno nas złapią — zatrwożył się Dusky.

— Nie widzę żadnej innej możliwości — ciągnął dalej Biggles. — Nie możemy tu siedzieć beczynnie. Kto wie, czy nie pozostaną tam przez długie miesiące.

— A gdyby spróbować samolotem? — poddał myśl Dusky.

— O tym nie może być mowy. Trudno przecież lądować na płaskowzgórzu tak, aby nas nie widziano i nie słyszano. Zdaje mi się, Dusky, że będziemy musieli iść pieszo. Jeśli nie chcesz, nie masz potrzeby towarzyszyć mi.

— Nie mam wprawdzie ochoty, ale pójdę — rzekł odważnie Dusky. Biggles zastanawiał się przez chwilę.

88

— Muszę ci coś powiedzieć: obawiam się, że będę zwracał uwagę w tym ubraniu. Gdybym potrafił upodobnić się do któregoś z tych robotników, mógłbym w razie zaskoczenia uchodzić za najemnika. Czy można by wy dostać parę starych niebieskich spodni takich, jak ty masz?

Dusky przypuszczał, że nie będzie z tym wiele kłopotu. Spodnie można śmiało wziąć z magazynu.

— A czy ten człowiek nie zdradzi nas?

— Ależ nie — podkreślił z naciskiem Dusky. — On lubi swoich towarzyszy i będzie zadowolony, jeżeli zabijecie Tygrysa; wtedy wszyscy będą mogli wrócić na wybrzeże. On nam pomoże, a ja ci wymaluję jagodami twarz na brązowo. Będziesz wyglądał jak niewolnik, Indianin.

Biggles zaśmiał się w ciemności.

— To dobry pomysł. Chodźmy zatem. Łatwiej będzie uniknąć zetknięcia się z nimi, jeżeli pójdziemy nocą. Ciemno, choć oko wykol.

— Pójdziemy razem, panie. Ja cię poprowadzę — rzekł Dusky. Ruszyli w drogę. Dusky świetnie znał okolicę. Panowały tam takie

ciemności, że zmuszeni byli posuwać się wolno i ostrożnie. W magazynie zastali strażnika siedzącego przy płonąącym ognisku. Nie robił żadnych przeszkód w wyszukaniu pary zniszczonych spodni — był to

zresztą jedyny strój, który Biggles włożył na siebie. Piekielny żar dżungli tak mu dokuczył, że z przyjemnością pozbył się swojego własnego ubrania, które strażnik ukrył pod stosem kamieni. Papierosy i zapalniczki przełożył do kieszeni nowych spodni. Nie wiedział tylko, co począć z karabinem, nie mógł go przecież nosić bez zwrócenia uwagi. Postanowił jednak nie rozstawać się z nim, gdyby nawet później zaszła konieczność ukrycia go gdziekolwiek. Rewolwer przypiął do pasa pod spodniami. W międzyczasie Dusky ze starym strażnikiem wzięwszy pochodnię, udali się do lasu. Szybko wrócili z naręczem czerwonych jagód, które wygotowano w żelaznym garnku. Gdy płyn wystygł, Biggles natarł nim całe swe ciało. Na szczęście nie widział siebie, w przeciwnym razie byłby zaskoczony zmianą: z białego stał się teraz koloru kawy.

Podziękowawszy strażnikowi i obiecawszy mu wolność w najbliższej przyszłości, Biggles i Dusky ruszyli uciążliwą drogą po „Drabinie Jakuba”.

Ruszyli do doliny, w której znajdowała się wieś; stąd dalej schodami w górę, aż wreszcie znaleźli się pod samym szczytem. Do świtu

89

brakowało jeszcze dwóch godzin — tak przynajmniej zdawało się Bigglesowi.

Tu skierowali się do wysokiego wąwozu. Biggles był wyczerpany do ostatnich granic. Ponieważ Dusky nie zdawał się odczuwać zmęczenia w tym samym stopniu co jego towarzysz, ofiarował się trzymać straż, aby tamten mógł się przespać. Biggles przyjął propozycję i polecił Dusky'emu, by obudził go o świcie.

Gdy nadeszła odpowiednia pora, Dusky chwycił go za ramię potrząsając nim z lekka. Dnia poprzedniego Biggles ułożył sobie plan działania i teraz wprowadzał go w czyn.

— Ty zostaniesz tutaj — rzekł do Dusky'ego. — Zaopiekujesz się sucharami i karabinem i będziesz czekał dopóty, dopóki nie wrócę. Jeżeli nie zjawię się po upływie czterdziestu ośmiu godzin, będzie to znak, że zostałem zatrzymany. Musisz wtedy dostać się do wybrzeża i zawiadomić Carruthersa o tym, co się stało. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będę tu z powrotem o wiele wcześniej. Ukryj się dobrze.

Zostawiwszy to polecenie Biggles wrócił do schodów, rozglądnął się ostrożnie dokoła i ruszył w kierunku szczytu. Posuwał się z największą ostrożnością. I dobrze zrobił, tym bardziej, że gdy znajdował się jeszcze w odległości stu stóp od szczytu, ujrzał człowieka siedzącego na skale, z karabinem przewieszonym przez ramię. Był to prawdopodobnie strażnik. Biggles stanął jak wryty. Przejście koło niego bez zwrócenia uwagi było niemożliwe. Biggles zatem wybadawszy skałę po lewej stronie i uznawszy drogę tę za najlepszą, udał się nią, a następnie poprzez zwały skał ruszył w kierunku płaskowzgórza. Idąc za okrzykami i uderzeniami bata, powtarzającymi się co jakiś czas, posuwał się dalej, aż wreszcie znalazł się w miejscu, z którego rozciągał się rozległy widok na całe płaskowzgórze.

Po prawej stronie, w odległości może stu jardów, siedział na szczycie schodów strażnik. Na razie Biggles nie interesował się tym człowiekiem. W pobliżu, nieco niżej, znajdowały się ruiny jakiegoś osiedla. Tutaj pracowała cała gromada ludzi z kilofami i łopatami; niektórzy wynosili ziemię w koszach. Było tam wszystkich razem około czterdziestu robotników; Biggles bez trudu rozpoznał Algy'ego i Gingera.

Pilnowało ich sześciu strażników stojących po dwóch. Wszyscy mieli karabiny. Jakiś olbrzym, Indianin, chodził pomiędzy robotnikami świszcząc złowrogo batem. Niedaleko od nich, w cieniu zrujnowanego domu, siedział Tygrys ze swymi dwoma białymi towarzyszami. Tuż za nim

90

stało dwóch tubylców w pstrokatych mundurach; mieli również karabiny i stanowili zapewne straż przyboczną króla. Dalej, błyszcząc w żarze porannego słońca, płaskowzgórze świeciło pustką.

Przez cały czas Biggles leżał spokojnie obserwując tę scenę w zamyśleniu. Olbrzymi, o groteskowych kształtach kaktus zwrócił jego uwagę. Gdyby się nieco przesunął w lewo — marzył Biggles — można by go użyć jako zastony, która umożliwiłaby podejście do wsi. Znalazłszy się między domami nietrudno byłoby już potem wmieszać się między robotników i w ten sposób zbliżyć do Algy'ego i Gingera. A to właściwie stanowiło główny cel wszelkich wysiłków Bigglesa. Poza tym nie miał na razie żadnego określonego planu.

Skradając się jak Indianin, zsunął się ze swojego stanowiska w dół i zaczął posuwać się w kierunku kaktusa.

■

## Rozdział XII

---

Kiedy Algy, Ginger i Eddie zostali schwytani i uprowadzeni do lasu przez Bogata, nie wiedzieli, dokąd ich wiodą, ale mogli się tego łatwo domyślić. Jakkolwiek Bogat miał swój własny plan, wydawało się prawdopodobne, że przyprowadzi ich przed oblicze Tygrysa. Trafność tych przewidywań okazała się wówczas, kiedy zatrzymali się u podnóża schodów. Po dwóch godzinach śmiertelnie zmęczeni, podrapani i pokąsani przez owady, stanęli przed Królem Puszczy, który obserwował ich z nieukrywanym zadowoleniem.

Ginger nie oczekiwał niczego innego poza wyrokiem śmierci. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo potrzebni są ludzie w krajach tropikalnych, a przede wszystkim nie wiedział, że praca białych jest wydajniejsza niż tubylców. Dlatego z uczuciem ulgi dowiedział się, że zostali przydzieleni do grupy niewolników. Algy, starszy i mający większe doświadczenie pojmował, że wyrok ten był niewiele łagodniejszy od kary śmierci; bez odpowiedniego odżywienia, ubrania i opieki lekarskiej nie będą w stanie wytrzymać długo w klimacie, który niszczył szybko nawet tubylców. Podzielał jednak optymistyczny pogląd Ginge-ra, że dopóki pozostają przy życiu, mogą mieć jakąś nadzieję, bo przecież Biggles znajdował się jeszcze na wolności. Czy dowie się w ogóle o tym, co ich spotkało — to była już inna sprawa. Uwięzieni towarzysze nie wiedzieli zupełnie, że Dusky był świadkiem napadu.

Znajdowali się w stanie zupełnego wyczerpania; otrzymali jedynie trochę chleba z kukurydzy i wodę, co starczyło zaledwie na tyle, aby nie umrzeć z głodu. Smród w budynku kamiennym, nieco lepszym od zagrody dla bydła, do którego wpędzono ich wraz z innymi niewolnikami, Indianami i Metysami, przyprawiał Gingera o mdłości. Zdawał

Pomimo szalonego zmęczenia, nie było mowy o spaniu; przykucnęli jedynie w kącie czekając, aż się rozwidni. O świcie otworzyły się drzwi i wszedł jakiś człowiek, który trzymał w ręku ciężki bat; za nim stało sześciu ludzi uzbrojonych w karabiny. Obrzydliwe jedzenie, przypominające pomyje, wiano do dużego koryta. Niewolnicy rzucili się na nie jak zwierzęta; jedli łapczywie rękami chwytając brudną ciecz w stulone dłonie. Trzej biali nie brali żadnego udziału w tej scenie.

Na spożycie posiłku dano im tylko parę minut, po czym ustawiono ich rzędem i poprowadzono wzdłuż zagrody, gdzie dostali kilofy i łopaty. W ten sposób uzbrojeni udali się na drogę, która prawdopodobnie była dawniej główną ulicą wsi. Zobaczyli, że jest tam już wykopany płytki rów. Dozorca grupy świsnął batem i niewolnicy zaczęli pracować nad pogłębianiem i rozszerzaniem rowu.

— Jak myślisz, jaki jest cel tej roboty? — spytał Ginger schodząc do rowu za Algym.

— Prawdopodobnie zakładamy telefon — odparł Algy z sarkazmem.

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiał się Ginger. — To bardzo zabawne. Dozorca zbliżył się wywijając batem.

— Nie rozmawiać — syknął.

Ginger wbił kilof w spaloną od słońca ziemię, po czym pracowali przez chwilę w spokoju.

— Tygrys nadchodzi — odezwał się szeptem Algy.

— Przyjdzie taki dzień, że będę darł z niego pasy—zgrzytnął Eddie. Ginger pracował dalej. Nie było innej rady, nie chciał bowiem

poczuć bata na swoich plecach.

W kilka minut później, kiedy się podniósł, aby otrzeć pot z czoła, zwrócił uwagę na jeden szczegół. Zorientował się już po charakterze podłoża, składającego się w większej części z połamanych płyt kamiennych, że rów przecinał fundamenty jakiegoś wielkiego budynku. Sterczało tu jeszcze parę kolumn, które podtrzymywały dawniej sklepienie; jedna z nich znajdowała się po prawej stronie w odległości kilku kroków. Wzrok Gingera spoczął na niej bez specjalnego zainteresowania. Po chwili jednak uderzyły go dwa znaki: oczy jego rozbłyły, kiedy się przekonał, że są to podwójne inicjały, z których jeden umieszczony jest nad drugim. Inicjały znajdujące się niżej, prawie zupełnie zatarte ręką

93

czasu, można było jeszcze z trudnością odczytać. Były to litery E. C. a obok data 1860. Nie miał potrzeby badać dokładnie daty inicjałów wrytych powyżej, aby się przekonać, że są one stosunkowo świeże. Widniał tu znak L. R. i rok 1937. Podejrzanie, niejasne jeszcze zaczęło świtać w umyśle Gingera. Rzucił szybko wzrokiem na dozorcę, aby się upewnić, że nie zwraca na nich uwagi, a następnie pochylił się naprzód i stwierdził, że się nie omylił. Podczas czytania oparł rękę na brzegu płyty kamiennej tak, że cały ciężar spoczął na niej. W tym momencie płyta zaczęła się obracać, jak gdyby była osadzona na osi, on zaś upadł w tył wydawszy okrzyk przestrawienia, bo doznał przykrego uczucia, że wpada do studni. Gdy po raz

drugi rozejrzał się dokoła, ujrzał, że dozorca idzie w jego kierunku. Zabrał się natychmiast do pracy, chociaż mu zabrakło tchu z wielkiego przejęcia.

Bat świsnął w powietrzu, nie dotknął go jednak. Było to ostrzeżenie. Ginger przeczekał chwilę, aż się dozorca oddali. Wtedy szepnął do Algy'ego, który pracował przed nim:

— Algy, pamiętasz, jak Biggles mówił nam o skarbie, który odkrył podobno w tej okolicy niejaki Carmichael?

— Tak.

— Jak mu było na imię, nie pamiętasz?

— Nie, a dlaczego o to pytasz?

— A pamiętasz datę odkrycia?

— Tak, 1860.

— Tutaj zatem doszedł Carmichael. Właśnie ujrzałem jego znak. Pracuj dalej nie rozglądając się dokoła.

Ginger zaczął teraz mówić do Eddiego, który stał za nim.

— Eddie, wspominałeś, że przybyłeś tutaj w poszukiwaniu skarbu?

— Oczywiście.

— Zdaje mi się, że mieliście mapę?

— Tak jest.

— Kto ją rysował?

— Niejaki Roberts — Leon Roberts.

— Czy była na niej data?

— Naturalnie. 1937 rok. O co ci chodzi? Podejrzewasz może, że natrafiliśmy na ślad skarbu?

— Jestem tego najzupełniej pewien. — Widzisz ten arkusz papieru, który ogląda Tygrys? Czy jest on podobny do twojej mapy?

— Prawie taki sam.

94

— Zatem szukamy skarbu. Kopiemy rów wzdłuż przestrzeni, na której prawdopodobnie znajduje się skarb.

W tym momencie dalsza rozmowa, ku wielkiemu niezadowoleniu Gingera, została przerwana przez Indianina, który wskoczył do rowu i stanął między nim a Eddiem.

— Ty, wynoś się stąd — burknął Ginger spodziewając się, że go obcy przybysz zrozumie.

— Kopcie dalej — odezwał się cichy głos.

Ginger poruszył się tak gwałtownie, że mu omal kilof nie wypadł z ręki. Musiał opanować nerwy, bo wiedział już, że słuch go nie myli: to był głos Bigglesa.

— Kop dalej — powtórzył Biggles. — Nie rozglądaj się. Powiedz Algy'emu, że jestem tutaj.

Ginger, zupełnie jeszcze oszołomiony, podał nieprawdopodobną wiadomość Algy'emu. Pracował dalej starając się zachować spokój i obserwował strażę.

Wybrawszy odpowiedni moment, Algy odważył się spojrzeć na Bigglesa.

— Jak się tu dostałeś? — szepnął.

— Mniejsza o to, dość, że jestem. Słyszałem, że mówiliście coś o skarbie?

— Tak. Sądzę, że teraz go właśnie szukamy.

— Z czego to wnosisz?

— Popatrz na tę kolumnę po prawej stronie. Są na niej inicjały Carmichaela i rok 1860. Tamte umieszczone powyżej pochodzą od człowieka, który wykonał mapę, a mapa ta sprowadziła tutaj Eddiego. Eddie stoi za tobą. On należy do grupy zagubionych Amerykanów, o których nam wspominał Carruthers. Towarzysze porzucili go w lesie, są to ci dwaj biali, którzy siedzą z Tygrysem. Jego schwytali Indianie, a Bogat uprowadził nas wszystkich. Czy będziesz mógł nas wydostać z tej pułapki?

— Po to właśnie przyszedłem.

— Zatem przez szacunek dla Carmichaela wymyśl coś mądrego.

— Nie spieszcie się tak — mówił cicho Biggles udając, że jest bardzo zajęty. Myślę przecież nad tym. Pracujcie dalej, jak gdyby nic się nie stało.

— W jaki sposób dowiedziałeś się, że jesteśmy tutaj?

— Znalazłem Dusky'ego, który was śledził. On czeka na nas

95

w wąwozie koło schodów. Nie mówcie już ani słowa więcej, aby nie wzbudzić podejrzeń tego olbrzyma z batem.

Umilkli. Słysząc było jedynie uderzenia kilofów, szuranie łopat, pomruki niewolników i trzaski bata.

Biggles obmyślał sprawę ucieczki, obserwując całe otoczenie. Postanowił działać błyskawicznie. Nie było najmniejszego sensu zwlekać; położenie ich nie mogło ulec zmianie przed zachodem słońca, a nie miał wcale zamiaru spędzać nocy pod kluczem, jeżeli mógł tego uniknąć. Obawiał się, że wieczorem może być apel, a wtedy wykrzykie obcego człowieka było nieuchronne.

Kazał Algy'emu, Gingerowi i Eddiemu podejść bliżej, aby mógł do nich mówić bez podnoszenia głosu. Nie miał wprawdzie dokładnych informacji o Eddiem, poza tym, co mu powiedział Ginger, lecz było jasne, że jest on również więźniem, podobnie jak i tamci, i tak samo będzie się starał uciec.

— Słuchajcie — rzekł. — Będziemy musieli ich zaatakować. Widzę, że nie ma innego wyjścia. Mamy dwóch doskonałych sprzymierzeńców. Pierwszy — to zaskoczenie; straż jest tak pewna siebie, że nie spodziewa się napadu. Drugim sprzymierzeńcem jest mój rewolwer. Obawiam się, że będę musiał go użyć. Nie mam czasu na zabawę. Teraz wam wytłumaczę, co mam zamiar zrobić i czego żądam od was.

Przerwał na chwilę udając, że wybiera ziemię z dna rowu, przechodził bowiem dozorca. Skoro odszedł, Biggles ciągnął dalej:

— W chwili, kiedy tych dwóch najbliższych strażników dojdzie do nas, wyskoczę z rowu, zagrozę rewolwerem i rozkażę im rzucić karabiny. Jeżeli nie posłuchają, strzelę do nich. Wy zaś chwycicie karabiny i zaatakujecie pozostałych strażników. Zachowajcie zimną krew. Strzelajcie celnie. W ten sposób unieszkodlimy czterech, zanim reszta zorientuje się, co się stało. O ile ich znam, rozbiegną się, gdy tylko rozlegną się strzały.

— A co będzie z Tygrysem? — spytał Ginger.

— Na razie nie myślmymy o nim. Mając broń przebijemy się do „Drabiny Jakuba”. Jeżeli tylko potrafimy dostać się tam, reszta pójdzie łatwo. Czy wszystko jest jasne i zrozumiałe?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— Zatem uważajcie — szepnął Biggles z przejęciem. — Strażnicy idą już. Pamiętajcie, że najważniejszą rzeczą jest szybkie działanie.

Zbliżało się dwóch Metysów, których właśnie wskazał. Szli powoli

96

— wlekli się prawie. W ustach mieli niedbale skręcone papierosy. Jeden trzymał karabin pod pachą, drugi włókł go po ziemi. Z ich spokojnego zachowania można było wnioskować, że nie liczą się z żadną niespodzianką. Szli wolno; paląc papierosy i rozmawiając rzucali od czasu do czasu przelotne spojrzenia na robotników. Biggles, który stał w rowie, schylił się jeszcze niżej, chwycił rewolwer i z palcem na cynglu czekał, aż się przybliżą. Wtedy wyskoczył nagłym ruchem i stanął wprost przed nimi z rewolwerem w ręku.

— Rzućcie te karabiny! — rozkazał.



Strażnicy osłupieli. Zachowanie się ich było po prostu komiczne: najpierw spojrzeli na Bigglesa, potem na rewolwer, a potem znowu na niego. Na twarzach ich odmalowało się najpierw zdumienie, potem przerażenie. Nie odezwali się ani słowem. Jeden z nich rzucił karabin, a raczej zdawało się, że broń wypadła mu z drżących rąk. Drugi wykonał szybki ruch, jak gdyby zamierzał strzelać. Biggles nie czekał dłużej. Rewolwer wypalił, a kula utkwiała w ramieniu przeciwnika. Tamten wypuścił karabin z ręki i uciekał z wrzaskiem. Cała ta akcja nie trwała dłużej niż trzy sekundy. Następnie Algy z Gingerem wykonali dane im poprzednio rozkazy. W jednej chwili podnieśli karabiny z ziemi i zaczęli strzelać do dwóch następnych strażników. Jeden zatoczył się i przewrócił. Drugi usiłował wskoczyć do rowu, lecz potknął się i upadł, zanim zdążył tam dobiec, a karabin wyleciał mu z ręki.

— Chodźmy — rzucił krótko Biggles i pobiegł naprzód. Ledwo czterej biali zdobyli drugą parę karabinów, przeciwnicy

z Tygrysem na czele zorientowali się już w sytuacji. Ciszę powietrza rozdarła nieopisana wrzawa, jak szum fal rozbijających się o skały. Strzały rozlegały się ze wszystkich stron. Niektóre padały blisko nich, lecz nie trafiły nikogo.

Kiedy Eddie podniósł dwa karabiny i rozejrzał się dokoła, przekonał się, że sytuacja niewiele się zmieniła. Dwaj pozostali strażnicy przebiegli w pewnej odległości, następnie ukrywając się dali ognia. Tygrys natomiast strzelał z rewolweru, wydając równocześnie rozkazy, a wrzask, jaki czynił przy tym, miał dodawać odwagi jego straży przybocznej i zmusić jego ludzi, aby celowali lepiej. Oni zaś strzelali do przeciwników z nerwowym pośpiechem, ale strzały ich nie były celne. Dwaj biali mieli także rewolwery, lecz z powodu zbyt dużej odległości chybiali często.

— Dalej — rzekł żywo Biggles. — Walcie w nich.

Cztery karabiny dały ognia w kierunku grupy Tygrysa. Jeden

7 Skarb w dżungli

97

ze straży przybocznej padł, a reszta ukryła się i zniknęła za domem.

— Biegnijcie w kierunku schodów — rozkazał Biggles. — Ja będę was osłaniał.

Ukląkł i zaczął ostrzeliwać budynek, w którym schronił się Tygrys ze swoją grupą, gdy tymczasem towarzysze ruszyli biegiem pod osłoną jego ognia do „Drabiny Jakuba”.

Do tej pory wykonywali plan Bigglesa bez zarzutu. Wydawało się, że osiągną schody bez trudności i bez większego niebezpieczeństwa. Lecz niestety, człowiek, który pełnił straż na szczycie schodów i zniknął po pierwszych wystrzałach, powrócił teraz, ukląkł za wielkim głazem i zaczął ich ostrzeliwać.

Biggles usłyszawszy to, rozglądnął się szybko i zorientował się od razu w sytuacji. Nie zastanawiał się, dlaczego ten człowiek powrócił, zajęty był jedynie groźącym niebezpieczeństwem.

— Musimy go okrążyć — rzucił krótko towarzyszom. — Algy, choć ze mną. Pójdziemy na lewo. Wy idźcie na prawo. Zajdziemy go z boku.

Lecz zanim zdążyli wykonać ten manewr, wyrosła na ich drodze nowa przeszkoda, która z miejsca uniemożliwiła Bigglesowi przeprowadzenie planu. Zrozumiał, dlaczego strażnik powrócił. Nie był już teraz sam. Na szczycie „Drabiny Jakuba” ukazał się teraz Bogat, a za nim cała zgraja uzbrojonych mężczyzn. Ogarnęli szybko sytuację, rozbiegli się i ukrywając za skałami zablokowali dojście do schodów.

Biggles domyślił się teraz, że Bogat musiał przez cały czas iść ze swoją bandą schodami w górę. Nie wiedział o tym. Była to jedna z tych nieoczekiwanych przeszkód, które mogą zniweczyć każdy najlepiej ułożony plan. Posuwanie się naprzód wobec takiej liczby uzbrojonych ludzi było oczywiście beznadziejne. W tych warunkach dał jedyny rozsądny rozkaz odwrotu.

— Wrócić do wsi! — krzyknął. — Schronimy się w jednym z budynków i tam obmyślimy dalszy plan. Trzymajcie się razem. Nie marnujcie amunicji. A teraz biegiem. Skacząc między głazami, ponieważ kule gwizdały coraz częściej, wycofali się szybko do budynków. Na szczęście nie było do nich daleko. Biggles wybrał grupę domów z kamienia w pobliżu miejsca, gdzie pracowali jeszcze przed paru minutami.

— To będzie doskonałe dla nas — zdecydował i wszedł przez drzwi do środka, a za nim weszli towarzysze.

98

— Nikt nie jest zraniony? — spytał.

Eddie miał tylko lekką ranę na przedramieniu. Zabandażował ją paskiem oderwanym od koszuli.

— Przykro mi, chłopcy — tłumaczył się Biggles. Było to zupełnie niespodziewane. Nie mieliśmy szczęścia, wybierając chwilę, kiedy Bogat ze swoimi ludźmi wychodził właśnie na schody. Nic o tym nie wiedziałem, nie będąc w stanie zobaczyć tego poprzez skały. W każdym razie musimy go teraz trzymać w szachu, a przynajmniej będziemy to czynili tak długo, dopóki nie ułożymy nowego planu. Obserwujcie sytuację przez okna, lecz sami nie pokazujcie się! Oh, jakżeż tu gorąco!

Eddie wytarł rękawem czoło.

— Niemożliwy upał.

## Rozdział XIII

### Dziwne wydarzenia

Przez jakiś czas bacznie rozglądali się dokoła, lecz nigdzie nie było ani Tygrysa, ani jego współników. Szmer głosów wskazywał, że robotnicy zostali zapędzeni z powrotem do zagrody.

— Ciekaw jestem, co się tam dzieje — odezwał się w końcu Ginger.

— Pewnie Tygrys wiedząc, że znajdujemy się na płaskowzgórzu, postawił silną straż na szczycie schodów — odparł Biggles. — Przypuszcza, że jesteśmy w pułapce i wystarczy zamknąć ją tylko, aby nas schwytać. Dlaczego miałby się spieszyć? Rozumie doskonale, że nie możemy pozostać tutaj w nieskończoność bez żywności i wody. Niewątpliwie obserwuje to miejsce. Poza tym nie orientuje się dokładnie, w którym budynku znajdujemy się obecnie i chyba nie będzie nas szukał wiedząc, że może dostać się pod ostrzał.

— Czy wyszedłeś schodami do końca? — spytał Ginger.

— Nie całkiem — odparł Biggles. — Byłem już na szczycie, lecz gdy ujrzałem strażnika, zboczyłem z drogi i zeszedłem w dół do stoku — tuż obok kaktusów.

— Czy nie moglibyśmy się wydostać tą drogą? Biggles myślał przez chwilę.

— Nie jest wykluczone, że uda się przejść, jeżeli oczywiście nie natrafimy na straż, ale nie sądzę, żeby Tygrys był takim głupcem i — jak to się mówi — zamykał drzwi frontowe zapominając o tylnych. Ja musiałem wybrać tę drogę, którą dostali się Indianie wtedy, gdy nas ścigali po ucieczce z zagrody pantery. Jedno jest pewne: próba ucieczki stąd za dnia byłaby szaleństwem. Poczekamy, aż się ściemni.

Czas dłużył im się bez końca. Słońce zachodziło rzucając ogniste

100

blaski. Na płaskowzgórzu panowała cisza. Słychać było jedynie monotonne brzęczenie owadów.

W pewnej chwili Ginger przypomniał sobie o obracającej się płycie kamiennej, która widział z odległości zaledwie paru kroków, gdy stał na straży przy oknie. Podczas zamieszania, powstałego po przybyciu Bigglesa, zapomniał zupełnie o tym.

— Słuchaj Biggles — rzekł. — Przyszło mi właśnie coś na myśl. — I w krótkich słowach opowiedział swym towarzyszom o tajemniczym odkryciu.

— To wygląda interesująco — oświadczył Biggles.

— Sądzi pan, że może tam znajdować się skarb? — wtrącił Eddie. Biggles dowiedział się w międzyczasie, kim jest Eddie i w jaki sposób

dostał się do nich.

— Możliwe, ale muszę przyznać, że nie myślałem o tym zupełnie — odparł Biggles. — Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli określić miejsce ukrycia skarbu, jakkolwiek w tej chwili nie sposób zająć się tą sprawą. Naszym zadaniem jest wyjść stąd jak najprędzej. Wyobrażam sobie jednak, że pod tą płytą, o której

wspomniał Ginger, musi znajdować się tunel wiodący do innej części płaskowzgórza. Może jest tam piwnica. Należałoby bezwzględnie to zbadać.

— Teraz? — spytał Ginger.

— Nie. Poczekajmy, aż się zupełnie ściemni.

— Nie musimy wszyscy tam iść — zauważył Ginger. — Ja wiem dokładnie, gdzie się to znajduje. Mógłbym zbadać, a następnie wrócić i zdać wam relację o tym, co znalazłem.

— To dobry pomysł — zgodził się Biggles.

Zapadła noc. Księżyc wprawdzie jeszcze nie wyszedł, lecz niebo było jasne, a gwiazdy dawały tyle światła, że można było zdecydować się na rekonesans.

— Obawiam się, że będziemy mieli pewne trudności w zbadaniu tej piwnicy bez światła — zaznaczył Ginger. — Nie ma zapalek. Zabrano nam przecież wszystkie nasze rzeczy.

— Ja mam kilka sztuk — rzekł Biggles przypomniawszy sobie, że włożył je wraz z papierosami do kieszeni.

— Weź je, lecz oszczędzaj i nie zapalaj na powietrzu.

Ginger wziął pudełko i wyszedłszy przez otwór, który kiedyś był pewnie oknem, przemykał się chyłkiem wzdłuż muru, gdy tymczasem pozostali osłaniali jego drogę karabinami. Nie słyszał tu żadnego głosu,

101

nie dostrzegł najmniejszego śladu życia, posuwał się więc ostrożnie wzdłuż muru nastuchując, aż zbliżył się do rowu, który stanowił osłonę do końca drogi — do płyty kamiennej. Było tam kilka takich płyt podobnych do siebie; Ginger, mimo że ufał swojej orientacji, stracił parę minut, zanim odnalazł właściwą płytę. Przeżył chwilę radosnego podniecenia, gdy poczuł, że płyta ustępuje pod ciężarem jego ciała.

Kamień obracał się wolno, lecz z łatwością; gdy nacisk zmniejszał się, kamień wracał do swojego pierwotnego położenia. Ginger nie wiedział, jak postąpić. Nie miał ochoty zejść na dół nie będąc pewny, czy uda mu się wydostać z powrotem na powierzchnię. Po najdokładniejszym zbadaniu doszedł do przekonania, że płyta obraca się na osi; jak na prymitywne urządzenie, był to okaz niezwykle precyzyjnej roboty. Przed wejściem do otworu Ginger zabezpieczył sobie powrót, założywszy po prostu kawałek kamienia, aby płyta nie zamknęła się całkowicie, po czym w najwyższym podnieceniu schylił się i zaczął badać wewnątrz rękami. Nie zdziwił się zbytnio, gdy natrafił na stopień, który zrobiony był również z kamienia.

Jeżeli jest jeden — rozumował — musi ich być więcej. I w tym wypadku miał rację. Dopiero kiedy zeszedł niżej, odważył się zaświecić zapalstkę. Wstrzymał oddech. Za chwilę pewnie ujrzy dziwy... Był przygotowany na wszystko.

Na pierwszy rzut oka doznał pewnego rozczarowania. Szereg dobrze wykutych stopni prowadziło w dół do sali tak obszernej, że Ginger nie mógł dojrzec jej końca. Nie miała żadnego umeblowania. Ściany były zupełnie nagie. Zeszedł schodami w dół i zapalił drugą zapałkę.

To, co ujrzał teraz, potwierdziło jego pierwsze wrażenie. Znajdował się w długiej sali, której ściany, podłoga i sufit były z kamienia. W jednym końcu, najbardziej oddalonym od wejścia, dostrzegł wzniesienie, na którym stał posąg jakiegoś bożka, wykuty z kamienia. Ginger zbliżył się i przy świetle trzeciej zapałki zaczął mu się przyglądać. Posąg zrobił na nim takie wrażenie, że nie mógł się z niego otrząsnąć. Kto wie, ile stuleci, a może tysiącleci stał tu w tym miejscu patrząc w ciemność. Zaświecił jeszcze jedną zapałkę, lecz nie znalazł już niczego godnego uwagi. Nie było żadnych drzwi ani przejścia, które by prowadziło do innej sali. Jeżeli skarb znajdował się tu kiedyś, musiał być już ktoś przed nimi. Na pewno już go teraz nie ma, są jednak dane świadczące o tym, że był do roku 1937. W przeciwnym razie Roberts nie byłby wyrył swoich inicjałów na kolumnie.

102

Rozczarowany do najwyższego stopnia i zniechęcony całym przedsięwzięciem, wyszedł Ginger po omacku w górę, skąd z zachowaniem ostrożności powrócił do budynku i opowiedział o wynikach poszukiwań.

— Jest w tym coś dziwnego — oświadczył Biggles. — Carmichael musiał widzieć skarb, chyba że był kłamcą pierwszej klasy. Tak samo wygląda sprawa Roberta. Co stało się więc ze skarbem? Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby ktoś mógł dostać się na płaskowzgórze bez wiedzy Tygrysa, chyba że poszukiwacze skarbu, jak i my, przybyli tu drogą powietrzną. Inaczej musieliby wejść po „Drabinie Jakuba”. Jasne, że Tygrys nie znalazł skarbu, bo przecież nie szukałby dalej. Ponieważ to robi, znaczy, że sprawa nie jest jeszcze całkowicie załatwiona.

— Chwileczkę — wtrącił Eddie. — Był jeszcze dopisek w rogu mapy. Sądzę, że to Roberts go umieścił.

— Co się stało z tym Robertsem? — spytał Biggles z zaciekawieniem. — Dlaczego pozbył się mapy? Dlaczego nie zabrał skarbu?

— Tragarze indiańscy opuścili go. Próbowali go nawet otruć.

— A nie mógł sam zabrać tych rzeczy?

— Zrobił to, ale stracił dużo czasu.

— A dlaczego nie wrócił już potem?

— Umarł.

— W jaki sposób pańscy wspólnicy weszli w posiadanie mapy?

— Kupili ją od wdowy po Robertsie. Tak przynajmniej mówili.

— A ten dopisek, o którym pan wspomina?

— To były wskazówki. Nie pamiętam dokładnie tego wszystkiego, lecz była tam mowa, zdaje się, o obracającym się kamieniu, prawdopodobnie tym, który został odkryty przez Gingera.

— Czy Roberts naprawdę widział skarb?

— Tak. Przywiózł do domu złoty kubek.

— A pan, czy go widział?

— Nie. Żona Roberta sprzedała kubek po jego śmierci.

— Hm! — Biggles milczał chwilę. — Chciałbym zobaczyć to miejsce — oświadczył.

— Ja również — dodał Eddie.

— Zatem chodźmy — zaproponował Biggles. — Nie będziemy w gorszej sytuacji niż jesteśmy, a nowe miejsce może nawet okazać się znacznie lepszą kryjówką. Gdyby udało nam się zdobyć trochę jedzenia

103

i wody, moglibyśmy pozostać tutaj przez cały tydzień — o ile by oczywiście zaszła konieczność. Tygrys sądziłby wtedy, że wydostaliśmy się w jakiś sposób z płaskowzgórza. Chodźmy. Możemy zawsze wrócić, jeżeli nam się nie spodoba. Nie róbcie hałasu. Będziemy przechodzić pojedynczo. W razie niebezpieczeństwa zbierzemy się tutaj. Ginger, ty znasz drogę, idź pierwszy.

Ginger stosując tę samą taktykę co uprzednio, zawrócił do podziemnego pokoju. Towarzysze udali się za nim, na końcu szedł Biggles jako tylna straż. Dokoła panowała cisza — podejrzana cisza, jak twierdził Biggles.

Przed zejściem w dół Biggles nazbierał trochę chrustu i suchej trawy, następnie, rzuciwszy na ostatek wzrokiem dokoła, poszedł za towarzyszami i wolno zasunął płytę na miejsce. Skoro tylko znalazł się w środku, zwinął całą trawę i zapalił ją. Trawa zapłonęła jasnym ogniem, tak że wszystko można było widzieć. Niewiele jednak ciekawego znaleźli. Milcząc obserwowali wnętrze, gdy płomień oświetlał salę. Biggles miał jeszcze trochę trawy, lecz dalsze palenie uważał za bezcelowe, trzymał ją więc w rezerwie.

— No, tak, tak się to przedstawia — mruknął siadając na najbliższym stopniu. — Czy zauważyliście coś interesującego lub godnego zbadania?

Odpowiedź była przecząca.

— To bardzo dziwna historia — dodał. — Nie mogę do tej pory zrozumieć, co się stało ze skarbem.

— Chciałbym mieć tę mapę — rzekł Eddie. — Pewnie było coś, o czym zapomniałem. Jeżeli Tygrys znajdzie to miejsce, będzie wiedział, co robić.

— Nie wydaje mi się, abyśmy mogli wiele dokonać — powątpiewał Biggles.

Ginger zaczął obchodzić ściany opukując je palcami.

— Wyglądają na dość grube — zauważył.

— Bloki kamienne, z których każdy ma pół tony, muszą wydawać pełny dźwięk, nawet gdyby poza nimi znajdowała się pusta przestrzeń — zwrócił uwagę Biggles.

— I co dalej? — spytał Algy. — Nie widzę powodu dla którego mielibyśmy tu dłużej pozostać.

— A ja znowu nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wrócić do budynku — odparł Biggles. — Nie chcę was martwić, lecz przypu-

104

szczam, że niemożliwe będzie pozostać tutaj, tak samo jak i w budynku, dłużej niż jeden dzień. Moglibyśmy obejść się bez jedzenia, ale nigdy bez wody. Obawiam się, że prędzej czy później będziemy musieli zaryzykować przedarcie się przez otaczający nas kordon albo schodami, albo skałami — tą drogą, którą przybyliśmy tutaj. Pójdę teraz i zbadam sytuację, potem zdecydujemy, co robić.

— Wydaje mi się to dość niebezpieczne — rzekł z obawą Eddie. Biggles uśmiechnął się blado.

— Cokolwiek zrobimy, będzie połączone z niebezpieczeństwem. Pójdę upewnić się, czy stok jest strzeżony. W każdym razie wrócę do was. Jeżeli nie jest strzeżony, spróbujemy wydostać się tamtędy.

— Dlaczego nie mamy wszyscy iść? — zdziwił się Ginger.

— Ponieważ czterech ludzi łatwiej dostrzec niż jednego, a poza tym istnieje też mniejsza możliwość zachowania ciszy. Nie, to jest robota tylko dla jednego człowieka. Przypuszczam, że wrócę prędko. Weź ode mnie zapalniczki, Algy. Możesz ich potrzebować.

Biggles wyszedł schodami po omacku. Usiane gwiazdami niebo rzucało słabe blaski dokoła oświetlając częściowo otwór. Po chwili kamień wrócił na swoje miejsce. Zapanowała cisza. Nikt z pozostałych nie przerywał jej ani słowem. Wszyscy czekali w napięciu na pierwszy znak powrotu Bigglesa. W takich warunkach trudno jest dokładnie określić czas, lecz Gingerowi zdawało się, że od momentu wyjścia Bigglesa musiała upłynąć co najmniej godzina. Pierwszy odezwał się Ginger:

— Już długo czekamy. — W głosie jego wyczuwało się lęk.

— To samo i ja myślałem — dodał Algy.

— Jeżeli...

Nie dokończył rozpoczętego zdania. W tej chwili ogłuszająca eksplozja rozdarła ciszę. Sala zatrzęsa się. Cały deszcz odłamków spadł na płytę.

Ginger instynktownie rzucił się na ziemię będąc pewny, że wszystko dokoła się wali. Zatracił jasność myśli. To samo było z pozostałymi. Eksplozja nastąpiła tak nieoczekiwanie, że wywołała wprost ogromne wrażenie. Gdy Ginger odzyskał równowagę i stwierdził, że mu się nic nie stało, spytał zduszonym głosem:

— Jesteście cali? — Co to było, do diabła?

— Nie wiem, lecz spróbuję to wy badać — odpowiedział Algy idąc po omacku schodami w górę.

105

Upłynął dłuższy czas. Algy nie dawał odpowiedzi. Towarzysze jego słyszeli tylko, że wyprawiał tam w górze jakieś dziwne rzeczy. Zdawało im się, że stęka z wysiłku.

— Czy się coś złego stało? — spytał Eddie.

— Niestety, coś bardzo złego — usłyszeli głos w ciemności. — Albo jakieś głazy upadły na płytę, albo eksplozja zablokowała ją. Nie chce się poruszyć.

— To znaczy, że jesteśmy zamknięci? — przestraszył się Ginger.

— Nie inaczej — odparł Algy niepewnym głosem. Ginger przysiadł na kamiennej podłodze.

— To niedobrze.

— Na co narzekacie? Chcieliście przygody — rzekł chłodno Algy. — Macieja teraz. Spodziewam się, że jesteście zadowoleni. Niech mnie diabli wezmą, jeżeli mi to sprawia przyjemność.

■ . ,

## Rozdział XIV

### Biggles bierze wrogów do niewoli

Pierwszym szczegółem, jaki zauważył Biggles po opuszczeniu podziemnej sali był księżyc, wschodzący nad skrajem płaskowzgórza. Nie miał czasu na zastanawianie się, czy ta okoliczność jest dla niego korzystna, czy nie, ponieważ w chwili, gdy zaczął czołgać się w kierunku rowu zauważył, że jakiś wyraźny cień oderwał się od ściany domu, z którego właśnie przed chwilą wyszli. Nieco później dochodziły do jego uszu ciche głosy, ale nie mógł dokładnie określić, z której strony. Następnie usłyszał szybko oddalające się kroki. Był pewny, że coś się stało, lecz nie mógł się jeszcze zorientować, co to było. W obawie przed wyśledzeniem, leżał przez chwilę spokojnie, ufając, że dobry słuch ostrzeże go o niebezpieczeństwie. Ponieważ nic się nie działo, uznał, iż należy dalej prowadzić badanie terenu.

Mając oczy i uszy otwarte na grożące niebezpieczeństwo, kryjąc się w cieniu skał, ruszył w kierunku grupy skalnej poza wsią, która odcinała się ostro na tle nieba. Doszedł do pierwszych głazów bez



wypadku i zatrzymał się, aby obserwować każdy ruch, który by mógł wskazać mu rozmieszczenie straży. Czujność jego została nagrodzona, gdy zobaczył w oddali ogień jarzącego się papierosa. W ten sposób ustalił Biggles stanowisko jednego strażnika i miał już ruszyć dalej, aby go wyminąć, kiedy nagle podmuch wiatru przyniósł jakiś dziwny zapach, który uderzył jego nozdrza. I to spowodowało, że zatrzymał się natychmiast. Zapach ten wydał mu się znajomy, lecz dopiero po paru sekundach uświadomił sobie, że jest to dym palącej się saletry. Zorientowawszy się momentalnie co to znaczy, rozglądał się dokoła w nadziei, że odkryje skąd pochodzi dym. W następnej chwili słup płomieni strzelił górę; równocześnie usłyszał huk eksplozji, której wstrząs spowodował, że

107

runął jak długi na ziemię. Leżał spokojnie, zakrywając głowę rękami, podczas gdy kawały ziemi i odłamki skał padały dokoła, a powietrze napełniła ostra woń dynamitu.

Gdy tylko huk ustał, spojrzął za siebie na miejsce eksplozji i ujrzał — co było do przewidzenia — że ofiarą jej padł cały blok budynków, w których schronili się początkowo. Pozostał tylko stos gruzów. Łatwo się było domyśleć, dlaczego nieprzyjaciel to uczynił. Obawiając się natarcia frontowego, założył w jednym z tylnych budynków silny ładunek dynamitu i wysadził cały blok w powietrze.

Pierwszą reakcją Bigglesa na to zdarzenie tak nieoczekiwane była radość, że opuścili budynek, gdyż w przeciwnym razie wszyscy zostaliby zabici.

Było oczywiste, że to nieprzyjaciel spowodował wybuch, ponieważ schodzili się teraz ze wszystkich stron, śmiejąc się i rozmawiając. Strażnicy opuścili swoje posterunki i zbliżyli się do towarzyszy triumfując głośno. W kilka minut zburzone budynki zostały otoczone przez ludzi. Niektórych poznał Biggles z łatwością; widział ich z bliska, gdy pełen najgorszych przeczuć znajdował się w podziemnej sali.

Czekał, aby zobaczyć, co będą robili, od tego zależała bowiem dalsza jego akcja. Nie troszczył się zbyt o towarzyszy, jakkolwiek domyślał się, że musieli doznać silnego wstrząsu. Byli pod ziemią — a więc całkiem bezpieczni. Nie wiedział o tym, że spadające odłamki zasypały płytę wyjściową uniemożliwiając otwarcie jej od środka. Obawiał się jedynie, że Algy z Gingerem wychylą się, aby zobaczyć, co się stało i zdradzą w ten sposób tajemniczą kryjówkę. Zrobiliby tak z pewnością, gdyby wyjście nie zostało zablokowane.

Powstało teraz w jego umyśle pytanie, czy przeciwnicy rozpoczną poszukiwanie ciał pod gruzami jeszcze przed świtem. Niedługo czekał na odpowiedź. Tygrys zaczął głośno wydawać rozkazy, a tłum rozpraszał się. O ile Biggles zdołał się zorientować, Tygrys puścił swoich ludzi nie dając im żadnych dalszych wskazówek. Kilka osób, prawdopodobnie najbliższe otoczenie Tygrysa, zostało w pobliżu ruin. Gdyby nie to, Biggles byłby zaraz powrócił do swojej kryjówki. Zwlekał z tym jeszcze jakiś czas, lecz kiedy Tygrys nie okazywał zupełnie zamiaru odejścia, postanowił, że będzie to najodpowiedniejsza sposobność, która może się już więcej nie nadarzyć, aby nawiązać łączność z Duszym. Jeżeli mu się teraz nie pokaże, Dusky opuści wąż i odejdzie. Biggles postanowił zatem iść do niego, opowiedzieć mu o wszystkich wypadkach, zabrać

swój karabin i trochę sucharów a następnie, gdyby Tygrysa nie było, powrócić do kryjówki. Sądził, że będzie mógł tego dokonać przed nastaniem dnia.

Powziąwszy taką decyzję, ruszył w kierunku grupy kaktusów, aby wydostać się tą samą drogą, którą przyszedł. Nie był zupełnie pewny, czy będzie mógł ją odnaleźć wśród skał, lecz pamiętał dobrze kierunek, w którym znajdował się wąwóz i spodziewał się, że z chwilą dostania się tam, nie będzie już żadnej trudności w odszukaniu Dusky'ego.

Odnalezienie wąwozu zabrało mu sporo czasu. Nie było mu łatwo iść drogą wśród płataniny głązów, w której ciężko było się zorientować. Raz nawet zabłądził, lecz nie przejmował się tym zbytnio. Kiedy jednak znalazł to miejsce, którego szukał, Dusky'ego nie było. Zagwizdał cicho, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Zdenerwowany poszedł w stronę schodów nie oddalając się zbytnio.

Gdyby nie spostrzegł lufy karabinu, błyszczącej w blasku księżyca, byłby prawdopodobnie zginął, bo karabin był skierowany w jego stronę.

Uskoczył w bok za skały.

— Czy to ty, Dusky? — spytał ostro.

— Tak, panie to ja — odparł Dusky z westchnieniem ulgi. — Byłbym pana zastrzelił — oświadczył z rozbijającą prostotą.

— Co tu robisz?

— Kiedy usłyszałem strzelaninę, byłem pewny, że pan nie wróci i miałem już udać się do pana Carruthersa. Byłbym poszedł w dół schodami, gdyby ten łajdak król nie nadszedł.

— Król?

Dusky wyjaśnił, że parę minut przedtem miał zamiar zejść schodami w dół, kiedy nagle usłyszał zbliżające się kroki, które zdążyły również w kierunku schodów. Ukrywszy się w wąwozie, widział, a raczej zdawało mu się, że widzi Tygrysa w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy go minęli.

Biggles układał sobie, że jeżeli król opuścił miejsce eksplozji wkrótce po nim, będzie miał jeszcze dość czasu na to, aby go dopędzić. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby osiągnąć korzyść z tego nowego odkrycia. Jeżeli Dusky się nie mylił, w takim razie Tygrys prawdopodobnie udał się do swojego pałacu w towarzystwie dwóch tylko mężczyzn. Gdyby go można było ująć, byłby bardzo cennym zakładnikiem. Mając w ręku króla, podyktowałby warunki Bogatowi i jego bandzie. Pamiętał również, że Tygrys posiada mapę, oznaczającą

położenie skarbu, która z wielu względów stanowiła ważny dokument. Jeśliby zdołał ująć króla, mógłby wejść w posiadanie tej mapy. Myśl ta była niezmiernie kusząca. Bał się tylko, co zrobią towarzysze, jeśli

do nich nie wróci. Sądził jednak, że powinni sami dać sobie radę bez niego. Powziąwszy decyzję, ruszył w kierunku schodów.

— Dokąd idziesz, panie? — spytał Dusky.

— Schodzę do doliny, aby ująć króla — odparł krótko Biggles.

— Co?... Ty panie?... — wyjąkał Dusky. Potrząsnął głową z zakłopotaniem, lecz poszedł za nim posłusznie jak pies.

Upewniwszy się, że schody były opuszczone, Biggles szedł pospiesznie w dół, ponieważ czas odgrywał tu ważną rolę. Kiedy znalazł się w dolinie, rozglądnął się dokoła. Wszędzie panował spokój. Jedynym śladem życia było światło, migające w jednym z okien pałacu. Z karabinem przewieszonym przez ramię, skierował się Biggles w stronę tego światła w nadziei, że gdyby go nawet ujrzano, fakt, że jest ucharakteryzowany na Indianina, ułatwi mu działanie.

Kiedy się zbliżył do pałacu zauważył, że światło padało z oszklonych drzwi pokoju, w którym on i Ginger spotkali się z wężem Tygrysa. Nagle przed tymi drzwiami przesunął się jakiś cień i Biggles zorientował się, że stoi tam strażnik. Mimo to wszedł do ogrodu i skrył się za krzakiem. Mógł teraz dokładnie przyjrzeć się strażnikowi, który chodził z karabinem skierowanym lufą w dół. 4 Biggles oparł swój karabin o krzak i odezwał się cicho do Dusky'ego:

— Musimy usunąć tego człowieka z drogi. Czy potrafisz w jakiś sposób ściągnąć go tutaj?

Dusky podrapał się w głowę.

— Nie wiem, panie, ale spróbuję. — Zagwizdał z cicha. Strażnik, który chodził tam i z powrotem, zatrzymał się nagle.

— Kto tam jest? — zawołał.

Biggles trącił Dusky'ego, który zagwizdał powtórnie.

Strażnik wiedziony ciekawością zaczął zbliżać się wolno w ich stronę. Dusky wyszedł z ukrycia, aby go można było lepiej zobaczyć. Strażnik przystanął, później postąpił parę kroków naprzód z karabinem gotowym do strzału.

— Przyniosłem wiadomość — powiedział Dusky.

— Dla kogo?

— Dla ciebie.

Strażnik widząc, że ma przed sobą tubylca, nabrał większego

zauwania. Minął Bigglesa i zbliżył się do Dusky'ego, aby mu spojrzeć w twarz. Biggles czekał tylko na ten moment. Uderzył go kolbą rewolweru w głowę, tak że strażnik upadł z jękiem pod nogi Dusky'ego. Podniósł z ziemi jego karabin i wręczył go Dusky'emu.

— Zostań tu i pilnuj go — rozkazał, sam zaś podchodząc z największą ostrożnością do budynku ujrzał to, czego poprzednio nie mógł zauważyć. Drzwi oszklone były otwarte, prawdopodobnie z powodu gorąca.

Cicho, nie tracąc czasu, z karabinem w ręku Biggles posuwał się naprzód, aż zobaczył wnętrze pokoju. Siedziało tam przy stole dwóch mężczyzn, a obok nich stała flaszką z jakimś trunkiem. Jednym z tych mężczyzn był Bogat, a drugim — Chorro.

Pierwszym wrażeniem Bigglesa było zdumienie, drugim rozczarowanie, a potem sądził, że go oczy mylą. Gdzie znajdował się Tygrys? Bogat miał jeszcze kapelusz na głowie, jak gdyby dopiero co wrócił. Czyżby Dusky się pomylił?

Gdy Biggles zastanawiał się nad tym, Bogat odezwał się pierwszy; słowa jego wyjaśniły całą sytuację:

— Nie, król jest zajęty na górze. Kiedy usłyszał o twoim przybyciu, posłał mnie na dół abym się dowiedział, co cię tu sprowadza. Jeśli to jest coś ważnego i chciałbyś go koniecznie zobaczyć, zaprowadzę cię na górę.

W tej chwili Biggles zrozumiał wszystko. Dusky pomylił się w ciemności. Człowiekiem, którego widział schodzącego w dół, nie był Tygrys, lecz Bogat. Chorro przybył z wiadomościami a Tygrys wysłał Bogata, aby się z nim spotkał.

Biggles ogarnęła złość, gdyż rozumiał teraz, że nie powinien był schodzić do doliny. Skoro jednak znalazł się już tutaj, a ci dwaj mężczyźni byli zdani wyłącznie na jego łaskę i niełaskę, uznał że szkoda byłoby zmarnować taką okazję. Nie mógł nawet bardzo ostro ganić Dusky'ego za jego pomyłkę; działał bowiem w najlepszej wierze. Zmieniona sytuacja wymagała teraz jednak innego planu działania.

Biggles cofnął się nieco i ukrył w ciemności, aby przemyśleć całą sprawę. Ujęcie dwóch głównych współników Tygrysa nie przedstawiało żadnych trudności, ale co miał z nimi zrobić? Doszedł wkrótce do przekonania, że najlepiej będzie odprowadzić ich na wybrzeże. W ten sposób zostawi swoich przyjaciół samych dłużej, niż początkowo zamierzał. Gdyby jednak wrócił teraz do nich na górę, nie mógłby im

111

w żaden sposób pomóc. Natomiast jeśli poleci na wybrzeże i wytłumaczy wszystko Carruthersowi, gubernator da mu prawdopodobnie trochę ludzi do pomocy. Może uda mu się powrócić z odsieczką nawet już następnego dnia.

Tak rozumował Biggles stojąc w cieniu pałacu. Rozwagał ten problem po raz trzeci w ciągu kilku godzin. Nieoczekiwane wypadki, następujące jedne po drugich, udaremniły jego pierwotny plan działania. Zdawał sobie jednak sprawę, że unieszkodliwiając Bogata i Chorra przez odprowadzenie ich na wybrzeże,

uczyni pierwszy krok naprzód w celu zniszczenia bandy Tygrysa. Nie wahał się więc dłużej i powziął nieodwołalną decyzję. Z karabinem gotowym do strzału wszedł do pokoju.

— Dobry wieczór, panowie — powiedział łagodnie. — Zachowujcie się spokojnie. Ostrzegam, że w razie najmniejszego hałasu, będę zmuszony użyć waszych własnych metod, aby was poskromić. Ręce na stół!

Dwaj mężczyźni ostupieli. Nie poruszyli się nawet. Nie odezwali się również ani słowem. Tę dziwną ich uległość należy tłumaczyć nagłym wstrząsem i zaskoczeniem. Patrzyli z przerażeniem na Bigglesa, on zaś podszedł do nich z tyłu i każdemu odebrał broń.

— Teraz pójdziemy na przechadzkę. Chodźcie. Ja idę z wami. Kiedy doszli do miejsca, gdzie czekał Dusky, Biggles dał mu karabin

Bogata i rozkazał iść przez las drogą prowadzącą do „Wędrowca”.

Księżyc świecił teraz jasno/lecz po tylu emocjonujących przejściach, Biggles stracił dokładną miarę czasu. Zależało mu na tym, aby dostać się do podnóża schodów przed świtem, ponieważ o tej porze było mało prawdopodobne, że spotkają kogoś na drodze.

Okazało się jednak, że jest wcześniej niż Biggles przypuszczał tak, iż uznał za konieczne poczekać jakiś czas u podnóża schodów. Nie chciał ryzykować ucieczki dwóch niebezpiecznych więźniów, którą mógłby ułatwić mrok puszczy, nie rozjaśnionej nawet światłem księżyca. Skoro się tylko rozwidniło dostatecznie, dał rozkaz do dalszej drogi; Dusky prowadził a on zamykał pochód. Do tej pory obaj więźniowie zachowywali się biernie. Biggles był jednak pewny, że przynajmniej Bogat będzie usiłował zbiec licząc na to, że las schroni go przed pościgiem. Jeszcze raz powtórzył więźniom swoje ostrzeżenie. Postępowali naprzód w milczeniu. Był już dzień, kiedy doszli do rzeki.

Przez cały czas drogi Biggles miał tę przewagę nad więźniami, że

112

wiedział, dokąd idą, oni zaś nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. Spodziewali się niewątpliwie, że zaraz będzie postój, a wtedy sposobność do ucieczki w dżunglę nadarzy się sama. Lecz skoro oczom ich ukazał się samolot, widoczny z małej odległości pomimo zamaskowania, zachowanie obu więźniów zmieniło się. Prawdopodobnie musieli sobie uprzytomnić, że nie mają ani minuty do stracenia — chyba tylko jakimś cudem sytuacja mogłaby się zmienić na ich korzyść. Z chwilą kiedy raz znajdą się w maszynie, a potem w powietrzu, nie będzie mowy o ucieczce.

Ani przez sekundę nie zmniejszył Biggles swej czujności. Wiedział, że moment jest decydujący. Był przygotowany na każdą niespodziankę, ale nie przewidywał tego, co nastąpiło.

Kiedy znajdowali się w odległości zaledwie paru kroków od maszyny, Dusky stanął nagle jak wryty. Pochylił się nieco w przód, węsząc dużymi nozdrzami jak pies na tropie zwierzyny. Następnie obrócił wolno głowę i spojrzał na Bigglesa. Oczy miał szeroko otwarte z przerażenia.

Nawet wówczas, gdy otworzył usta, aby przemówić, Biggles nie miał jeszcze pojęcia, co zamierza mu powiedzieć, ale wyraźnie czuł niebezpieczeństwo i naprężył instynktownie mięśnie w oczekiwaniu walki. A gdy wszyscy stanęli bez ruchu jak nagłe zatrzymane obraz na ekranie, ciszę przerwał jakiś dziwny, ostry dźwięk.

Bogat zadrżał. Bardzo wolno przesunął ręką po twarzy szarej jak popiół, w której utkwiała malutka strzała, nie większa od igły do cerowania. Kiedy dotknął jej palcami, wydał dziki okrzyk i zatoczył się na pobliskie drzewo.

Chorro spojrzął na niego przerażony i wyjął jak zranione zwierzę pomknął w las, nie bacząc na rozkaz Bigglesa, który wzywał go do zatrzymania się.

Biggles podniósł karabin, ale nie strzelał. Było to już zbyt późno. Zaledwie Chorro zniknął z drogi, kiedy dały się słyszeć odgłosy jakiejś dzikiej walki i szamotania połączone z okrzykami przerażenia, a potem nagle ucichły.

Wszystko to stało się w mgnieniu oka. Biggles zorientował się bez wyjaśnień Dusky'ego, że zostali napadnięci przez Indian, prawdopodobnie przez tych samych, których przedtem Bogat tak niełitościwie zaatakował. W żaden sposób nie mógł pomóc więźniom. Chorro zniknął i nie trudno było odgadnąć, jaki los go spotkał. Bogat leżał

## 8 Skarb w dżungli

"■"

na ziemi, wijąc się w konwulsjach wskutek jadu zatrutej strzały.

Dusky w panicznym strachu zaczął uciekać z powrotem tą samą drogą. Biggles biegł za nim myśląc także wyłącznie tylko o ucieczce. Zastanawiał się, czy lepiej będzie wrócić do schodów, czy próbować dotrzeć do samolotu jakkolwiek nie bardzo wiedział, w jaki sposób się tam dostanie. Kiedy biegł, dzikie okrzyki za nim płoszyły papugi, które z wrzaskiem zrywały się w górę.

Dusky zboczył z drogi jak tropiony zając. Biggles biegł za nim na oślep, nie dlatego, żeby wierzył w jego zdolność orientacyjną, lecz w obawie, że może go stracić z oczu. Poczł nagle, iż grzęźnie w mule i zobaczył wysokie szuwary, rosnące wzdłuż rzeki. Dusky zbliżył się do drzewa, którego gałęzie zwisały nisko. Odrzuciwszy karabin, wdrapał się na górę jak małpa. Biggles poszedł za nim, lecz zatrzymał karabin przewiesiwszy go przez ramię, aby mieć ręce wolne do chwytania gałęzi.

Dusky wspinał się bez końca — zdawało się, że nigdy nie ustanie. Znajdowali się prawie sto stóp nad ziemią, kiedy Dusky nagle zniknął, a Biggles idąc za nim, znalazł się w jakimś nieznanym, obcym świecie. Można powiedzieć, że dostali się teraz do nowej dżungli, do dżungli, w której rosły orchidee i paprocie, tonące wśród mchu.

Biggles słyszał już o tych rozmaitych „pokładach” w dżungli, narastających jeden nad drugim, lecz teraz po raz pierwszy zobaczył takie zjawisko i obserwował je z zainteresowaniem. Z łatwością można było zobaczyć, w jaki sposób powstały te pokłady. Zwisające gałęzie zamiast spaść na ziemię, zatrzymywały

się na niższych gałęziach, na te z kolei opadały gałęzie wyżej rosnące i liście, tworząc jak gdyby mocny, gruby dywan, na który z wierzchołków drzew spadały nasiona kwiatów. Zapuszczały korzenie i rosły przez jakiś czas, następnie więdnąc zwiększały warstwę gnijącej roślinności. W ciągu wieków warstwa ta stała się tak twarda, jak ziemia w dole i posiadała na swojej powierzchni własną florę i faunę. Tu wśród zielonych wierzchołków drzew gnieździły się najrozmaitsze małe stworzenia leśne.

Z rozmyślenia nad tym widokiem wyrwał Bigglesa Dusky.

— Tu się skryjemy — szepnął.

Biggles skinął głową. Nie miał w ogóle ochoty do rozmowy. Żałował bardzo, że pozostawił przyjaciół i nie wie, co się z nimi dzieje. Gdyby ich mógł teraz zobaczyć, na pewno martwiłby się jeszcze bardziej niż dotychczas.

## Rozdział XV

### Rozpaczliwe próby

Jeżeli Biggles przypuszczał, że Algy, Ginger i Eddie siedzą spokojnie w podziemnej sali czekając na jego powrót (nie miał zresztą powodu myśleć inaczej), był niewątpliwie w błędzie. Bo oto w międzyczasie zaszły wielkie zmiany.

Zaczęły się one od odkrycia Algy'ego, kiedy w wyniku eksplozji płyta kamienna nad wyjściem z podziemia została zablokowana. Tak przynajmniej myśleli. W rzeczywistości olbrzymi blok muru przywalił całą płytę. Wprawdzie ciężar gruzów nie był wielki, wystarczył jednak, aby unieruchomić precyzyjny mechanizm obrotowy i tym samym uniemożliwić podniesienie płyty od wewnątrz. Znajdujący się w podziemiu nie wiedzieli o tym. Sądziли jedynie, że płyta zbyt mocno „przywarła”. Lecz nie przejmowali się, gdyż wiedzieli, że Biggles — jeśli tylko powróci — przyjdzie im z pomocą. Nagle odgłos licznych kroków na powierzchni wzbudził ich niepokój. W tej właśnie chwili Tygrys wraz ze swoimi ludźmi przybył na miejsce eksplozji.

Nieszczęśliwi, robiąc najróżniejsze domysły, próbowali określić sytuację, jaka powstała na górze i w rezultacie stworzyli obraz niewiele odbiegający od prawdy.

— Albo sprowadzili działo i zbombardowali całe miejsce, albo wysadzili je w powietrze dynamitem — oświadczył Algy.

— Spodziewam się jednak, że nie złapali Bigglesa — zatroszczył się Ginger.

— On wyszedł dość dawno — zauważył Algy umknąć.

— Musimy czekać, dopóki nie wróci.

— Nic innego nam nie pozostaje.

na pewno zdążył

115

Czas upływał, a Biggles nie wracał. Na górze zapanował spokój.

— Powinien już być tutaj — mruknął Ginger. — To straszne — siedzieć tak beczynnie.

— Masz rację — zgodził się Algy.

— Jeżeli wszystko odbyło się zgodnie z planem, powinien już być z powrotem. Wygląda na to, jak gdyby mu się nie powiodło.

— Co mamy więc zrobić?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Czy masz jakiś pomysł Eddie? Eddie zaprzeczył.

— Licho nadało wyprawę z tymi dwoma nicponiami — dodał z niechęcią. Ze słów jego można było wywnioskować, jakiego zdania jest o całej tej niefortunnej akcji.

— A może byśmy zaświecili zapałkę i przypatrzyli się tej płycie — zaproponował naraz. Siedzieli do tej pory w ciemności. — Może uda nam się cośkolwiek zobaczyć.

— Owszem, możemy to zrobić — zgodził się Algy. — Musimy jednak oszczędzać zapałek, niewiele ich pozostało.

— Dlaczego nie ma zapałek w takiej chwili, kiedy są naprawdę bardzo potrzebne? — spytał z goryczą Eddie.

— Nigdy się to już więcej nie powtórzy — oświadczył uroczyście Ginger. — Przed udaniem się na wyprawę, każę sobie uszyć specjalny pas z wielu małymi kieszonkami i będę go nosił pod koszulą. W kieszonkach tych umieszczę wszystko, co mogłoby mi się kiedykolwiek przydać: pudełko zapałek, latarkę elektryczną, szczyryk z rozmaitymi narzędziami, czekoladę, sznur...

— Parę bomb i automat — dodał z drwiącym uśmiechem Algy. — Szkoda, że nie pomyślałeś o tym wcześniej. Przestań marzyć. Zapalę zapałkę, a wy szybko rozglądnicie się dokoła.

Błysk zapałki oślepił ich początkowo, lecz mimo to zabrali się natychmiast do badania płyty. Nie znaleźli jednak niczego, co by tłumaczyło przyczynę zablokowania jej. Nagle w chwili, kiedy płomień już dogasał, dziki okrzyk Eddiego o mało nie zrzucił Gingera ze schodów.

— Co się stało? Dlaczego krzyczysz? — spytał krótko Algy.

— Zniknął.

— Zniknął? Kto? A właściwie co zniknęło?

— Posąg.



— Zwariowałaś! Jakże mógł zniknąć?

116

— Mówię ci, że go nie ma — upierał się Eddie. — Przypadkowo rzuciłem okiem w tamtą stronę. Naprawdę nie ma go tam wcale.

— Zapal drugą zapałkę, Algy — wtrącił nerwowo Ginger. — Lękam się takich wędrujących posągów.

W pośpiechu Algy wysypał wszystkie zapałki; upłynęło parę sekund, zanim zdążyli je pozbić.

— Na miłość Boską, ruszcie się w końcu — denerwował się Ginger. Zapalono drugą zapałkę. Wszyscy skierowali wzrok w stronę, gdzie

stał jeszcze tak niedawno posąg. Jeden rzut oka wystarczył, by się przekonać, że Eddie miał rację; posągu rzeczywiście nie było. Wiedzeni wspólną ciekawością poszli w kierunku miejsca, w którym go poprzednio widzieli, lecz w połowie drogi zapałka zgasła.

— Zapal nową — nalegał Ginger.

Nie możemy pozbywać się ich w takim tempie — zaprotestował Algy.

— Poczekaj. Oderwę skrawek koszuli — zaproponował Ginger — sądzę, że ten materiał będzie się palił.

I znowu zabłysło światło. Ginger zbliżył się z oderwanym kawałkiem koszuli.

— Teraz będzie lepiej — skonstatował, gdy jasny płomień oświetlił

salę.

I cóż się okazało? Eksplozja była o wiele poważniejsza w skutkach, niż początkowo przypuszczali; szereg rys w ścianach i suficie było najlepszym tego dowodem. Nie zwracali jednak na to uwagi. Interesował ich inny ważniejszy szczegół; wskutek silnego wstrząsu posąg przesunął się w przód odsłaniając kwadratowy otwór, na którym poprzednio spoczywała jego podstawa.

Ażeby dostać się do tego otworu, musiał Algy wspiąć się w górę, lecz skoro tylko dotknął posągu, ten zaczął przesunąć się dalej w głąb, wyjaśniając od razu działanie mechanizmu. Posąg nie był niczym innym, jak drzwiami umocowanymi do ruchomych zawiasów podobnych do tych, na jakich poruszała się płyta kamienna. Przedstawiał on tak precyzyjną konstrukcję, że najlżejszy nacisk wystarczał, aby go poruszyć; poza tym był tak idealnie dostosowany do ścian niszy, że gdyby nie eksplozja, nigdy nie odkryliby jego tajemnicy.

— To zaczyna być interesujące — zauważył Algy.

— No, myślę — oświadczył z entuzjazmem Ginger.

117

— Chodźmy dalej. Zobaczymy, co znajduje się wewnątrz.

— Masz światło, więc idź pierwszy — zachęcił Algy.

— O co się sprzeczcacie? Pójdziemy wszyscy — wtrącił Eddie. Stanęli w ciemnych drzwiach. Ginger trzymał wysoko kawałek płonącego materiału, ażeby oświetlić możliwie jak największą przestrzeń.

Mimo że nie było zbyt jasno, dostrzegli w żółtym, dymiącym świetle trzy szerokie stopnie prowadzące do następnej długiej, niskiej sali, w której leżały nagromadzone na ziemi w pewnych odstępach stosy rupieci. Z mebli znajdował się jedynie oryginalnie rzeźbiony fotel.

— Zdaje się, że nie ma tu niczego godnego uwagi — zauważył Ginger z niezadowoleniem w głosie, kiedy schodzili powoli w dół.

Stanąwszy na najniższym stopniu, Ginger doznał wrażenia, jak gdyby stopień ten usuwał się pod jego ciężarem; upadł w tył z okrzykiem przerażenia.

Światło zgasło. Równocześnie dał się słyszeć w sali głęboki głuchy odgłos.

Algy nie czekając na wezwanie, zapalił powtórnie kawałek materii. Na pierwszy rzut oka nie zauważono żadnej zmiany w otoczeniu, dopiero Eddie, który przypadkowo obejrzał się na siebie, zwrócił ich uwagę na to, co się stało. Wejście zniknęło. Posąg wrócił na swoje miejsce.

— Kiedy byłem dzieckiem — rzekł ze smutkiem Eddie — matka zawsze przepowiadała, że ciekawość moja doprowadzi mnie do katastrofy. Widzę, że miała rację. Dopóki nie znajdziemy sprężyny poruszającej posąg, będziemy uwięzieni.

— Rozglądnijmy się dokoła, zanim zaczniemy jej szukać — zaproponował Algy. — Może nie zauważyliście tego, ale posąg tkwi w ścianie, jak tłok w cylindrze. Podobnie ma się rzecz z płytą kamienną. W takim razie, skąd bierze się tu świeże powietrze? Popatrzcie na to światło. Przecież nie mogłoby się nigdy tak palić, gdyby sala nie posiadała dostępu powietrza?

— Masz rację — zgodził się Ginger siadając w fotelu.

Po chwili zleciał na ziemię. Fotel rozpadł się w obłokach kurzu. Nie załamał się; po prostu rozsypał się jak próchno.

— Ten fotel musiał stać tutaj przez bardzo długi okres czasu — rzekł wolno Eddie.

Ginger usiadł teraz na stosie rupieci. Stos zapadał się pod ciężarem jego ciała, wydając delikatny, metaliczny dźwięk.

118

Z wyrazem największego zdumienia Ginger wyciągnął pełną garść drobnych przedmiotów. Nie wyrzekł ani słowa, lecz zwróciwszy się w stronę towarzyszy rzucał je pojedynczo na ziemię.

— Na Boga! — szepnął Eddie. — To jest metal. Ginger zaśmiał się histerycznie.

— Czujecie wagę tego? — krzyknął. — To złoto!

W jednej chwili uklękli wszyscy przy stosie badając zdobycz. Wkrótce ustalili, że nie były to monety, lecz specjalny zbiór drobnych, rzeźbionych przedmiotów, jak klejnoty, kwiaty, kłosa zboża. Grzebiąc w stosie wyciągnął Algy złoty o dziwnych kształtach kubek.

— To jest ten właściwy skarb — rzekł zduszonym głosem, w chwili gdy zgasło światło. — Niestety nie ma on dla nas tymczasem żadnej wartości, cenna jest natomiast wiadomość, że się tu znajduje. Oderwij jeszcze kawałek koszuli — rozkazał. — Musimy zbadać, w jaki sposób można wydostać się z tej pułapki.

Wszyscy wrócili do schodów, skąd zaczęło się dokładne badanie posągu od tyłu. Próbowali otworzyć drzwi, lecz im się to nie udało. Widzieli rysy oznaczające wymiary otworu, niewiele im to jednak pomogło.

— To tylko strata czasu — odezwał się Eddie melancholijnie.

— Nic podobnego — zaprzeczył Ginger. — Starożytni kapłani, którzy prawdopodobnie zbudowali tę kryjówkę, musieli skonstruować urządzenie pozwalające na otwarcie drzwi od wewnątrz. Jest w tym stanowczo jakaś sztuczka. Musimy ją odkryć.

— Jeżeli mieli tyle sprytu, aby urządzić tak skomplikowaną pułapkę, możesz być przekonany, że nie rozwiążemy z łatwością tej zagadki — zawyrokował Eddie.

Jedynie wtajemniczonym dane było wchodzić i wychodzić swobodnie — zauważył Algy, chciałbym jednak wiedzieć, skąd bierze się dopływ świeżego powietrza. Nie może przecież przenikać przez jednolite płyty kamienne.

— Oczywiście — przyznał Eddie. — Musi być wobec tego jakiś otwór naturalny doprowadzający powietrze, chyba że ludzie, którzy budowali tę kryjówkę, skonstruowali mechaniczne urządzenie, w co nie chce mi się wierzyć. Twierdzę zatem, że powietrze dochodzi z jakiegoś miejsca, którego nie zdołaliśmy jeszcze odkryć.

— Sądzę, że masz rację — rzekł Algy w zamyśleniu. — O ile uda się znaleźć ten otwór, dowiemy się więcej.

119

Nie interesując się już zablokowanymi drzwiami, zaczęli badać całą salę. Wszędzie masywne bloki kamienne, z których składała się sala, przylegały tak ściśle do siebie, że praca ich wydała się beznadziejna. Eddie ukląkł, by zbadać dokładnie podłogę.

— Musicie pamiętać, że starożytni jakkolwiek byli zdolnymi inżynierami, ograniczali swą pracę jedynie do zagadnień prostej mechaniki — wyjaśnił. — Mieli oni bardzo prymitywne wyobrażenie o hydraulice i dźwigniach, dlatego...

Głos urwał się nagle. Nastąpiło głucho uderzenie. Algy rozglądał się. To samo uczynił Ginger. Następnie spojrzeli na siebie.

— Hej! Eddie! — krzyknął Ginger. Nie było odpowiedzi.

Ginger zwrócił zdziwione oczy na Algy'ego.

— On... on zniknął! — wyjąkał.

— Czy myślisz, że jestem ślepy? — odparł Algy z ironią, która doskonale oddawała stan jego nerwów. — Gdzie znajdował się Eddie w chwili zniknięcia?

Ginger potrząsnął głową:

— Nie wiem. Patrzyłem właśnie na ścianę.

— No, dobrze. Nie denerwujmy się. Na podłodze jest kurz, który został z pewnością poruszony. Jeżeli znajdziemy to miejsce, dowiemy się, gdzie zniknął Eddie.

Spodziewam się, że mu się nic nie stało.

— Widocznie źle stanął na jednej z tych płyt — rzekł Algy. Wziąwszy światło z ręki Gingera, zaczął badać płyty kamienne tworzące posadzkę.

— Tu jest to miejsce — oświadczył naraz. Nie tylko poruszony kurz na to wskazuje, ale i rysy dokoła tej płyty są szersze od innych.

— Płyta ma prawdopodobnie taką konstrukcję, jak tamta w górze — sądził Ginger.

— Bezwzględnie. Tak, to jest ta właśnie — ciągnął dalej szybko. — Kurz zniknął. Wpadł chyba do otworu, kiedy Eddie zsunął się po niej. Zbyttno się gorączkujemy. Chodzi tu z całą pewnością o wpływ ciężaru ciała na pewną określoną powierzchnię. Najodpowiedniejsze miejsce do eksperymentu byłoby blisko brzegu płyty, o tutaj... Hej!

Ginger złapał Algy'ego za nogi, gdyż kamień przechylił się nagle, a on zaczął zsuwać się w dół i byłby może upadł, gdyby go Ginger na czas

120

nie wyciągnął. Usunęli się na bok, a wtedy kamień wrócił na swoje miejsce.

— Czemu zamknąłeś otwór? — spytał Ginger z niezadowoleniem w głosie.

— Nie martw się. Już znam tę sztukę — odparł Algy. — Nie mam ochoty wylądować na swojej własnej czaszce. Musimy działać ostrożnie. Ponieważ płyta zamyka się automatycznie, lepiej będzie, jeżeli podłożymy coś pod nią, w przeciwnym razie zamknie się za nami i uniemożliwi nam powrót.

Ginger podszedł do jednego ze stosów i wziął jakiś przedmiot podobny do berła.

— To nam wystarczy — rzekł.

— Świetnie — przyznał Algy. — Gdy kamień się poruszy, włóż to w szczelinę. Skoro tylko szczelina rozszerzy się dostatecznie, zaświeć zapałkę, aby się przekonać, jak głęboki jest otwór — o ile się tam w ogóle znajduje.

Przy świetle zapałki ujrzeli rzeczywiście otwór głębokości około sześciu stóp; pierwszym szczegółem, który ich uderzył, był Eddie leżący nieruchomo na ziemi, najwidoczniej nieprzytomny.

Algy zeskoczył do niego. Nie mógł inaczej się dostać. Dawniej posługiwano się tutaj drewnianą drabiną, lecz teraz leżała zbutwiała, pokryta grubą warstwą kurzu. Podczas gdy Algy badał Eddiego, Ginger stwierdził, że nowo odkryte wnętrze nie było zupełnie podobne do sali, w której się znajdował, wyglądało raczej jak sztuczna jaskinia. Równocześnie poczuł prąd chłodnego, orzeźwiającego powietrza.

— Jak on się ma? — zawołał z góry.

— Ma guza na czole. Uderzenie ogłuszyło go, ale nie jest poważne.

— Czy to jest sala, czy tunel, w którym się znajdujesz? Algy podniósł zapałkę do góry i rozglądnął się:

— To jest tunel. Zejdź na dół. Zostaw płytę otwartą, abyśmy mogli wrócić, gdy zajdzie konieczność.

Ginger skoczył.

— Słuchaj, mam wielkie zmartwienie — rzekł.

— Jakie?

— Chodzi mi o Bigglesa. Gdy wróci, zdziwi go ogromnie nasza nieobecność.

Algy uśmiechnął się wymownie:

— Obawiam się, że będzie miał niejedyn powód do zdziwienia.

Rozdział XVI

Carruthers działa

Obawy towarzyszy o losy Bigglesa były bezpodstawne. Znajdował się daleko od nich, siedząc w leśnym raju między niebem a ziemią i układając plan działania. Dusky'ego zajmował jedynie fakt bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego ze strony Indian, których krzyki i śmiechy dochodziły z nieznaczonej odległości.

— Cieszę się, że wzięli Bogata na cel a nie mnie — oświadczył Biggles.

— Oni znają Bogata, szukali go od długiego czasu. Pana wzięli za Indianina.

Zdaniem Bigglesa było to może najwłaściwsze wytłumaczenie. Nie będąc hipokrytą, nie udawał żalu za brutalnym Bogatem i niewiernym Chorrem, którzy otrzymali jedynie należną im zapłatę. Nagle pewien pomysł wpadł mu do głowy.

— Czy ten „dywan” jest dość mocny, aby po nim chodzić? — spytał.

— Oczywiście, panie.

— Nie ma obawy wypadnięcia na ziemię?

— Najmniejszej — oświadczył stanowczo Dusky. — „Dywan” ten ma trzydzieści lub czterdzieści stóp grubości, może nawet i więcej.

— W takim razie moglibyśmy przejść po nim aż do tego miejsca, gdzie znajduje się samolot. Rzeka będzie naszym przewodnikiem.

Dusky potrząsnął głową.

— Jeżeli pójdziemy, stare papugi podniosą wrzask i dadzą w ten sposób znać Indianom o naszej kryjówce. Poczekajmy lepiej. Indianie niedługo odejdą.

— Czy oni nie zniszczą nam maszyny?

122

— Zbyt są tchórzliwi, aby zbliżyć się do niej — odparł Dusky z przekonaniem. — Uważają ją najprawdopodobniej za nowego boga.

Biggles, jakkolwiek nie miał tej pewności, zadowolił się oświadczeniem Dusky'ego. Rozumiał, że człowiek, który spędził większość swego życia wśród Indian musi znać ich zwyczaje.

— Czy wiedziałeś, że w pobliżu znajdują się Indianie? — spytał Biggles, gdy siedzieli czekając na dogodny moment powrotu do maszyny. Przypomniał sobie, że Dusky zatrzymał się, zanim jeszcze Indianie zdradzili swoją obecność.

— Oczywiście, panie.

— W jaki sposób dowiedziałeś się?

— Poczułem ich po prostu — wyjaśnił Dusky. Biggles skinął głową. Był skłonny uwierzyć we wszystko. Dusky nie mylił się. Dowodem tego byli Indianie, którzy teraz

w największej ciszy przechodzili kolejno ścieżką. Skoro tylko zniknęli w głębokim mroku dżungli, Dusky oznajmił, że można już bezpiecznie ruszyć w drogę. Nie spuścił się prosto na ziemię, lecz szedł wzdłuż linii wierzchołków drzew, wybierając ostrożnie drogę; Biggles postępował za nim. Wkrótce zaczęły im towarzyszyć papugi i małpy, które zbliżając się na niewielką odległość, podnosiły straszny wrzask.

Widocznie wzięły im za złe wtargnięcie do ich królestwa okazując hałaśliwym zachowaniem swoje niezadowolenie.

W wielu miejscach „dywan” miał otwory, przeważnie w pobliżu pni drzew, podobne do tego, przez który oni wydostali się do góry i Dusky ostrożnie je omijał. Ale w jeden z nich zdecydował się wsunąć nogę i upewniwszy się, że stoi na gałęzi, zaczął schodzić w dół. Po chwili wskazał coś ręką, a Biggles ku nieopisanemu radości zobaczył „Wędrowca”, spoczywającego na wodzie.

Schodzenie na dół wymagało dużej zręczności i wielkiego wysiłku, tak że Biggles odetchnął głęboko, gdy stanął wreszcie na twardym gruncie. Rozejrzawszy się dokoła, pędził teraz z karabinem w pogotowiu do maszyny, którą ujrzał nienaruszoną w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Podczas gdy Dusky pełnił straż przy samolocie, Biggles zrywając niepotrzebne zamaskowanie, przygotował się do startu.

— Wsiadaj, Dusky — rzekł zmęczonym głosem. Napięcie nerwowe, wyczerpanie, brak snu oraz powietrze przesycone wilgocią zaczęły dawać mu się porządnie we znaki. Głód i pragnienie, nie mówiąc już o brudzie, dokuczały mu równie silnie.

123

— Jaką drogę wybierzemy, panie? — spytał Dusky bojaźliwie.

— Zastanawiam się właśnie — odparł Biggles.

Teraz, kiedy nadszedł wreszcie moment odlotu, opanowały go dziwne wątpliwości. Miał do wyboru dwie drogi: albo wrócić do towarzyszy, albo lecieć do Carruthersa. Wiedział, że przyjaciele martwią się o niego; przykro mu też było, że pozostawił ich samych. Nie spełnił swojego zadania należycie. Nie była to jednak jego wina. Algy i Ginger z całą pewnością pochwalą jego postępowanie, gdy się dowiedzą o wszystkim. Biggles niestety nie widział możliwości dostania się do nich przed zapadnięciem nocy; uważał, że najmądrzej postąpi, jeśli polecą w dół rzeki i przedstawi Carruthersowi wszystkie wypadki. Może on znajdzie wyjście z tej przykrew sytuacji. Jeśli nic nie da się zrobić, wróci i poprowadzi walkę na własną rękę.

— Lecimy w dół rzeki — rzucił krótko Dusky'emu powziąwszy postanowienie.

Zapuścił silniki i wystartował z uczuciem niemałego zdziwienia, że wszystko funkcjonuje prawidłowo, obawiał się bowiem, iż silniki mogą stanąć. Podczas całej drogi do wybrzeża słuchał ich warkotu z najwyższym napięciem; zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby musiał lądować z powodu jakiegoś defektu, los jego towarzyszy byłby przesądzony.

Silniki jednak nie zawiodły. Biggles zmówił cichą modlitwę dziękczynną, kiedy w oddali jego oczom ukazało się morze. Po dwudziestu minutach, zostawiwszy samolot pod opieką Dusky'ego, stanął przed gubernatorem.

Carruthers obejrzał go od stóp do głów z widocznym zaciekawieniem.

— Widzę, chłopie, że jesteś w kłopotcie — rzekł z sympatią. — Potrzebujesz kąpieli...

Biggles przerwał mu.

— Tak. Ale jest mnóstwo rzeczy, których potrzebuję i nie mam teraz na nią czasu. Wypadki rozgrywają się szybko; muszę zaraz ruszać z powrotem. Przyjaciele moi nie wiedzą, że jestem tutaj. Chciałbym ci w ogólnych zarysach przedstawić wszystkie wydarzenia. Będę ci opowiadał, a ty daj mi tymczasem coś do jedzenia.

Gdy służący przyniósł kanapki, Biggles jedząc streszczał wiadomości jak najwięźle.

— Na Dzinga! I miałeś na to wszystko czas? — wykrzyknął gubernator, kiedy Biggles skończył. — Co mam więc teraz robić?

124

— Nie wiem doprawdy — wyznał Biggles. — Sądziłem, że będziesz mógł podać jakiś projekt. Jesteś przecież naszym kierownikiem. Nie chciałbym postąpić źle.

— Musimy uwolnić przede wszystkim twoich przyjaciół i tego Amerykanina, następnie — o ile to będzie możliwe — zaarrestować Tygrysa.

— O to właśnie chodzi — przytaknął Biggles. — Równocześnie chwycimy dwóch łajdaków, Warnera i Schmidta. Należy ich powiesić za to, że pozostawili młodego Rockwella w dżungli. Największy kłopot mam z tego powodu, iż nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Ja rzadko proszę o coś, lecz dziś zwracam się do ciebie, bo w tym wypadku nawet skromna pomoc z twojej strony byłaby cenna. Będziemy ci za to bardzo wdzięczni.

— Zastanawiałem się już nad tym — uśmiechnął się Carruthers.

— Naprawdę? — spytał z przejęciem Biggles.

— Chętnie poświęcę parę dni, żeby wyjaśnić całą tę sprawę. Jaki masz plan?

— No, wreszcie zdecydowałeś się, — zapalił się Biggles. — Widzisz, nie mogę być równocześnie po obu stronach tych piekielnych schodów. Tygrys postawił straż na szczycie, aby nas dostać w pułapkę — tak przynajmniej sobie wyobraża. Mała garstka ludzi u podnóża schodów mogłaby go chwycić.

Gdybyśmy jednak nawet całą armię wysadzili na płaskowzgórzu, nie dokonalibyśmy niczego. Tygrys czmychnąłby schodami w dół i zniknął w lesie. Ilu ludzi możesz mi dać?

— Dziesięciu lub dwunastu, tubylczą policję, oczywiście. To porządne chłopcy.

— A karabin maszynowy?

— Mógłbym ci dać jeden.

— Dwóch pewnych ludzi pod dowództwem zaufanego oficera z karabinem maszynowym, obroniłoby podnóżę schodów przed całą armią — tłumaczył Biggles szybko. — Następnie trzech lub czterech na



płaskowzgórze bez trudności zmusiłoby do ucieczki poważnie uszczuploną bandę Tygrysa. Nie zapomnij, że mam już trzech ludzi na górze. Teraz wyrzuciwszy z maszyny większość zapasów, mógłbym od biedy przewieźć w górę rzeki dziesięciu ludzi wraz ze mną. Dziesięciu wystarczyłoby. Moglibyśmy wylądować w miejscu, z którego ja właśnie wystartowałem i wysadzić Dusky'ego, oficera i dwóch ludzi z karabinem

125

maszynowym. Dusky służyłby za przewodnika. Wskazałby im miejsce, gdzie najlepiej ustawić karabin, ażeby wziąć pod ostrzał całe schody. Czy zgadzasz się z tym planem?

— Naturalnie.

— Świetnie. Nas dwóch i czterech twoich ludzi wystartuje zaraz. Wylądujemy na płaskowzgórze, skąd ruszymy do podziemnej sali, o której ci wspomniałem. — Mam projekt, który pomoże uwolnić moich przyjaciół. Wraz z nimi stanowilibyśmy siłę dziesięciu mężczyzn, co byłoby wystarczające. Kiedy Tygrys zobaczy ciebie, domyśli się, że sprawa jest przegrana i ucieknie w kierunku schodów. Banda pójdzie oczywiście za nim. Wtedy weźmiemy ją w dwa ognie. Musiałby być szaleńcem, gdyby się nie poddał. Wierz mi, te schody nie są miejscem do akcji obronnej.

Carruthers skinął głową.

— Zdaje się, że plan jest niezły. Kiedy wyruszymy?

— Im prędzej, tym lepiej. Kiedy możesz być gotów?

— Za godzinę.

— Doskonale. Nabiorę benzyny, wykąpię się i spotkamy się nad rzeką za godzinę, to znaczy punktualnie o pierwszej. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będziemy z powrotem w górze rzeki o piątej. Pozostanie nam jeszcze jedna lub dwie godziny dnia.

— To mi odpowiada — zgodził się Carruthers.

O umówionej porze samolot ciężko obciążony wystartował i poszybował w górę rzeki. Carruthers, z karabinem na kolanach, zajął wolne miejsce obok Bigglesa. Za nimi zgnieceni w małej kabinie stali policjanci, którzy po raz pierwszy w życiu odbywali podróż powietrzną.

Bigglesa nie martwiło duże obciążenie; gdyby chciał mógłby się wznieść o wiele wyżej. Trzymał się biegu rzeki, tak że w razie potrzeby mógł bezpiecznie wylądować ze wszystkimi ludźmi i całym ładunkiem.

Po pewnym czasie ukazał się zakręt rzeki, gdzie Biggles opuścił „Wędrowca” łagodnie na wodę, a Bogat i Chorro znaleźli śmierć. Wyszadło tu czterech ludzi: Dusky'ego, sierżanta i dwóch policjantów. Uzupełnieniem ich uzbrojenia był karabin maszynowy Vickersa. Wiedzieli już, co mają robić; przed startem otrzymali instrukcję w sprawie udziału w akcji. Pod przewodnictwem Dusky'ego mieli udać się do podnóża schodów i zająć pozycje do ostrzału. Każdy, kto próbowałby zejść w dół, miał być aresztowany.

Biggles przez krótką chwilę patrzył, jak ruszali ścieżką przez las,

126

potem z mniejszym już obciążeniem wystartował kierując się na płaskowzgórze. Usiłował wyobrazić sobie, w jaki sposób rozwiną się wypadki: Tygrys pomyśli, że przylatuje sam, a wtedy pomyłka ta będzie go drogo kosztowała. Bigglesa nie obchodziły jednak losy Tygrysa, zależało mu przede wszystkim na tym, aby dostać się jak najprędzej do podziemnej sali i uwolnić Algy'ego, Gingera i Eddiego z więzienia.

W linii powietrznej odległość od płaskowzgórza była niewielka. Biggles nie tracił czasu na krążenie dokoła, wiedział przecież, że nie ma po drodze żadnych przeszkód. Wsunąwszy koła, skierował się na poprzednio już upatrzone miejsce.

— Powiedz swoim ludziom, aby byli gotowi wyskoczyć, skoro tylko maszyna stanie — rzekł do Carruthersa. — Możemy się dostać od razu w ogień, przygotujcie zatem karabin maszynowy do akcji możliwie jak najszybciej. Nie sądzę, żeby Tygrys wystąpił otwarcie.

— Zostaw to już mnie — odparł Carruthers ze spokojem. Kiedy opuszczał się do lądowania, dostrzegł ludzi, którzy uciekali ze

wsi patrząc z przerażeniem w górę. Nie ulegało wątpliwości, że pojawienie się maszyny wywołało pewną konsternację. Z oddali nie mógł jednak poznać Tygrysa.

Koła dotknęły ziemi; „Wędrowiec” kołysząc się lekko, wylądował szczęśliwie. Nacisnąwszy pedały sterowe i dodawszy równocześnie silnikom gazu Biggles poprowadził maszynę w kierunku występu skalnego, który, jak sądził, mógł stanowić dobrą osłonę. Skoro tylko „Wędrowiec” stanął, Biggles wyłączył gaz, chwycił karabin i wyskoczył na ziemię. Ze wszystkich stron padały strzały. Policjanci na komendę Carruthersa ukryli się za skałami i ustawili karabin maszynowy.

Około dwunastu ludzi Tygrysa prowadzonych przez niego skoczyło w kierunku samolotu, lecz kiedy odezwał się złowrogi grzechot karabinu, sprawdziły się przypuszczenia Bigglesa: wszyscy zawrócili i zaczęli uciekać zostawiwszy dwóch ludzi na ziemi. Biggles trafił jeszcze jednego z nich, po czym krzyknął ostro:

— W drogę! Pędźmy za nimi!

Nagle sprawa wzięła niespodziewany obrót. Stało się coś, czego Biggles nie przewidział, choć powinien był się tego spodziewać.

Robotnicy, a właściwie niewolnicy, pracowali w rowie. Biggles zauważył ich jeszcze przed lądowaniem, lecz nie przywiązywał do tego żadnej wagi.

Zjawienie się Carruthersa w tych stronach, obudziło w nich —

127

obciążeniem wystartował kiert -^ m JUZ obrazić sobie, w jak! sposób mn'elf ^siłował wy"latuje sam, a wtedy pomyli

fe^°fbi££»we obchodzły ^ednak loi

IЖ „^'a1 ttim na tym, aby dostać się jak m

i: - U i-ДА „лЛ ПИЦИГГТШ7СТГ)Г7Я klik

«^C\*6 \*- Г/неГ odległość od płaskowzgórza byk V^t lin» P^w^czasu na krążenie dokoła, wiedział przeck |esnie«acił ^cb przeszkód. Wysunąwszy koła, skier B'Sdrodze »dr^L, trzone miejsce. p^ r2edni0 jUZ woim ludziom, aby byli gotowi wyskoczyć P0^ powiedz ;' fzekł do Carruthersa. — Możemy się dc zyna staiue tujCie zatem karabin maszynowy do akcji jei^f^ sędzę, żeby Tygrys wystąpił otwarcie. .fIW)-Ni tQ już mnie — odparł Carruthers ze \$pL ZoStaW zczał się do lądowania, dostrzegł ludzi, któr ^,roY°Pи£\$ przerażeniem w górę. Nie ulegało wą . patr#c \_ ^ maszyny wywołało pewną konsternację.

,ybcie]'iNi t0 już mnie — odparł Carruthers ze spok< ^ Z°staw tCl&\ się do lądowania, dostrzegł ludzi, κ ' |(iiedy°Pu^ przerażeniem w górę. Nie ulegało patr#с maszyny wywc" „0j<ie poznać Tygrysa. i^ak^?ly ziemi;;,We.

\_4acisnąwszy pedały sterowe i dodawszy

J

s2c??śliwie' ^ri Biggles poprowadził maszynę w kierunku ginikofl1 ^a^ry, jak sądził, mógł stanowić dobrą osłon? sptae&0' • t v stanął, Biggles wyłączył gaz, chwycił karab ^\Vędrowie^, e wszystkich stron padały strzały. Poiiφnc ^ ziemi?- ^> ^ryli się za skalami j ustawUi karabin mai

C&rrU jrS\*^unastu ludzi Tygrysa prowadzonych przez i 0 k samolotu, lecz kiedy odezwał się złowrogi! vv kietUI1 ^jziły się przypuszczenia Bigglesa: wszyscy z» binu,sPraW iwszy dwóch ludzi na ziemi. Biggles trafi] uC czyffl krzyknął ostro:

z nich' w a^! Pędźmy za nimi!

~" sprawa wzięła niespodziewany obrót. Stali

■ ? nie przewidział, choć powinien był się tego i

I go Biggles a właśdwie niewolniCy, pracowali w

R° v ich jeszcze przed lądowaniem, lecz nie przywi l ^auwazyi \*

žad^wf5e się carmthersa w {ycb stronach'obud

maszynowym. Dusky służyłby za przewodnika. Wskazałby im miejsce, gdzie najlepiej ustawić karabin, ażeby wziąć pod ostrzał całe schody. Czy zgadzasz się z tym planem?

— Naturalnie.

— Świetnie. Nas dwóch i czterech twoich ludzi wystartuje zaraz. Wylądujemy na płaskowzgórzu, skąd ruszymy do podziemnej sali, o której ci wspomniałem. — Mam projekt, który pomoże uwolnić moich przyjaciół. Wraz z nimi stanowilibyśmy siłę dziesięciu mężczyzn, co byłoby wystarczające. Kiedy Tygrys zobaczy ciebie, domyśli się, że sprawa jest przegrana i ucieknie w kierunku schodów. Banda pójdzie oczywiście za nim. Wtedy weźmiemy ją w dwa ognie. Musiałby być szaleńcem, gdyby się nie poddał. Wierz mi, te schody nie są miejscem do akcji obronnej.

Carruthers skinął głową.

— Zdaje się, że plan jest niezły. Kiedy wyruszymy?

— Im prędzej, tym lepiej. Kiedy możesz być gotów?

— Za godzinę.

— Doskonale. Nabiorę benzyny, wykąpię się i spotkamy się nad rzeką za godzinę, to znaczy punktualnie o pierwszej. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będziemy z powrotem w górze rzeki o piątej. Pozostanie nam jeszcze jedna lub dwie godziny dnia.

— To mi odpowiada — zgodził się Carruthers.

O umówionej porze samolot ciężko obciążony wystartował i poszybował w górę rzeki. Carruthers, z karabinem na kolanach, zajął wolne miejsce obok Bigglesa. Za nimi zgnieceni w małej kabinie stali policjanci, którzy po raz pierwszy w życiu odbywali podróż powietrzną.

Bigglesa nie martwiło duże obciążenie; gdyby chciał mógłby się wznieść o wiele wyżej. Trzymał się biegu rzeki, tak że w razie potrzeby mógł bezpiecznie wylądować ze wszystkimi ludźmi i całym ładunkiem.

Po pewnym czasie ukazał się zakręt rzeki, gdzie Biggles opuścił „Wędrowca” łagodnie na wodę, a Bogat i Chorro znaleźli śmierć. Wyszadzone tu czterech ludzi: Dusky'ego, sierżanta i dwóch policjantów. Uzupelnieniem ich uzbrojenia był karabin maszynowy Vickersa. Wiedzieli już, co mają robić; przed startem otrzymali instrukcję w sprawie udziału w akcji. Pod przewodnictwem Dusky'ego mieli udać się do podnóża schodów i zająć pozycje do ostrzału. Każdy, kto próbowałby zejść w dół, miał być aresztowany.

Biggles przez krótką chwilę patrzył, jak ruszali ścieżką przez las,

126

potem z mniejszym już obciążeniem wystartował kierując się na płaskowzgórze. Usiłował wyobrazić sobie, w jaki sposób rozwiną się wypadki: Tygrys pomyśli, że przylatuje sam, a wtedy pomyłka ta będzie go drogo kosztowała. Bigglesa nie obchodziły jednak losy Tygrysa, zależało mu przede wszystkim na tym, aby dostać się jak najprędzej do podziemnej sali i uwolnić Algy'ego, Gingera i Eddiego z więzienia.

W linii powietrznej odległość od płaskowzgórza była niewielka. Biggles nie tracił czasu na krążenie dokoła, wiedział przecież, że nie ma po drodze żadnych przeszkód. Wysunąwszy koła, skierował się na poprzednio już upatrzone miejsce.

— Powiedz swoim ludziom, aby byli gotowi wyskoczyć, skoro tylko maszyna stanie — rzekł do Carruthersa. — Możemy się dostać od razu w ogień, przygotujcie zatem karabin maszynowy do akcji możliwie jak najszybciej. Nie sądzę, żeby Tygrys wystąpił otwarcie.

— Zostaw to już mnie — odparł Carruthers ze spokojem. Kiedy opuszczał się do lądowania, dostrzegł ludzi, którzy uciekali ze

wsi patrząc z przerażeniem w górę. Nie ulegało wątpliwości, że pojawienie się maszyny wywołało pewną konsternację. Z oddali nie mógł jednak poznać Tygrysa.

Koła dotknęły ziemi; „Wędrowiec” kotyszając się lekko, wylądował szczęśliwie. Nacisnąwszy pedały sterowe i dodawszy równocześnie silnikom gazu Biggles poprowadził maszynę w kierunku występu skalnego, który, jak sądził, mógł stanowić dobrą osłonę. Skoro tylko „Wędrowiec” stanął, Biggles wyłączył gaz, chwycił karabin i wyskoczył na ziemię. Ze wszystkich stron padały strzały. Policjanci na komendę Carruthersa ukryli się za skałami i ustawili karabin maszynowy.

Około dwunastu ludzi Tygrysa prowadzonych przez niego skoczyło w kierunku samolotu, lecz kiedy odezwał się złowrogi grzechot karabinu, sprawdziły się przypuszczenia Bigglesa: wszyscy zawrócili i zaczęli uciekać zostawiwszy dwóch ludzi na ziemi. Biggles trafił jeszcze jednego z nich, po czym krzyknął ostro:

— W drogę! Pędźmy za nimi!

Nagle sprawa wzięła niespodziewany obrót. Stało się coś, czego Biggles nie przewidział, choć powinien był się tego spodziewać.

Robotnicy, a właściwie niewolnicy, pracowali w rowie. Biggles zauważył ich jeszcze przed lądowaniem, lecz nie przywiązywał do tego żadnej wagi.

Zjawienie się Carruthersa w tych stronach, obudziło w nich —

127

prawie wszyscy byli tubylcami z wybrzeża, możliwe więc, że znali biały mundur gubernatora — świadomość zbliżającego się wyzwolenia: nagle wyskoczyli z rowu i z dzikim wrzaskiem rzucili się na swych panów, mając jako broń jedynie narzędzia pracy. Już dozorca padł po razami kilofów i łopat. Sprzymierzeńcy Tygrysa, a wśród nich sam król, pędzili w kierunku schodów, ścigani przez wyjących robotników. Wielu, uciekając, rzucało karabiny.

— Co się dzieje, u licha? — krzyknął Carruthers.

— Wygląda, jak gdyby niewolnicy Tygrysa chcieli nam pomóc... — odparł Biggles z wściekłością.

Mimo że dzieliła go od nich niemała odległość pobiegł naprzód, a za nim reszta towarzyszy, by zapobiec masakrze — o ile to będzie jeszcze możliwe. Już byli prawie u celu, gdy oczom ich ukazał się straszny widok; pięciu czy sześciu muskularnych tubylców, szybszych w nogach od pozostałych, dopadło na szczycie schodów dwóch białych, Warnera i Schmidta i pociągnęło ich w dół. Carruthers widząc na co się zanosi, krzyknął rozkazująco, lecz głos jego utonął w ogólnym zgiełku. Przez chwilę widać było jedynie kłębowisko walczących postaci, potem dwaj biali zatoczywszy łuk, runęli w przepaść.

Biggles zostawił Carruthersa, a sam skierował się do podziemnej sali, by czym prędzej uwolnić przyjaciół. Gdy zobaczył skutki eksplozji domyślił się, że dostali się w pułapkę. Skinął na robotników stojących w pobliżu i kazał im usunąć gruz. Potem otworzył płytę i zawołał:

— Halo! Chodźcie! Nie było odpowiedzi.

Biggles uczył, że serce przestało mu bić. Zeszedł parę stopni w dół i zaświecił zapałkę. Obawy jego potwierdziły się od razu; sala była pusta. Stał bez ruchu, dopóki płomień zapałki nie sparzył mu palców.

— Halo! — powtórzył ochryłym głosem. I tym razem nie było odpowiedzi.

Wolno, pełen najgorszych przeczuć, wrócił na górę.

— Co się stało? — spytał Carruthers, zauważywszy jego zmieniony wyraz twarzy.

— Zniknęli — odparł Biggles zgnębiony.

— Zniknęli? — powtórzył jak echo Carruthers z niedowierzaniem. — Dokąd mogli pójść?

Biggles wzruszył bezradnie ramionami:

— Nie pytaj mnie o to. Nie jestem czarnoksiężnikiem.

## Rozdział XVII

### Nieoczekiwane spotkanie

Biggles nie odgadłby nigdy, co się stało z Algym, Gingerem i Eddiem; ponieważ posąg wrócił na swoje miejsce, szukałby ich na próżno. Jak gdyby ziemia rozwarła się i pochłonęła ich.

Eddie po upadku nie mógł przez dłuższy czas odzyskać przytomności — tylko na ekranie ludzie ogłuszeni uderzeniem w głowę w ciągu paru sekund wracają do równowagi. Algy i Ginger niewiele mogli mu pomóc; nie mieli nawet kropli wody. Rozcierali go tylko rękami i wachlowali zastanawiając się równocześnie nad tym, czy zaryzykować przeniesienie go przez jaskinię, która ciągnęła się na dużej przestrzeni.

Czas płynął szybko. Nie wiedzieli nawet, czy to dzień, czy noc, kiedy Eddie po kilku słabych jękach otworzył oczy i zapytał, co się stało. Sam nie pamiętał niczego poza tym, że klęczał na ziemi i patrzył przez odsuniętą płytę w dół starając się odkryć ruchomy mechanizm.

— Odkryłeś go — rzekł Algy z humorem — a potem zjechałeś w dół i wylądowałeś na głowie.

Eddie podniósł się z trudem:

— Gdzie jesteście?

— Zadałeś mi trudne pytanie Algy. — Jeżeli siły pozwolą ci na to, by utrzymać się na nogach, spróbujemy wy badać sytuację, a wtedy będziesz miał odpowiedź. Nie ma sensu wracać, możemy równie dobrze iść naprzód.

Przez cały ten czas Ginger oświetlał drogę coraz to nowym skrawkiem koszuli, tak że w końcu mało co na nim zostało.

Eddie wstał dość niepewnie, gdy Ginger tymczasem, nie troszcząc się o nic, podarł resztę koszuli na paski, aby nie musieli błądzić w ciemności.

9 Skarb w dżungli

129

Z tą zaimprovizowaną pochodnią ruszył pierwszy, a za nim Algy podtrzymując swym ramieniem Eddiego.

Na razie spokój nie został niczym zakłócony. Długi, wąski tunel wysoki na tyle, że pozwalał im iść bez nachylania się, zakręcał w dół pod ostrym kątem. Był bardzo długi — ciągnął się bez końca.

Niespodziewanie jednak ujrzeli olbrzymią jaskinię, sprawiającą na pierwszy rzut oka wrażenie katedry. Ogromne stalaktyty jak rzędy piszczałek organów zwisały ze stropu, na dnie zaś strzelały wysoko w górę stalagmity. Ze wszystkich stron dochodził plusk spadającej kroplami wody: kap, kap, kap...

— Gdzieśmy się dostali? — spytał Ginger przerażonym głosem, rozglądając się dokoła. Postąpił krok naprzód, lecz cofnął się pospiesznie.

— Co się stało? — spytał Algy.

— Ziemia jest miękka.

— Jak mam to rozumieć?

— Mówię chyba wyraźnie. Podobna do mułu. Nie wytrzyma mojego ciężaru.

Algy postąpił naprzód.

— Masz słuszność — rzekł wolno — weszliśmy w jakieś przeklęte bagno.

— Zdaje się, że nie będziemy mogli posunąć się dalej.

— Chwileczkę — wtrącił Eddie. Możliwe, że bagno to powstało dopiero w ostatnich latach, lecz jeśli było ono od początku, znaczy, iż musi przez nie prowadzić jakaś droga, w przeciwnym razie przeprowadzenie tych wszystkich precyzyjnych robót w jaskini nie miało by najmniejszego sensu.

— To bardzo rozsądny argument — ale niestety, nie widzę żadnego mostu — odezwał się Algy próbując bagno nogami. — Zaraz, co tutaj jest? — krzyknął. — Zdaje się, że to kawał skały pod powierzchnią.

Ginger próbował również.

— Tak jest — oświadczył stając na czymś twardym. Po sekundzie znalazł kamień. — Tak jest — powtórzył. — Jest to przejście z kamieni, które albo zapadły się, albo zostały zakryte przez bagno. Zobaczmy, czy będziemy mogli przedostać się na drugą stronę.

— Eh! Mnie się wydaje to nie bardzo możliwe — powątpiewał Algy — idąc za nim. — A co z tobą, Eddie? Możesz iść?

— Sądzę, że tak — Eddie trzymał się ściany, lecz po chwili oderwał

130

rękę. — Rozumiem wszystko. — To tylko woda; zbiera się w takim basenie skalnym. Musi być gdzieś jakaś szczelina lub rozpadlina w skale, przez którą spływa woda deszczowa z góry.

— Woda? — westchnął Ginger. — Napijmy się. Gardło mam zupełnie wyschnięte.

I wszyscy chciwie zaczęli pić.

— Teraz już lepiej — wykrzyknął Ginger obmywając brudną twarz.

— Tak — przyznał Eddie. — Ja także czuję się o wiele lepiej. Ruszyli w dalszą drogę. Ginger szedł na przodzie z pochodnią.

Trudności tej przeprawy omal nie spowodowały poważniejszego wypadku. Ginger stanął nieostrożnie poza kamieniem i ugrzązł po pas w mułu. Wydostanie go przysporzyło Algy'emu wiele kłopotu, tym więcej że powierzchnia mułu wyrzucała co chwila w górę obrzydliwe cuchnące bańki.

— Fe! Co za smród — skrzywił się z niesmakiem Ginger. — Powinniśmy byli zabrać maski gazowe — dodał usiłując zbagatelizować ten wypadek.

Upłynęło parę chwil. Eddie zwrócił się do Gingera:

— Przyznaję ci rację.

— W jakiej kwestii?

— W kwestii masek gazowych. Zaczyna mi się mącić w głowie. Tutaj jest siarka. Idź dalej, lecz nie wpadnij znowu, bo jeszcze więcej gazu wydostanie się na zewnątrz.

Ginger pomny ostrzeżenia szedł teraz uważnie i wkrótce z okrzykiem radości skonstatował, że stopnie kamienne wystają z mułu. Skoro je już wszyscy zobaczyli, marsz ich stał się szybszy; w ciągu bardzo krótkiego czasu znaleźli się w drugiej, o wiele obszerniejszej części jaskini.



Ginger trzymając w górze pochodnię rzucił po raz ostatni okiem dokoła.

— Popatrzcie chłopcy! Co to jest? — spytał przerażonym głosem. — Mam na myśli ten cień, tam po drugiej stronie. Wygląda jak gdyby się ku nam zbliżał.

Algy i Eddie odwrócili się również; dostrzegli, że jakiś olbrzymi cień zmierzał przez bagno w ich stronę. Zastanawiający był fakt, że cień ten nie poruszał się zawsze w tym samym tempie, lecz zdawał się sunąć naprzód na pewnej przestrzeni, potem zatrzymywał się i znów posuwał się dalej.

131

— Popatrzcie! Nie podoba mi się ten widok — rzekł Eddie. — Jak można wytłumaczyć sobie obecność cienia w tym miejscu?

— To nie cień — objaśniał Algy. — To jest coś żywego. Jestem przekonany, że to chmary jakichś owadów. Spójrzcie tylko na nie. Wyglądają jak olbrzymie pająki wodne. Jak się nazywają? Aha, tarantule. Ukąszenie ich jest trujące — zakończył ostrzeżeniem.

Nikt nie czekał więcej na potwierdzenie tej uwagi. Naraz wszyscy odwrócili się i zaczęli uciekać w górę jaskini.

Gdy po pewnej chwili Ginger obejrzał się za siebie, przerażony wrzasnął:

— Popatrzcie! Zbliżają się! Pająki!

Zaczęli znowu pędzić na oślep. Nie było już mowy o powrocie.

— Następnym razem, jeśli zechcesz wybrać się na wycieczkę z przygodami, mój chłopcze, pójdiesz sam — syknął ze złością Algy.

Może więcej dzięki szczęściu niż zdolności orientacyjnej, zauważył Ginger otwór — był to właściwie jeden z wielu otworów — skąd wydostawało się szare światło dnia. Ginger stanął jak wryty.

— Co to jest? — krzyknął. Zatrzymali się i spojrzeli w tym kierunku.

— To światło dzienne! — ucieszył się Algy.

Rzucili się wszyscy naprzód. Algy dobiegł pierwszy, lecz rozczarował się ogromnie, kiedy zobaczył, że światło padało z tak wąskiej i długiej szczeliny, że chyba tylko mysz mogła przejść tamtędy. Widać było jedynie maleńki skrawek błękitnego nieba. Jasne, że otwór ten był niczym innym jak szczeliną skalną powstałą niewątpliwie wskutek działania wiatru i deszczu od zewnątrz.

Ginger trzymając światło w górze obejrzał się znowu i oniemiał z wrażenia, kiedy zobaczył przednią straż tarantul w odległości zaledwie kilku jardów od siebie.

Algy zauważył je również. Zrozpaczony rzucił się na skały w pobliżu rozpadliny. Nie miał najmniejszej nadziei, ażeby się mogła rozszerzyć, nie mógł marzyć o wydostaniu się na zewnątrz. Tym bardziej nie był

przygotowany na to, co nastąpiło: cała skała poddała się pod jego ciężarem i po daremnej próbie ratowania się Algy przeleciał na drugą stronę. Chwytał się kurczowo wszystkiego czując, że zaczyna zsuwać się po stromym zboczu ku czerniejącej przed jego oczyma straszliwej przepaści. Mniejsze i większe głazy spychały go w dół. Uważał, że jest zgubiony.

132

Kiedy zatrzymał się wreszcie na jakimś twardym gruncie, zaledwie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Wtedy bowiem zobaczył, że znajduje się na schodach. Po jednej stronie biegła wąska półka skalna. Omal, że nie runął w przepaść, ponieważ staczający się głaz uderzył go w plecy, tak że rozciągnął się jak długi na ziemi. Upadł w poprzek ścieżki, a nogi zawisły nad przepaścią. Błyskawicznym ruchem podciągnął je pod siebie nie zwracając uwagi na to, że karabin stoczył się w przepaść.

Ginger znajdujący się blisko otworu widział wszystko. Zobaczył nawet to, czego Algy nie spostrzegł. Z największym przerażeniem stwierdził, że ktoś biegnie w dół po schodach. Nie, nie mylił się. Był to Tygrys. Ginger krzyknął ostrzegawczo:

— Masz! Łap! — i spuścił karabin w dół po zboczu.

W tym momencie Eddie ostrzegł go z kolei, że tarantule już do nich podchodzą. Na wpół zsuwając się, na wpół zjeżdżając dobrnął do karabinu na schodach. Eddie spuścił się za nim i o mały włos nie popchnął go w przepaść. W międzyczasie Algy zajęty był Tygrysem.

Tu należy przypomnieć, że nie wiedzieli, co się stało na płaskowzgórzu; ani przez chwilę nie wpadło im do głowy, że Tygrys musi uciekać. Wprost przeciwnie, przypuszczali, że umyślnie kieruje się w ich stronę, chcąc ich zatrzymać. A kiedy wyjąca horda Indian i Metysów ukazała się na zakręcie, wszystko zdawało się potwierdzać ich przypuszczenia. Ani im przez myśl nie przeszło, że Indianie naprawdę ścigają Tygrysa.

Tygrys zatrzymał się nagle ujrawszy trzech białych przed sobą. Obejrzał się nerwowo; wydawało się, że oczekiwał pomocy od swoich ludzi. Sytuacja była krytyczna.

Algy zwrócił się do Tygrysa:

— Wróć! — rozkazał. — Wróć i powiedz swoim ludziom, ażeby się zatrzymali, w przeciwnym razie zastrzelę cię.

Tygrys zdawał się nic nie pojmować. Krzyczał coś po hiszpańsku, czy może w dialekcie miejscowym. W każdym razie nikt go nie rozumiał. Następnie wykonał dziwny ruch. Spojrzał najpierw w górę, potem w dół schodów, później znowu na skałę. Zanim ktokolwiek z obserwujących go zdołał przejrzeć jego zamiary, kocim ruchem skoczył na wąską półkę skalną ponad ścieżką. Półka ta była niewidoczna dla ludzi stojących niżej. Po tej półce dostał się do otworu, z którego właśnie wyszli przyjaciele.

Z początku Algy sądził, że Tygrys chce po prostu dostać się wyżej, lecz skoro tylko zorientował się w jego zamiarach, krzyknął ostrze-

133

gawczo. I znowu Tygrys albo nie zrozumiał, albo nie zwrócił uwagi na jego wołania. Zniknął w otworze.

Nie widzieli go przez parę chwil. Następnie ukazał się z powrotem wyjąc, i chwytając na sobie liczne czarne włochate owady, które łążyły po całym jego ciele. Zapomniał całkiem, gdzie się znajduje, tak że nie zdziwili się zbytnio, gdy stracił równowagę i upadł. Uderzył głową o schody i stracił przytomność.

Przez parę sekund Ginger wpatrywał się w niego osłupiały, na próżno usiłując znaleźć sens rozgrywających się wypadków. Jak we śnie widział Algy'ego, który zgniótł obcasem obrzydliwego wielkiego pająka. Przypomniawszy sobie ludzi Tygrysa, spojrział w górę i zobaczył z niemniejszym zdumieniem, że zatrzymali się. Jeden z nich stał teraz w pewnej odległości od pozostałych. Był to biały człowiek w nieskazitelnie białym mundurze. Ginger zmrużył oczy i spojrział znowu.

— Ja zwariuję — szepnął.

Algy, który wyglądał bardzo blado, odwrócił się.

— O czym ty mówisz? — spytał. Ginger wskazał ręką.

— Czy to Carruthers? A może mi się tylko przywidziało? Algy przyglądał się uważnie. Podniósł z trudem rękę do czoła.

— Tak, to Carruthers. Jeżeli on jest tutaj, Biggles nie powinien być stąd daleko.

— Nie pojmuję tego — mruknął oszołomiony Eddie.

— Coś musiało się stać w czasie, gdy nas nie było — dziwił się Algy. Carruthers podniósł rękę gestem powitania i krzyknął:

— Po co tam stoicie, chłopcy? Chodźcie na górę. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteście. Już po wszystkim.

Algy zwrócił zdumioną twarz w stronę Gingera.

— Słyszałeś? — pytał z niedowierzaniem. — Już po wszystkim.

— Co to znaczy po wszystkim? — Gingerowi nerwy zaczynały już odmawiać posłuszeństwa.

— Chodźmy na górę i zbadajmy całą sprawę — zaproponował Algy.

Szli powoli po schodach. Carruthers szedł przed nimi. Słyszeli, jak krzyczał. W międzyczasie doszli do szczytu, gdzie czekał na nich Biggles.

— Jak myślicie chłopcy? W co wy się tu bawicie? — spytał krótko.

— Bawicie, parsknął szyderczo Algy. — Bawicie! To doskonałe!

— Kazałem wam czekać, dopóki nie wrócę.

- Bylibyśmy tak zrobili, gdyby ktoś nie wysadził całego placu w powietrze.
- Co się stało z Tygrysem? Algy opowiedział mu wszystko.
- Kilku niewolników niesie go tu na górę — dodał na zakończenie. Biggles skinął głową.
- To oszczędzi nam dużo kłopotu. Chodźmy na jego spotkanie. Chcę wydostać tę mapę. Musi być w jego kieszeni.
- Jeżeli myślisz o skarbie, nie potrzebujesz już mapy — powiedział Ginger zagadkowo.
- Dlaczego?
- Ponieważ znaleźliśmy skarb bez jej pomocy — uśmiechnął się Ginger.

Biggles osłupiał.

- Zatem udało wam się dotrzeć do niego? Mogłem się tego domyśleć. No, chodźmy teraz i oglądnijmy go sobie.
- Możecie go oglądnąć, lecz pod warunkiem, że ja dostanę kawałek mydła i koniecznie coś do jedzenia
- rzekł Algy.

Biggles uśmiechnął się.

- To bardzo uczciwa propozycja. Chodźmy, sądzę, że będę mógł was zadowolić.

Poszedł w kierunku maszyny, a Carruthers pozostał, by pilnować ludzi wychodzących na górę.

Zbliżamy się do końca opowiadania.

Po posiłku i umyciu się, kiedy Biggles opowiedział o swoich przygodach, a oni ze swej strony opisali wypadki, które zaszły podczas jego nieobecności, wszyscy udali się do podziemnej sali. Nie tracili już czasu na szukanie ukrytej sprężyny poruszającej posąg, lecz przy pomocy żelaznego drąga otworzyli przejście. Skarb wyniesiono następnie na górę, gdzie można go było dokładnie obejrzeć i gdzie Carruthers oficjalnie objął go w posiadanie w imię króla.

Okazało się, że wartość jego jest o wiele większa, niż początkowo przypuszczali: było tam złoto, wspaniałe klejnoty, przeważnie rubiny i szmaragdy. Wiele przedmiotów stanowiło rzadkie okazy sztuki rzemieślniczej dawnych mieszkańców Ameryki tropikalnej i mogły osiągnąć wysokie ceny u zbieraczy. Większość tych przedmiotów

135

dostała się później do muzeów, a wszyscy przyjaciele łącznie z Eddiem, otrzymali pokaźny procent w gotówce od sumy, za jaką klejnoty te zostały sprzedane.

Po obejrzeniu skarbu, przeniesiono go do „Wędrowca” celem odtransportowania na wybrzeże. Wszyscy odlecieli prosto na wybrzeże zabrawszy z sobą Carruthersa i nieprzytomnego jeszcze Króla Puszczy. Zatrzymali się w bungalowie gubernatora, a tymczasem złożono władzom oficjalny raport. Sąd dowiedziawszy się całej prawdy, uwolnił ich od wszelkich zarzutów w związku ze śmiercią przywódców bandy i nieoficjalnie złożył na ich ręce podziękowanie za trud i położenie kresu tej pladze, która przez tak długi czas okrywała hańbą całą kolonię. Zrozumiało, że doznali prawdziwej satysfakcji z dobrze spełnionego zadania. Tygrys znajdował się jeszcze w więzieniu oczekując na sąd, oskarżony o dokonanie szeregu morderstw, na co dowodów dostarczyli oswobodzeni niewolnicy. Przyjaciele opuszczając kolonię, nie mieli żadnych wątpliwości, jaki go spotka los.

Po załatwieniu wszelkich formalności, Eddie powrócił do Stanów Zjednoczonych, na próżno usiłując namówić przyjaciół, aby pojechali z nim razem. Dusky otrzymał odpowiedzialne stanowisko w policji tubylczej. Biggles, Algy i Ginger nie mając żadnego powodu by pozostać nadal w kolonii, wsiedli znowu do „Wędrowca” i w dalszym ciągu odbywali przerwana „wycieczkę dla przyjemności” zadowoleni z wyników swoich odwiedzin na tej małej, daleko na południe wysuniętej placówce Imperium.

KONIEC